

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

# KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 06 (199) Czerwiec 2021

**Kraków**  
**nieodkryty**



Jerzy Surdykowski *Nadzieja na sensowność świata*

Jan Kanty Pawлуśkiewicz *Na stałe nic nie ma*

Wiedeń: między operą a tortem Sachera

Stacja Beata Chomątowska

9 771733 045101 06  
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

# NA DZIEŃ DZIECKA CHOĆ NIE TYLKO ;)



## SZARAKI!

przytulne zwierzaki, które budzą uśmiech nawet w smutnym czasie

Ręcznie wykonane przez Katarzynę Łukaszewicz  
- sympatyczna przytulanka dla dziecka, wnuka, a może i dorosłego?

### WSTĄP W CZERWCU 2021\* DO KLUBU PRZYJACIÓŁ MIESIĘCZNIKA „KRAKÓW”

- wpłać 140zł, przez najbliższy rok będziesz dostawał miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej,  
a nadto wyślemy ci na wskazany adres „Szaraka”!

Wpłat prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA”):

#### BIBLIOTEKA KRAKÓW

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3

31-154 Kraków

nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

#### więcej informacji:

[www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka](http://www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka):

Klub Przyjaciół „Krakowa”

email: [redakcja@Biblioteka.Krakow.pl](mailto:redakcja@Biblioteka.Krakow.pl)

\* decyduje data wpływu pieniędzy na konto

„Kraków”  
– otwarty dla każdego. **Zawsze**

zaczynamy się  
w Krakowie  
**KRAKÓW**  
MIESIĘCZNIK



„Bożka można było przebłagać modlitwą, zaklęciami szamana, przekupić ofiarą...”.

Magiczny byk – malowidło naskalne w jaskini w Altamirze, Hiszpania, data powstania: około 30 tysięcy lat temu

## Wołanie o sens

Tekst: Jerzy Surdykowski    Ilustracja: Wikimedia Commons

**Małpoluda, któremu – nieudolną jeszcze myślą: „ja jestem...” – po raz pierwszy udało się wyartykułować własną odrębność, ogarnął najpierwotniejszy, egzystencjalny strach.**

W tym momencie pracźlowiek przestał już być tylko zwierzęciem i wreszcie poczuł się bezpieczniej w świecie dotąd niezrozumiałym i wrogim. Czując na karku oddech wygłodniałego zwierza, pomyślał, że może kieruje nim silniejszy odeń, choć niewidzialny duch, że ta nadprzyrodzona siła jest jedynym pośrednikiem niosącym nadzieję ocalenia. Pożar stepu, powódź, tropikalna burza to żywioły uderzające niespodziewanie, niszczące dobytek, śmiercionośne. Żywiołu

niczym nie obłaskawisz, nie powściągniesz wiszącego nad głową nieszczęścia. Bożka owszem; jest istotą choć trochę podobną do mnie, ale lepszą, doskonalszą, potężniejszą, a może nawet wszechmocną. Można go więc przebłagać modlitwą, zaklęciami szamana, przekupić ofiarą. Można go tymi rytuałami ugłaskać, zadowolić, a nawet uczynić życzliwym. Groźny i nieprzyjazny świat staje się dzięki temu bardziej znośnym miejscem do życia; tym lepszym, im bardziej wia-

ra w wyższe moce jest dla nas przewodnikiem i tarczą obronną. Czy zatrwożony burzą małopłód (przepraszam: od tego momentu już człowiek) stworzył w ten sposób Boga na miarę swego – budzącego się dopiero do życia – umysłu czy też może tym prymitywnym jeszcze umysłem, rodzącą się intuicją przeczuł istnienie Boga prawdziwego? „Religia jest tym, co człowiek czyni ze swoją samotnością” – przejmująco napisze o tym w latach 20. minionego wieku brytyjski filozof i matematyk Alfred North Whitehead.

1.

Jeśli tak, to poszukiwanie Boga, albo chociażby bożków, jest głęboko zakodowane w ludzkiej naturze. Niektórzy twierdzą, że nawet w genach.

Ale przecież to tylko tumaniące umysł złudzenie! My, ludzie oświeceni któregoś tam wieku (bo podobnie myślano i w wiekach niedawno minionych), nie musimy odurzać się legendami. My, ludzie oświece-

Stanisław Jerzy Lec napisał, że „wprawdzie nadzieja bywa matką głupich, ale może być też kochanką odważnych”.

ni, którzy dzięki własnemu rozumowi wydobyliśmy się z – jak mawiał Immanuel Kant – „niezawinionego dzieciństwa”, nie musimy już szukać oparcia w wymagowanych zaświatach, nareszcie nie boimy się gromu albo zwierza. „*Sapere aude!*” – miej odwagę posługiwania się własnym rozumem, jak wołał wielki filozof z Królewca. (...)

Bo to jest zapewne pytanie najważniejsze w tej – rozpoczętej tak panicznie – duchowej historii człowieka: pytanie o sens. Nie pojawiło się od razu, może je sformułować dopiero jako tako ukształtowany umysł, ale wcześniej czy później sformułuje na pewno: skąd przyszedłem i dokąd zmierzam? (...)

Zwierzę nie pojmuje sensu. Wystarczy mu samo bycie w świecie i w czasie teraźniejszym. Nie rozumie, że jutro może trafić do rzeźni albo paść łupem drapieżcy. Tylko człowiek wie, że skądś przyszedł, jutro też będzie dokądś zmierzał, aż w końcu umrze, więc lęka się jutrzejszych zagrożeń i ma nadzieję, która go prowadzi pomimo nich. Dlatego tylko człowiek pyta o sens, szuka racji wyższych niż własne istnienie, tylko on stawia pytanie: „jak być?”. Bowiem samo bycie w świecie nie przybliży nawet zarysu odpowiedzi, tylko wabi drobnymi przyjemnościami i łudzi nadzieją szczęśliwego trafu. Triumfalne, a może przerażone „ja jestem!”, oznacza tylko świadomość istnienia, ale zaraz po tej elementarnej podstawie człowieczeństwa pojawiają się pytania „kim jestem?” i „po co jestem?”. Wraz z tymi pytaniami człowieczeństwo ewoluuje w stronę

tej wiecznej niepewności, w której do dzisiaj żyjemy i która zapewne stanowi sedno świadomego bytu. (...)

Pytając o sens, wkraczamy bowiem w sferę spraw, których nie da się badać ani dowieść doświadczalnie. Jeśli uznajemy, że nie ma żadnej Tajemnicy wartiej, by pisać ją wielką literą, to lepiej nie pytajmy o sens. Pytając o sens, nieuchronnie wkraczamy w sferę wiary. Nie musi to być wiara w Boga. Można z Laplace’owskiego punktu widzenia zane-gować Jego istnienie, jeśli tylko uznamy, że nauka kiedyś dojdzie do stadium rozwikłania wszelkich tajemnic, uzyskując wszechwiedzę poznania świata i wszechmoc panowania nad nim. A jeśli nawet nie nasza nauka, to może kiedyś w odległym kosmosie rozświecili się tak wysublimowana i tak potężna cywilizacja. Ale nie da się w podobny sposób odsunąć pytania o sens. Ono domaga się odpowiedzi natychmiast, w moim, twoim czy też naszym, teraźniejszym, a nie przyszłym życiu. Jeśli gwiazdą, do której zaprzęgamy pług życia, jest ziemski dorobek ludzkości – w jego najlepszym, humanistycznym sensie – to jednak musimy uwierzyć, że on istnieje, że jest jakiś postęp mimo wszystkich cierpień, kryzysów i daremnych zrywów, których doświadczamy, że cywilizacja zmierza ku coraz doskonalszym formom, że kumulują się nasze humanistyczne osiągnięcia, a przekazywane z pokolenia na pokolenie wartości coraz piękniej wzbogacają ten godzien najwyższego szacunku skarbiec, z którego czerpiemy i którego strzec będą nasi następcy.

Czy tak jest?

2.

Pytanie o postęp nie jest bowiem wcale pytaniem o ekologię, moralność, wartości, nawet o zrujnowaną utopię. Jest to fundamentalne pytanie nie tylko o indywidualny sens bytu osoby ludzkiej, ale też o sens dziejów. Czy jakkolwiek w ogóle istnieje? Czy te dzieje do czegoś prowadzą? Udowodnić się tego nie da; jest wystarczająco wiele argumentów przeciwnych, mniej lub bardziej pesymistycznych. Odrzucając postęp, odrzucamy jednak nie tylko którąś z utopii, jakich wiele już natworzyliśmy. Odrzucamy również wiarę w sens. Po drugiej stronie jest nie tylko obskurantyzm, nostalgiczne wstecznictwo widzące diabelski spisek w każdej nowości. Tu jest także ciemny, otchłanny i fundamentalny pesymizm.

Być może uzasadniony. Ale jeśli tak, to trzeba to sobie uczciwie i bez lęku powiedzieć. (...)

Jeśli odmawiamy życiu sensu, wyrzekamy się też nadziei. Tylko nadzieja sytuuje przyszłość w naszym życiu i nadaje jej wartość.

Jeśli zaprzeczmy nadziei, pozostaną zaledwie zachcianki, zniknie cel, a tym samym sens. Nie musi być on postawiony przez Boga; można w Niego nie wierzyć i żyć go-dziwie. Celem bywa również odkrycie, wiel-

ka idea albo wielka miłość. Zawsze jednak cel przyciągający nadzieję przerasta otaczającą nas codzienność.

Ku niemu pielgrzymujemy przez życie; pielgrzym ma przed sobą cel i widzi sens swojej wędrówki, nawet gdy jest ona ponad siły utrudzająca. Poczucie sensu dodaje mu sił. Włóczęga nie ma celu ani sensu, włóczy się byle gdzie, nadzieja jest mu obca. Dlatego kostur pielgrzymi zawsze sięga nieba, niezależnie od tego, czy wiara umieszcza tam bogów czy tylko postęp. Mądry aforysta Stanisław Jerzy Lec napisał, że „wprawdzie nadzieja bywa matką głupich, ale może być też kochanką odważnych”.

Nie każdemu starcza takiej odwagi. Gwiazdy bywają zwodnicze. Wtedy w miejsce sensu wślizguje się powodzenie, staje się jego łatwiej osiągalną namiastką. Sukces jako ideał życia, dowód wartości człowieka. Nieślubny bachor bogactwa i władzy, starszy brat rywalizacji, kuzyn nie tylko pogardy, ale i pychy. Wygrać w konkurencji, wyprzedzić rywala; no, może niekoniecznie go zniszczyć, ale przynajmniej odepchnąć! Tak wygląda złoty cielec naszych czasów. Jednym z najpaskudniejszych kłamstw dzisiejszej cywilizacji jest odrzucenie umiaru i płynącej zeń zgody na niedoskonałość świata, na niepewność postępu i omyślność człowieka. (...)

Sens jednak nie istnieje niezależnie od mnie, nie można go odnaleźć i osiągnąć tak, jak się odnajduje ukryte skarby albo nieznanne nam jeszcze prawa fizyki. Sens jest sprawą wiary, choć niekoniecznie w Boga. Nie można go odkryć, uchwycić w dwa palce i zawołać: „oto jest!”. Można tylko go sobie nadać.

Sens jest nierozłączny z nadzieją. Wybierając sens, trzeba więc samemu uwierzyć w ten wybór, nawet jeśli jest to wiara bez spraw i bytów nadprzyrodzonych. To imperatyw.

Jeśli jednak upieramy się tylko przy tym, co można udowodnić bez zastrzeżeń i ponad wszelką wątpliwość, to odpowiedź pozytywna będzie rozpaczliwie trywialna, na poziomie pierwotnych instynktów małpoluda wzbogaconych najwyżej o dzisiejsze zabawki wirtualnej rzeczywistości internetu. Inne stanowiska wymagają wiary: wiary w Boga albo wiary w ziemski humanizm. Nie łudźmy się, że to drugie jest „laickie” albo nawet „ateistyczne”. Nie, to tylko ucieczka przed przyznaniem, że wszelki dyskurs o sensie istnienia jest dialogiem odmiennych wiar.

Ludzie zawsze byli pełni podziwu dla wyrafinowanej wspaniałości świata fizycznego. Nieustanny i uporządkowany ruch ciał niebieskich, rytm dni, pór roku, wschody i zachody Słońca, tajemniczość Księżyca. Misterna struktura płatków śniegu, rzesza stworzeń znakomicie przystosowanych do środowiska. To oczywiście, że stoi za tym Bóg! – tak myśleli.

Dziś Go już nie potrzebujemy. Nauka wyjaśnia wszystko bez odwoływania się do nadprzyrodzonych mocy. Ale wtedy człowiek stoi znowu samotnie wobec bezmiaru wszechświata, który wyłonił się z nicości mocą czystego przypadku. Jest temu milczącemu uniwersum całkowicie obojętny, jego sens nie istnieje, a jego przeznaczenia i powinności nic nie determinuje. Dlatego wciąż czuje zatrzwożenie małpoluda, który niezdarne wyszeptał: „ja jestem”, pojmując swoją samotną odrębność wobec świata. Dlatego też Bóg, nawet jeśli odmawiamy Mu istnienia, jest odwieczną i nieuniknioną zagadką daną człowiekowi już przy narodzinach umysłu albo – jak można inaczej powiedzieć

Pytanie o postęp to fundamentalne pytanie o sens dziejów. Czy jakkolwiek w ogóle istnieje? Czy te dzieje do czegoś prowadzą? Udowodnić się tego nie da. Odrzucając postęp, odrzucamy jednak nie tylko którąś z utopii, jakich wiele już natworzyliśmy. Odrzucamy również wiarę w sens.

– duszy. Żaden ateizm nie usunie tej zagadki i tego niepokoju, tak jak żadne racjonalne wytłumaczenie nie usunie ludzkiego lęku przed Nieznanym i nadziei, że Tajemnica da się obłąskawić. (...)

\*

Dialog między różnymi sensami jest dialogiem wiar. Wołanie o sens jest więc wołaniem o wiarę. Niekoniecznie w Boga, ale o wiarę na pewno.

Na podstawie fragmentów książki *Nadzieja na sensowność świata*, Copernicus Press Center. Kraków 2021 (więcej na s. 77).



**Jerzy Surdykowski** – rocznik 1939, publicysta, pisarz, dyplomata, działacz opozycji demokratycznej w PRL, wykładowca dziennikarstwa na UJ. Od końca lat 60. związany z dziennikarstwem – tu m.in. „Perspektywy”, „Życie Gospodarcze”, „Życie Literackie”. W sierpniu 1980 roku uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej, gdzie publikował w biuletynie strajkowym, po stanie wojennym, objęty zakazem pracy w mediach, pisywał do prasy drugiego obiegu. Po 1989 roku był członkiem redakcji „Tygodnika Solidarność”, „Rzeczpospolitej” i „Wprost”, a następnie konsulem generalnym w Nowym Jorku oraz ambasadorem w Tajlandii. Autor wielu książek.

**TEMAT MIESIĄCA:****Wołanie o sens** Jerzy Surdykowski **s. 1**

*Pytanie o postęp to fundamentalne pytanie o sens dziejów. Czy jakkolwiek w ogóle istnieje? Czy te dzieje do czegoś prowadzą? Udowodnić się tego nie da. Odrzucając postęp, odrzuca my jednak nie tylko którąś z utopii, jakich wiele już natworzyliśmy. Odrzuca my również wiarę w sens.*

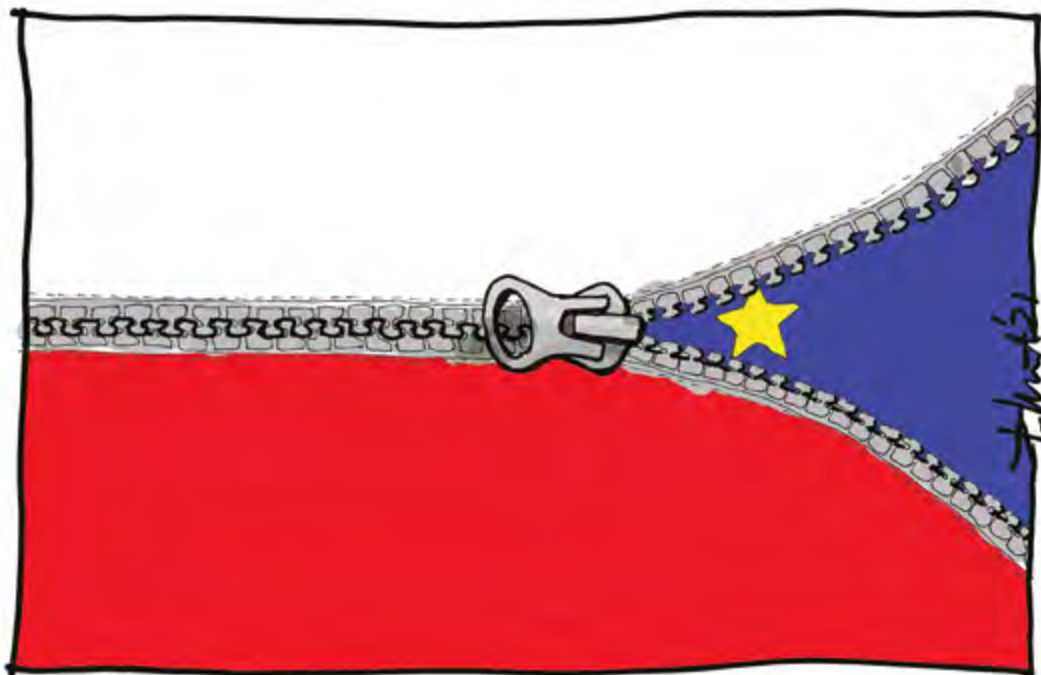
**KRAKÓW MÓWI****Na stałe nie ma nic**  
Jan Kanty Pawluśkiewicz/Elżbieta Wojnarowska **s. 40****LUdzie, Miejsca, Wydarzenia****Miłość i grafika, grafika i miłość (Jadwiga i Ryszard Otrębowie)** Majka Lisińska-Kozioł **s. 20**  
**Wodawater. Bracia spragnieni siebie** Marta Gruszecka **s. 28****W Dniu Dziecka nie tylko o książkach dla młodzieży** Artur Pacuła/Sylwia Pyzik **s. 50****Kronika kulturalna** **s. 87, 89**  
**Krakowski łącznik** **s. 90**  
**Kraków (Główny)** **s. 91**  
**Linia A-B** **s. 92****REKOMENDACJE****Fascynująca podróż z BOSZ-em** Witold Bereś **s. 26**  
**Czas młodych artystów** Magda Huzarska-Szumiec **s. 45****Opowieść o aktorze** Maria Malatyńska **s. 62**  
**Czy wierzysz w siłę wyższą?** Witold Bereś **s. 77****OBYWATELE KRAKOWA****W obronie czarnoskórych kobiet (Aaiún Nin)** Marta Gruszecka **s. 8****PODRÓŻE W DOBRYM TOWARZYSTWIE****Wiedeń: między operą a tortem Sachera** Magda Huzarska-Szumiec **s. 12****PORTRETY 2021****Cat** Witold Bereś **s. 19****KRAKOWSKA WARSZAWA****Stacja Beata Chomątowska** Katarzyna Kachel **s. 33****FOTO RETRO****Dworzec na placu Zgody** Krzysztof Jakubowski **s. 10****HISTORIA****Ziemi Czarnej na odsiecz** Krzysztof Jakubowski **s. 56****Najsłynniejszy krakowski kalendarz** Ewa Danowska **s. 60****Prasa sprzed stu lat: czerwiec 1921 roku** Krzysztof Jakubowski **s. 63****PROZA****Pamiętki z powstania śląskiego** Artur Pacuła **s. 70****TEATR****Widocznie nie stać nas było na nic innego** Paweł Głowacki **s. 67****FILM****Przygoda z maską** Maria Malatyńska **s. 74**  
**Prime time** Łukasz Maciejewski **s. 78****KSIĄŻKI****Nasza biblioteka** **s. 84**  
**Moja krakowska książka miesiąca** Janusz Paluch **s. 88****GALERIA „KRAKOWA”****Anna Zuzela** Magda Huzarska-Szumiec **s. 46****FELIETON****NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska **s. 5**  
**OKIEM BERESIA** Witold Bereś **s. 6**  
**Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko **s. 7**  
**SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma **s. 81**  
**BEDEKER KRAKOWSKI** Iga Dzieciuchowicz **s. 83****OKŁADKA**

Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Empedokles z Akragas, poeta i filozof, pisał: „Jeśli będziecie żądać tylko posłuszeństwa, to zgromadzicie wokół siebie samych durniów”.  
Według naszych polityków, lepszy durni w garści niż mądry na dachu.  
I dlatego właśnie jest śmiesznie i strasznie...



**Ewa Lipska** – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Brachut

# Gdzie Kościół, gdzie Michnik, gdzie ja

Tekst: Witold Beres

**Pisałem właśnie o Pilcha poszukiwaniach Absolutu, czytając książkę Surdykowskiego pytającą o Tajemnicę (polecamy!), gdy trafiłem na głośny wywiad Michnika. AM – któryż to już raz! – wywołał ogólnokrajową kłótnię, bo zadeklarował przecucie Tajemnicy oraz życzliwość dla Kościoła katolickiego.**

**W** *Pilchu* piszę o naszej fascynacji AM. Ba, dodaję, że zawsze będę go bronił. To zdanie pada dla szpanu, bo Michnik lepiej broni się sam. W dodatku: bronić AM nie znaczy zgadzać się z nim we wszystkim.

Uporządkujmy pole debaty.

Słychać krzyki: Religia to największy narkotyk współczesnej cywilizacji! A jej widzialny system w Polsce – czyli Kościół katolicki, to największe paskudztwo, które dobra

duchową i strukturalno-polityczną. Owszem, na tych wartościach winno być ufundowane życie osobiste i zbiorowe, ale dlaczego ma się to w Polsce dziać na zasadzie nadania Kościołowi praw nadzwyczajnych?

Obrona, którą przeprowadza AM, wyrasta z pomieszczenia czterech przesłanek. Oto do worka opisanego „Życzliwość dla Kościoła” wrzuca wiarę w Tajemnicę, pozytywny – niegdyś! – dorobek Kościoła nad Wisłą i swoje pragmatyczne podejście do niego jako siły cementującej społeczeństwo. A na deser dosypuje dystans do lewicowych krytyków.

Lecz nawet zgadzając się z nim w każdym z punktów, łatwo obronić tezę, że dziś na szali Kościoła instytucjonalnego przeważa Zło. I tego nie uda się zrównoważyć tak zwanym Kościołem otwartym i przyzwoitymi duchownymi. AM ostentacyjnie podkreśla, że istotą Kościoła są Ewangelie, a nie *Rozmowy niedokończone* Rydzyka. To nie tak – Ewangelie są istotą wiary, ale nie dzisiejszego Kościoła w Polsce. Za to Rydzyk jest profilem rodzimej religijności. Deklarowanie w tej sytuacji życzliwości dla Kościoła rozzuchwała fundamentalistów i mąci w głowach sceptycznym obywatelom.

Dzisiaj Kościół nie potrzebuje życzliwości – potrzebuje wymagającego partnera. Bo przekreśla nasze aspiracje. Podsycy strach. Budzi nienawiść do Innych. *De facto* odrywa nas od Zachodu. Wzbudza ksenofobiczne resentymenty.

Co więc robić?

Jestem przeciwnikiem polityków opierających swoje projekty na sondażach i dopasowujących politykę do oczekiwań wyborców – wolę wizję i poprzeczkę choćby lekko podniesioną.

Chcę zatem państwa zdecydowanie świeckiego, z prawem ludzi wierzących do należenia do Kościoła, który jest im niezbędny, ale z radykalnym ukróceniem nadmiernych praw Kościoła instytucjonalnego i absolutnym oddzieleniem kasy państwowej od kościelnej. Chcę zmiany konstytucji w duchu rozwiązania konkordatu albo takiej jego zmiany, która nie będzie uprzywilejowała biskupów.

Ma rację AM, że przeciwko temu stoją dziś wyborcy – fala nacjonalistycznego religianctwa ujawniła ponurą twarz Polaków. Ale jeśli tylko tym się kierować, to nigdy nic nie moglibyśmy zrobić.

**Ewangelie są istotą wiary, ale nie dzisiejszego Kościoła w Polsce. Za to Rydzyk jest profilem rodzimej religijności.**

nie uczyniło! Moi przyjaciele, niedawno jeszcze religiancy, dziś szaleją na same słowo „Kościół”. Wiem – wynika to z polityki, a po tamtej stronie jeszcze agresywniej zwalczą się tych, którzy nie chcą się modlić do Rydzyka. Rządzą nami uproszczenia i intelektualny chaos.

Więc po kolei: Absolut? Niektórzy wręcz wierzą w codzienną ingerencję Absolutu. Najdalszy jestem od tego. Lecz zrozumieniem darzę tych, którzy myślą o Sile Sprawczej mającej w sobie nieskończone Dobro i Miłość (bo nas stworzyła). Dla mnie co prawda wynika to z czasowej niezajomości wszystkich praw fizyki, ale jest w tym szlachetność – więc odpuszczam, bo większość chce w to wierzyć. Bez trudu mogę się tu zgodzić z AM, że „potrzeba religii i transcendencji jest trwałym i nieusuwalnym składnikiem ludzkiej rzeczywistości”.

Czym innym jest jednak religia jako system porządkujący wiarę wraz z swymi narzędziami – kościołami i kapłanami. W polskich realiach jest to – upraszczając – jeden Kościół i jedna kapłańska profesja. To system tak wprasowany w polską matrycę kulturową, że naiwnością byłoby liczyć na to, że uda się go wyrugować. Ale czy trzeba? I znowu zgadzam się z AM: „Nie ma drugiej takiej organizacji, która oferowałaby ludziom równie mocne poczucie sensu życia. W polskiej kulturze nie ma alternatywy, (...) która sprawiłaby, że znaczna część ludzi umiałaby budować swoje mądre życie bez religijnych podpórek”.

Do niedawna sam widziałem sens tego Kościoła – niech wszyscy krytycy pomyślą choćby, gdzie wyładowalibyśmy, gdyby nie wsparcie Kościoła (również hierarchicznego) przy wchodzeniu do Europy.

Ale tu zaczyna się mój kłopot.

Gdy Michnik mówi: „Odrzucam myślenie, w którym nie ma miejsca na życzliwość dla Kościoła katolickiego. (...) To już jest wspólnota, która się tworzy wokół wartości ewangelicznych”, to zbyt łatwo myli perspektywy:



**Witold Beres** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „KraKów”.



# Dzieło i dzieła Juliana Strykowskiego

Tekst: Krzysztof Burnetko

**Trudno przeceniać zasługi krakowskich wydawców dla edycji – i to w najlepszym stylu – największych dzieł, a więc i postaci współczesnej polskiej literatury. Na tej liście pojawiła się właśnie kolejna idea.**

Pisałem już o epokowych, bo wyczerpujących oraz opatrzonych erudycyjnym i ułatwiającym lekturę komentarzem literaturoznawców, wydaniach dzieł zebranych Czesława Miłosza (ogłaszanych wspólnie przez Wydawnictwo Literackie i Znak) czy pism wszystkich Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (to inicjatywa WL). Takie przedsięwzięcia są już dziś, niestety, ewenementem, tym bardziej więc zasługują na szacunek. Na dodatek do księgarń trafiają wznowienia kolejnych tomików Wisławy Szymborskiej (Znak) czy seria książek Stanisława Lema (WL) – wprawdzie nieopatrzone aparatem naukowym, ale z racji swej skali również godne uznania.

Okazuje się, że w wymagającej – zarówno ze względów merytorycznych, jak czysto rynkowych – konkurencji „dzieł wszystkich” (bądź prawie wszystkich) do doborowego towarzystwa wydawniczych potentatów dołącza również mająca siedzibę w Krakowie, choć mniejsza przecież, oficyna Austeria. Prowadzona przez Wojciecha Ornata firma zasłynęła najpierw pomysłem upublicznienia w Polsce twórczości Josepha Rotha, brawurowego, a właściwie prawie zapoznanego galicyjskiego pisarza, esyisty i dziennikarza. Przedsięwzięcie było od podstaw pionierskie – obejmowała wszak choćby pracę translatorską. Mimo to nakładem Austerii ukazało się już ponad dwadzieścia tomów Rotha.

Teraz zaś przyszła kolej na Juliana Strykowskiego – też już dziś zapominanego pisarza, choć przecież zmarłego ledwie ćwierć wieku temu, a w latach 70. i 80. minionego stulecia należącego do twórców uznanych i szanowanych (także za związki z opozycją demokratyczną i odwagę publikowania w obiegu pozacenzuralnym). Pierwszym tytułem w serii planowanych dzieł Strykowskiego Austeria nie przez przypadek oczywiście uczyniła jego powieść *Austeria* (na jej podstawie powstał film Jerzego Kawalerowicza, z Franciszkiem Pieczką i Wojciechem Pszoniakiem w rolach głównych). Drugim zaś tomem serii stał się *Przybysz z Narbony* – opowieść o czasach Świętej Inkwizycji, do dziś zachowująca aktualność. Ta historia z czasów prześladowań Żydów (także tych, którzy chcąc ratować życie, zdecydowali się przyjąć chrzest i zostać „nowochrześcijanami”) została pierwszy raz ogłoszona w latach 70. ubiegłego wieku. Wówczas była odbierana jako opowieść o dylematach tych odważnych – i nielicznych – obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, którzy zdecydowali się zostać w PRL na przekór antysemickim czystkom i nastrojom symbolizowaną datą marca 1968 roku.

Pytania stawiane w książce przez Strykowskiego dziś czytane będą oczywiście nieco inaczej, choć w sumie dotyczą tych samych ważnych, a niezwykle trudnych kwestii: stosunku do innych (w każdym sensie – różniących się wyznaniem, pochodzeniem, obyczajami, pozycją społeczną), taktyki wobec opresyjnej władzy (w tym zwłaszcza granic kompromisu i uległości, a czasem samoupodlenia), odpowiedzial-

**Pytania stawiane niegdyś przez Strykowskiego dziś czytane będą oczywiście nieco inaczej, choć w sumie dotyczą tych samych ważnych, a niezwykle trudnych kwestii.**

ności za osobiste wybory, zwłaszcza te radykalne (bo choć podejmowane bywają w imię najszczytniejszych idei i czystego sumienia, mogą czasem być bolesne, ba, mieć tragiczne skutki dla najbliższych – rodziny, przyjaciół, towarzyszy walki).

Podobną aktualizację będą zapewne zyskiwać inne tytuły Strykowskiego. Chociażby *Milczenie*, jego ostatnia nowela, w której – jak to ujął Piotr Paziński (także autor wstępu do obecnej edycji *Przybysza z Narbony*) – „sędziwy pisarz, tworząc piękny midrasz do *Pieśni nad Pieśniami*, opowiedział o homoseksualnej miłości i własnych tłumionych pragnieniach”. Już wtedy, zwłaszcza wtedy!, musiało to być potraktowane jako wyzwanie rzucone homofobii – i pozostaje nim do dziś. W serii tworzonej przez wydawnictwo Austeria znajdują się wszelako i dzieła warte lektury już tylko w imię pamięci o dawnym klimacie Galicji, żydowskich sąsiadach, obyczajach, powiedzonkach i pojedynczych słowach. Nawet jeśli wizja ta jest już w części wykreowanym mitem.



**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



# W obronie czarnoskórych kobiet

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcie: Paweł Mazur/Willa Decjusza

**„Czarna skóra gdzieś na zapomnianym końcu świata” – zaczyna swój wiersz Dwie połówki pękniętego mlecznego słońca Aaiún Nin, pochodząca z Angoli poetka, aktywistka i artystka queerowa. Angolka spędzi w Krakowie dwa lata.**

Tam, gdzie się urodziła i wychowała, nie jest mile widziana. Bo głośno mówi, co jej się w Angoli nie podoba. Bo nie chce przyjąć, że kobiety są stworzone wyłącznie do rodzenia dzieci i opieki nad domem. Bo nie akceptuje tego, że kilkuletnie dziewczynki są poddawane barbarzyńskiemu procederowi obrzezania. Aż wreszcie – bo zamiast tradycyjnego, patriarchalnego związku, wybrała relację z drugą kobietą.

Przeklęta, niewierna, nienormalna, niegodna, by być częścią angolskiego społeczeństwa – młoda dziewczyna nasłuchiwała się w swoim kraju wielu inwektyw. Czy jej buntownicza natura próbowała się bronić? Zapewne. Wiedząc jednak, że wśród mężczyzn i tak nie ma głosu, Aaiún zaczęła opisywać to, co widzi i czego doświadcza. Ale nie w pamiętniku, którego poza nią pewnie nikt nigdy by nie przeczytał. Jej cel był jasny – ludzie innych narodowości powinni się dowiedzieć, jak się żyje w Angoli. No właśnie – jak? Czy to kraj, w którym na ulicach uśmiechnięte rodziny tańczą kizombę, każdy człowiek ma prawo do godnego życia, a kobieta może wszystko, na co ma ochotę? Zdaniem poetki – zdecydowanie nie.

Twórczość Aaiún to obrazy z dzieciństwa i młodości spędzonych w tradycyjnej społeczności patriarchalnej. Wiersze najczęściej dotyczą przemocy seksualnej wobec kobiet, fundamentalizmu religijnego, nierówności społecznych i rasizmu. Życie angolskich kobiet Aaiún opisuje między innymi w *Dwóch połówkach pękniętego mlecznego słońca*.

Czarna skóra gdzieś na zapomnianym  
końcu świata  
naraz beton i dżungla  
w różnych stadiach rozkładu  
i mężczyźni w kącie  
każący uśmiechać się dziewczętom  
zesztywniałym w  
same kości bez ciała  
dziewczęta w sztywnych ubraniach  
idące do szkoły  
idące do kościoła  
idące na cmentarz  
w sztywnych ubraniach  
oczy z kamienia  
brakujące zęby

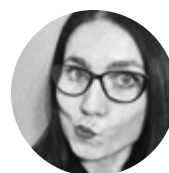
granatowa skóra  
stłoczone razem  
pławiące się w krzywdzie/we wstydzie

W 2016 roku w poszukiwaniu lepszego życia Aaiún wyjechała do Danii. Tam mogła wreszcie być sobą i nie zastanawiać się, czy zostanie pobita za to, że trzyma za rękę dziewczynę. W Angoli agresja wobec osób LGBT nie jest bowiem niczym nadzwyczajnym. – W niedzielę chodziłam do kościoła ze śladami pasa na udach – wspomina poetka.

W Europie Aaiún nawiązała współpracę z artystami serdecznie zaprzyjaźnionymi z kulturą queerową. Zapraszana na liczne spotkania i dyskusje śmiało poruszała kwestie dotyczące dyskryminacji prawnej migrantów oraz systematycznej przemocy policyjnej w Skandynawii. Apogeum ruchu Black Lives Matter zastało ją właśnie w Kopenhadze. Poetka wielokrotnie wypowiadała się w obronie praw czarnoskórych. Stało się o niej głośno do tego stopnia, że rok po przeprowadzce do Danii wzięła udział w filmie dokumentalnym *Women of Water* wyreżyserowanym przez Patricię Bbaale Bandak. Aaiún wystąpiła tam z ówczesną partnerką.

\*

Opiekę i dach nad głową osobom takim jak Aaiún od dziesięciu lat zapewnia Międzynarodowa Sieć Miast Schronienia ICORN. To zapoczątkowany w 2005 roku w Norwegii program, dzięki któremu prześladowani w swoich krajach pisarze i obrońcy praw człowieka mogą znaleźć azyl w innym kraju. Także Kraków był do tej pory bardzo gościnnie – w Willi Decjusza, bo właśnie tam rezydują stypendyści, mieszkało ośmioro pisarzy z najbardziej zapomnianych i zagrożonych wojną zakątków świata, między innymi Maria Amelia z Osetii Północnej, Mostafa Zamaninija z Iranu czy Kholoud Charaf z Syrii. Aaiún Nin spędzi w Krakowie dwa lata. – Jestem bardzo szczęśliwa, że mogę tutaj być – uśmiecha się.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchoać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



## Dworzec autobusowy na placu Zgody

Tekst: Krzysztof Jakubowski Ilustracje: z archiwum Krzysztofa Jakubowskiego

**Przed rokiem 1939 zaczęła się znakomicie rozwijać nie tylko krakowska komunikacja miejska, ale i lokalna.**

Powodzenie, jakim cieszył się urządzony w 1926 roku staraniem Polskiego Związku Turystycznego dworzec autobusowy przy krakowskim placu św. Ducha sprawiło, że niebawem jego obsługę przejęło miasto. Zachęcany tym PZT otworzył własny dworzec w czerwcu 1931 roku. Zlokalizowano go przy ówczesnym placu Zgody (dziś plac Bohaterów Getta).

Oto, jak opisywała go ówczesna prasa: „Nowy dworzec znajduje się w Podgórzu, w doskonale pod względem turystycznym wybranym miejscu, a mianowicie tuż za III Mostem, na rozgałęzieniu szos wiodących na wschód i na południe. Miejscem

tym jest dobrze utrzymany i wybetonowany pl. Zgody, leżący dokładnie na rozstajnych drogach, obok lwowskiego i zakopiańskiego szlaku. Wartość tego dworca polega nie tylko na tym, że tworzy on nowy punkt wyjściowy dla licznych połączeń z uzdrowiskami i letniskami krakowskiego województwa, lecz przede wszystkim na tym, że przeznaczony jest także do obsługi prywatnego ruchu samochodowego”. Istotnie, potwierdzeniem tej ostatniej informacji było zamontowanie ogólnodostępnych pomp benzynowych.

Niewielki, wolno stojący budynek dworca projektu Adolfa Siódmaka nie przypomina



nał raczej tego z pl. św. Ducha. Podobnym akcentem architektonicznym była jedynie (niezachowana) charakterystyczna schodkowa attyka w typie *art déco*. Widać ją nieźle na fotografii z 1931 roku. Niestety, los sprawił, że historia dworca nie była długa. W czasie okupacji urządzono tam posterunek SS, a miało to związek z utworzeniem w tej części Podgórza zamkniętej dzielnicy żydowskiej. Po wojnie wróciła na to miejsce już tylko stacja benzynowa, która przetrwała do 1986 roku.

W pobliżu dworca, nazwanego „Karpaty”, czekały na pasażerów niewielkie autobusy. Plac przecinało przedłużenie ul. Targowej, biegnące do mostu. Na dalszym planie, po lewej widać narożną, zachowaną bez zmian kamienicę u zbiegu ulic Solnej i Nadwiślańskiej, z 1913 roku. Długo stała samotnie i dopiero od lat 90. ubiegłego wieku sukcesywnie zabudowano sąsiednie parcele. Nie istnieje widoczna za budynkiem dworca piętrowa, narożna kamienica nosząca adres „plac Zgody 7”. Wyburzono ją w ramach porządkowania terenu po operacji wymiany III Mostu (1971 rok). Na jej miejscu

urządzono zieleniec i stan taki przetrwał do 2014 roku, kiedy przystąpiono do budowy gmachu wielorodzinnego (ul. Solna 1).

Zaniedbany plac przebudowano w 2005 roku według projektu Piotra Lewickiego i Kazimierza Łataka, nagrodzonego w kilku międzynarodowych konkursach. Kluczowym elementem nowego wystroju były ogromne krzesła – symboliczne nawiązanie do akcji likwidacji getta w 1943 roku. Przy tej okazji rozebrano i odbudowano od podstaw budynek dworca.



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Naturhistorisches Museum, copyright Österreich Werbung/Georg Popp

# Wiedeń: między operą a tortem Sachera

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

**Do mojego Wiednia wracam ostatnio tylko w wyobraźni, którą rozbudził towarzyszący mi w tej podróży Gerhard Roth.**

To uczucie rodziło się długo. Wzbudzało namiętność i drażniło. I nie dawało o sobie zapomnieć. Czasem dominował w nim słodki smak bitej śmietany, czasem zwyciężała kwaśnawa nuta morelowej konfitury przecinającej na pół torcik Sachera. A zdarzało się, że w owej konfiturze wyczuwałam smak nadgniętych owoców i gryzącego je od środka robaka.

Taki właśnie jest mój Wiedeń. Zachwycający, pełen powabu i wyrafinowanej muzyki, która zagłusza pulsujący gdzieś pod tynkami zabanych kamienic niepokój. Początkowo nie do końca uświadomiony. Wystarczy jednak lektura kilku austriackich pisarzy, by nie móc przestać o nim myśleć. Świetnie ujął to Janusz Margański we wstępie do książki Moniki Muskały *Między Placem Bohaterów a Rechnitz*, w którym napisał, że wchodząc do Opery czy Burgtheater, wystarczy trochę poskrobać bogate złocenia, zajrzeć pod sztukaterie, by odkryć czającą się tam cuchnącą brzydotę. I właśnie ta dwoistość pociąga mnie w tym mieście.

Zastanawiałam się długo, kto mógłby mi towarzyszyć w spacerze po Wiedniu. Najpierw myślałam o Egonie Schiele, którego obrazy i rysunki doprowadzały współczesnych mu Austriaków do szału. Potem pomyślałam, że bliżej było mi do Thomasa Bernharda, który w powieściach walił na odlew w obłudę zadowolonych z siebie rodaków. Lecz wtedy przeczytałam kilka zdań, które zdecydowały: „Wiedeński archeolog Pohanka, dokopawszy się pod kościołem Minorytów szkieletu mężczyzny leżącego na brzuchu, ze skrzyżowanymi stopami, z jedną ręką przygniecioną ciężarem ciała, drugą wykręconą na plecy, stanął wobec zagadki. Kazał sprowadzić trumnę i położył się w tej samej pozycji, w jakiej znajdował się szkielet. Wynik eksperymentu był jednoznaczny: mężczyzna został pochowany żywcem i usiłował grzbietem wypchnąć wieko trumny, co Pohanka określił jako

»koszmar, który niezamierzenie ilustruje austriackie rozdarcie: na zewnątrz pozornie uładzona codzienność, wewnątrz rozpacz i lęki«”. To słowa Gerharda Rotha z *Podróży do wnętrza Wiednia*.

Pisarzy wśród Rothów jest kilku. Najbardziej znany to oczywiście Philip, ale miłośnicy ck Austrii cenią też Josepha. Gerhard, w przeciwieństwie do kolegów po piórze, żyje i ma się dobrze. Niewiele o nim wiedziałam, bo w Polsce nie jest zbyt znany. Zdobycie wydanej dawno temu *Podróży...*, graniczyło z cudem. Ale starszy, siwy pan w okrągłych okularach od razu wzbudził moją sympatię. W młodości nie poddał się naciskowi konserwatywnego środowiska, w którym dojrzewał. Miał niespełna 17 lat, kiedy został ojcem, czym nie zyskał przychylności mieszczańskiego Grazu. Nie spełnił też oczekiwań rodziny, jako że nie skończył studiów medycznych, bo mierzyła go konieczność przeprowadzania sekcji zwłok. Zamiast wkuwać anatomię, wolał nocami zamykać się w łazience i pisać, opierając zeszyt o kosz dziecięcych pieluszek. Dzięki temu jest dziś cenionym pisarzem, o poznaniu którego marzę.

## Podziemne królestwo książek i zmarłych

Pandemia miesza szyki. Gerhard Roth przeczekuje ją pewnie w domu w Styrii, ja wciąż nie mam jak ruszyć się z Krakowa, więc nasze spotkanie w stolicy Austrii odbędzie się w mojej wyobraźni, którą rozbudziła *Podróż do wnętrza Wiednia*.

Roth uświadomił mi na początku, że poznanie Wiednia możliwe jest tylko wtedy, gdy będę stąpać po jego brukach nie tylko z głową w chmurach, ale też ze wzrokiem skierowanym w dół. Patrzyć więc uważnie pod nogi, gdy spotykamy się pod Albertiną, do której w normalnych czasach przyjeżdżałam niemal na każdą wystawę i której kolekcję impresjonistów tak cenię.

---

**Ewa Lipska, poetka, felietonistka „Krakowa”, w latach 1995–1997 dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu**

Chętnie zamieszkałabym w Wiedniu na Wzgórzu Baumgartner (Baumgartner Höhe). Nie tylko ze względu na piękne widoki, ale także z powodu skojarzeń literackich. Otóż przebywał tam często, w szpitalu chorób płucnych, Thomas Bernhard, a obok, w szpitalu psychia-

trycznym, Paul Wittgenstein, ekscentryczny meloman, skandalista, krewny filozofa Ludwiga Wittgensteina. Łączyła ich przyjaźń i miłość do muzyki. Owocem tych spotkań, opodal słynnego secesyjnego kościoła Am Steinhof, było opowiadanie Bernharda *Bratanek Wittgenstein*.

Tym razem odpuszczam podziwianie Moneta i Picassa i razem z panem Gerhardem wyruszam w stronę placu Bohaterów, przy którym Hitler przyjmował hołdy rozentuzjanzmowanych rodaków. Nie miałam pojęcia, że tę niemałą odległość pokonujemy, stąpając po książkach znajdujących się w Bibliotece Narodowej, której trzy kondygnacje mieszczą się na dużym obszarze rozciągającego się pod nami podziemnego królestwa. Znajdują się tu miliony tomów, które wydobywa się ze sztolni za pomocą czegoś w rodzaju kolejki linowej. Trwa to jednak długo, więc cofamy się do centrum starego miasta, bo pan Gerhard ma jeszcze jedną podziemną niespodziankę.

Idziemy w stronę katedry św. Szczepana, wokół której znajduje się tym razem królestwo zmarłych. Na głębokości 20 metrów pochowano tu ponad 15 tysięcy bezimiennych ludzi. „Większość pochówków nastąpiła między 1711 a 1785 rokiem. W roku 1713, w czasie wielkiej epidemii dżumy, zwłoki posypywano wapnem, aby szybciej wysychały, owijano w płótno i wrzucano do rowu, który prowadził z placu przed katedrą do katakumb” – opowiada Gerhard Roth, a ja mogę odpłacić mu historią mojej wizyty w wiedeńskim Muzeum Pochówku.

Warto się tam wybrać, by przekonać się, jak wiedeńczycy rozkochani byli w pogrzebach. W muzeum można zobaczyć okazałą kolekcję sukien pogrzebowych, które damy zmieniały co sezon, podążając za funeralną modą. Ze swadą opowiada o tym doktor Wittigo Keller, który sam wygląda dość demonicznie, a jego opowieści sprawiają, że słuchaczy przechodzą dreszcze, szczególnie kiedy zaczyna demonstrować eksponaty. Nie zapomnę chwili, gdy pokazał mi, na czym polega działanie wynalezionej w 1784 roku przez Józefa II Habsburga trumny wielokrotnego użytku. Wciąż słyszę trzask otwieranego za pomocą dźwigni dna, przez które zaszczy w workach zmarli wypadali prosto do ziemi. Tak pochowano prawdopodobnie Mozarta.

### Słodki smak miasta z procesami w tle

Teraz tekturowy wizerunek kompozytora stoi niemal na każdym rogu, zapraszając do sklepów z pamiątkami i czekoladkami Mozartkugel. Dajemy się skusić ich marcepanowo-nugatowej masie, dochodząc do wniosku, że oddamy teraz głos przyjemniejszemu obliczu Wiednia. Zapraszam pana Gerharda do mojej ulubionej cukierni o nazwie Aida, tuż pod katedrą św. Szczepana, ale on kręci nosem, że jej różowy wystrój dobry jest dla turystów. Wiedeńczyk ciastko zje tylko w renomowanej kawiarni, popijając je kawą *melange*, zwieńczoną koroną mlecznej pianki. Takiej jak choćby kawiarnia w hotelu Sachera, która posiada certyfikat prawdziwości najśłynniejszego wiedeńskiego tortu. Nie bez powodu właściciele hotelu wygrali tak zwany tortowy proces toczony przez lata z cukiernią Demela. Odtąd receptura deseru jest pilnie strzeżona i spoczywa w zamkniętym sejfie, a szef kuchni musi składać przysięgę, że nie zdradzi słodkiej tajemnicy.



Wylizując bitą śmietanę z czekoladowej powierzchni ciasta (trudno, ten zwyczaj został mi jeszcze z czasów przedszkolnych i nawet elegancki Wiedeń tego nie zmieni), przypominam pisarzowi historię tortu, który powstał w latach 30. XIX wieku przez czysty przypadek. Deser wynalazł kuchcik Franz Sacher, kiedy u księcia Metternicha pojawili się niespodziewanie goście. Ciastko tak posmakowało arystokratom, że sprytny 16-latek zaczął być rozchwytywanym kucharzem, szybko się dorobił i stać go było na kupno dwóch hoteli. I to w kawiarni jednego z nich właśnie siedzimy. Pan Gerhard przyznaje, że moja metoda jedzenia tortu jest całkiem niezła. Widzę jednak, że jeszcze do końca jej nie opanował, gdyż nieco śmietany zostało mu na okularach. Śmiejemy się z tego może za głośno, co uświadamia nam spojrzenie sztywnego niczym wykrochmalony obrus kelnera. On chyba





Kunsthistorisches Museum, copyright Österreich Werbung/Julius Silver

### **Philipp Charwath, konsul generalny Austrii w Krakowie**

Jednym z moich ulubionych miejsc w Wiedniu jest plaża nad Kanałem Dunajskim. Jak to plaża? W mieście, nad kanałem? Tak, istnieje coś takiego: Kanał Dunajski, niegdyś jedna z odnóg Dunaju oddzielająca Dzielnice IX, I i III od Dzielnicy II. Przybывая od centrum miasta, łatwo go można przeoczyć – górą pędzą samochody, zaś mało zachęcający Schwedenplatz służy tłumom turystów w najlepszym razie jako przystanek metra. Zaledwie parę metrów niżej, przy samym brzegu kanału, rozwinęła się w ostatnich latach żywa strefa gastronomii, rozrywki i relaksu. W lecie można tu, w środku miasta!, zanurzyć stopy w piasku i sączyć koktajl na plażowym leżaku, zapomnieć na chwilę o codzienności. Można zażyć

kąpieli w pływającym basenie (sam kanał się do tego nie nadaje), są koncerty na żywo, spotkania autorskie, odczyty i podobne atrakcje, odbywające się na scenie letniej lub w jednym z licznych lokali wzdłuż rzeki, noszących wiele mówiące nazwy: Tel Aviv Beach, City Beach, Hermann's Strandbar etc. W lokalu Speisen ohne Grenzen (Jedzenie bez granic) uchodzący z całego świata przygotowują specjały swoich narodowych kuchni. „Pływające Ogrody”, unoszące się nad wodami Kanału Dunajskiego, są znakomitym miejscem dla szukających relaksu i odprężenia. Kocham tę okolicę, bo jest jednocześnie i żywa, i odprężająca. Pozwala mieszczuchowi autentycznie rozkoszować się latem w mieście.

jednak nie wie, że możemy pozwolić sobie tu na nieco większy luz. Miejsce, w którym jesteśmy, niegdyś bardziej przypominało dom schadzek niż luksusowy hotel. Do dziś krążą opowieści, jak to pewien arcyksiążę, wykąpowawszy tu baletnicę w szampanie, zawartość wanny wylewał za pomocą nocnika na głowy przechodniów. Kiedy cesarz się o tym dowiedział, wściekł się i kazał mu natychmiast wracać do pałacu – tak jak stał. No i Wiedeń był świadkiem powrotu członka cesarskiej rodziny w samych tylko butach.

Ciekawe, czy arystokrata maszerował do Hofburgu głównym traktem, czy przemykał bocznymi uliczkami nieopodal opery. W takim przypadku mógł usłyszeć muzykę wykonywaną przez ćwiczącą na porannej próbie orkiestrę. Proponuję panu Gerhardowi, byśmy spróbowali kupić wejściówki na spektakl, co w Wiedniu, o dziwo, może się udać i wcale nie musi kosztować majątku. Opera Wiedeńska jest bowiem jedną z najbardziej demokratycznych instytucji tego typu w Europie. Bo choć bilety na miejsca siedzące kosztują i 300 euro, to jest tu aż 560 tanych miejsc stojących. Przekonujemy się o tym, przechadzając się po widowni zaprojektowanej, jak cały budynek, przez Eduarda van der Nülla i Augusta Sicarda von Sickardsburga. Z powodu nieustającej krytyki pierwszy z architektów popełnił samobójstwo, a drugi niecałe trzy miesiące później zmarł na atak serca. Znowu przypomniał sobie, że Wiedeń potrafi być tyleż nieprzyjemny, co fascynujący – jak inaugurujący scenę w 1869 roku *Don Giovanni* Mozarta.

#### **Smutny pan z wąsikiem i fantazja szalonego reżysera**

Tych dwóch sprzecznych uczuć po raz kolejny doznaję, gdy zbliżamy się do Akademii Sztuk Pięknych. Stajemy przed jej budynkiem, a pan Gerhard znowu przeciera okulary, tym razem z powodu oślepiającego słońca. Ciekawe, czy świeciło ono tak mocno, gdy na początku ubiegłego wieku stanął w tym samym miejscu cherlawy młodzieniec z wąsikiem? Zastanawiamy się, czy gdyby Adolfowi Hitlerowi udało się wówczas skończyć studia, inaczej potoczyłyby się losy świata? I czy byłyby mniej okrutne niż wizja Hieronima Boscha ukazana w tryptyku *Sąd ostateczny*, który znajduje się w centralnym punkcie akademickiego muzeum? Wizja kary, jaka czeka grzeszników, robi takie wrażenie, że nie zwracamy uwagi na wiszące tuż obok obrazy mistrzów, wśród których są Lucas Cranach, Rembrandt, Peter Paul Rubens... I to jest dopiero grzech, ale przecież odpokutujemy go zaraz w pobliskim Kunsthistorisches Museum, gdzie do tego zestawu dołączy Tycjan, Tintoretto, Veronese, Rafael, Dürer, Velasquez. I oczywiście Piotr Bruegel Starszy, bo właśnie w Wiedniu znajduje się największa kolekcja jego obrazów.

By dotrzeć do płócien mistrzów, wspinamy się po wysokich schodach potężnego gmazyska. Już monumentalna, marmurowa klatka schodowa sprawia, że czujemy się jak arystokraci ducha. Trudno mi jednak zachować po-



wagę, gdy przypominam sobie jedną z najfajniejszych (Boże, jak to słowo brzmi w tym *entourage'u*), wystaw, jakie tu widziałam. Opowiadam panu Gerhardowi o niej, gdy zmęczeni siadamy w muzealnej kawiarni, by delektować się kieliszkiem mojego ulubionego austriackiego wina ze szczepu Gelber Muskateller. Wbrew nazwie nie jest ono słodkie, za to roztacza nieprawdopodobny kwiatowy bukiet. To radosny trunek, dlatego dobrze snuje mi się przy nim wspomnienia ekspozycji, której już sam tytuł – *Mumia ryjówki w trumnie i inne skarby* – sprawił, że musiałam na nią przyjechać. Trzeba mieć jednak w sobie sporo szaleństwa, czego – jak widać – nie brakuje dyrekcji tej poważnej instytucji, by zaprosić do współpracy reżysera Wesa Andersona. Kto zna jego *Grand Budapest*



Kunsthistorisches Museum, copyright KHM Museumverband

### **Matthias z Biura Promocji Wiednia**

**F**ranziskanerplatz to plac w centrum Wiednia, na którym można znaleźć coś wyjątkowego – kawiarenkę Kleines Café. Na pierwszy rzut oka wydaje się niepozorna i ciasna, a nadto zadymiona – jakby czas stanął tu w miejscu.

Nie jest tak atrakcyjna jak Café Sacher, ale posiada zupełnie inne zalety.

Ciekawa jest już historia, jaką Kleines Café ma do opowiedzenia. Hanno Pöschl, wiedeński restaurator i aktor, który wystąpił w wielu filmach, serialach i sztukach teatralnych, otworzył ją w 1976 roku. Kiedy dostał propozycję zagrania w słynnym *Przed wschodem słońca* z Ethanem Hawke i Julie Delpy,

kawiarnia stała się naturalną scenerią tego obrazu. Już choćby z tego powodu wydaje się być miejscem wartym odwiedzenia.

Należy tu przede wszystkim spróbować wiedeńskiej sałatki z kiełbasą, która jest jedną z najlepszych w mieście. A smak podawanego tu chleba z domowym smarowidłem lub szczypiorkiem sprawi, że będziemy chcieli delektować się nim przez dłuższą chwilę.

Jeśli więc ktoś marzy, aby odwiedzić typową wiedeńską kawiarnię z dala od tłumów turystów, to Kleines Café jest miejscem, gdzie koniecznie powinien zajrzeć. Szczególnie latem, gdy otwarty jest mały ogródek.

*Hotel czy Kochanków z Księżycy*, wie, jaki to musiał być rodzaj odwagi. Tym bardziej że twórca postanowił pobuszować w muzealnych magazynach i wyciągnąć z nich setki zakurzonych przedmiotów codziennego użytku, obrazów czy rzeźb, najczęściej balansujących na granicy kiczu. Zasada, która kierowała wyborem, była prosta – ludzkość doskonale mogłaby się bez tych rzeczy obejść. Bo po co komuś przy zdrowych zmysłach figurka Murzyna niosącego na głowie muszlę, na której stoi nosorożec? Albo naga kobieta siedząca na jeżu? Po nic, oprócz tego, że mogą sprawiać dziką przyjemność.

Pan Gerhard studzi nieco mój entuzjazm, bo nie wszystko, co kryją muzealne podziemia, jest tak zabawne. Może jeszcze w magazynach Kunsthistorisches jest dość wesoło, ale tuż obok w zbiorach Naturhistorisches Museum, na które patrzymy przez okno kawiarni, raczej nie. Pisarz twierdzi, że przypominają one koszmarne sny: „70 tysięcy spreparowanych ryb, w szklanych pojemnikach spoczywają pionowo rekiny, płaszczki, mureny. W kolekcji ryb piętro wyżej oglądać można dalsze 170 tysięcy martwych artystów zapomnianego cyrku natury. (...) Widok tych ryb, wyłowionych z morza często jeszcze za czasów monarchii, przywodzi na myśl owo straszne doświadczenie z dzieciństwa, kiedy po raz pierwszy zetknęliśmy się ze śmiercią”.

– A to jeszcze nic – rzuca znad kieliszka. – Chce pani zobaczyć coś naprawdę mocnego? To zapraszam do Wieży Pomyleńców! – mówi, zrywając się z miejsca i prowadząc mnie w stronę Muzeum Anatomopatologicznego. Już sam okrągły budynek sprawia dziwne wrażenie. To w nim cesarz Józef II kazał otworzyć oddział psychiatryczny. W małych celach przebywało z reguły po dwóch pacjentów. Ci mniej spokojni byli przykuci do podłogi i ścian łańcuchami. „Wchodząc dziś do Wieży Pomyleńców, rozpoczyna się długa wędrówkę przez strach, mękę, przez mity, sztukę, literaturę i historię. Początek i koniec drogi wyznaczają szklane słoje i gabloty, w których majaczą »syreny«, »cyklopi«, »janusowe głowy« i »bliźnięta syjamskie«, w formie preparatów albo szkieletów, niczym modele Goi, Boscha i Kubina albo postaci z Homera, braci Grimm i Becketta” – ostrzegął mnie jeszcze przed wejściem do wieży autor *Podróży do wnętrza Wiednia*. Po wyjściu z niej, nie miałam już nic do dodania.

#### **Między znacym wiener schnitzelalem a dyskusyjnym zweigeltem**

Na szczęście pomaszzerowaliśmy potem do wiekowej restauracji Griechenbeisel. To właśnie tutaj miał grywać legendarny dudziarz Augustyn, znany z melodii *O mój miły Augustynie* i to tu biesiadowali Beethoven, Schubert i Brahms. Ich podpisy widnieją na jednej ze ścian lokalu. Pisarz przygląda się im uważnie i konstatuje: „Ten naród stał się narodem muzyków, ponieważ nie mógł mówić i wypowiadać się. (...) Mozart nie jest pochowany w katedrze, w kościołach i katedrach gra się tylko jego muzykę”.

Interesująco zapowiadający się wywód przerywa wejście kelnera. Nie muszę patrzeć do karty, bo w ciemno wiem, co zamówię. Niech mi wybaczą wegetarianie, ale tutejszy wiener schnitzel jest wyjątkowy. Tym bardziej że serwują go z kartoffelsalat, której smak zawsze będzie mi się kojarzył z galicyjską kuchnią babci. Pan Gerhard idzie w moje ślady, zamawiając do tego butelkę przedniego zweigelta z górujących nad Wiedniem miejskich winnic. Dyskutujemy, czy nazwa szczepu zostanie zmieniona, gdyż jego pierwszy hodowca, Friedrich Zweigelt był zapalonym nazistą. Sam fakt, że się o tym mówi, świadczy, iż Austriacy robią obecnie wiele, by rozliczyć się z przeszłością.

Gdy kelner przynosi nam na deser strudel z jabłkami, pan Gerhard znowu wypróbuję mój sposób na śmietanę. Trening czyni mistrza i tym razem jego okulary wychodzą z pojedynku z białym stożkiem bez szwanku. I całe szczęście, bo muszę pokazać mu jeszcze jedno ważne dla mnie miejsce. Będzie to Hotel Imperial, dzięki któremu pierwszy raz w życiu (Boże daj, żeby nie ostatni), czułam się jak urodzona arystokratka.

Otóż parę lat temu, kiedy miasto obchodziło 150. rocznicę powstania Ringstrasse, jego władze zaprosiły grupę dziennikarzy, by poznali historię Ringu. Wczucie się w atmosferę XIX wieku ułatwić miał nam nocleg w luksusowych apartamentach Imperialu. Teraz, kiedy z pisarzem stoimy pod hotelowymi oknami, mogę tylko wspominać, jak wyglądał mój pokój. Przypominam sobie szezlong, na którym się wylegiwałam, słuchając muzyki i pijąc szampana (prawdziwego). Wciąż staję mi przed oczami uśmiechnięta pokojówka, w stylowym fartuszku, do której obowiązków należało ścielenie łóżka z baldachimem i rozkładanie pod nim ogrzanego dywanika.

Dobrze, już przestaję, bo zdaje się, że pan Gerhard ma nieco lewicowe poglądy. By się zrehabilitować, zabieram go do miejsca, gdzie najczęściej zatrzymuję się w Wiedniu i to nie tylko dlatego, że nosi nazwę Magdas Hotel. Przyczyna jest zupełnie inna. Z atmosferą kolorowej, kulturowej mozaiki, jaka tu panuje, nie spotkałam się w żadnym hotelu na świecie. Prowadzą go bowiem młodzi uchodźcy, którym Austria przyznała azyl po tym, jak Viktor Orban zmusił wycieńczonych emigrantów do koczowania w strasznych warunkach na dworcu Keleti w Budapeszcie. Wtedy wiedeńczycy wsiedli do prywatnych samochodów i zawieźli uchodźców do Austrii i Niemiec. I to także jest Wiedeń, o którym długo można opowiadać.

Cytaty w tekście pochodzą z książki Gerharda Rotha *Podróż do wnętrza Wiednia*.



**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mariki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

# PORTRETY 2021 (czerwiec)

Tekst: Witold Bereś

**Dziś portret (autoportret) tylko jeden, ale jakże smakowity i jakże sarmacko-nieszczęsny: Stanisława Cata-Mackiewicza. Aż szkoda, że częściowy tylko – bo na jego wielką biografie nadal czekamy.**

To portret jednego z najwybitniejszych publicystów i pisarzy politycznych, a przy okazji znakomitego biografisty (pisane ze swadą prace o Dostojewskim i Stanisławie Augustie).

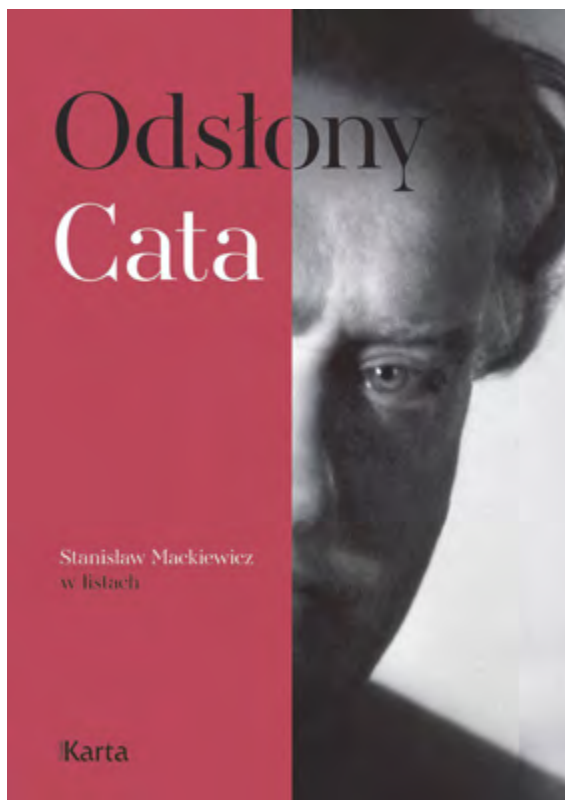
„Chętnie bym odegrał w Polsce tę samą rolę, którą »Czas« [WB: konserwatywne pismo krakowskie] odegrał po powstaniach. Przestrzegłbym Polaków przed dalszymi lasami, spiskami, konspiracjami, a zwłaszcza angażowaniem się w kombinacje amerykańskie. Rolę tę mogę spełnić dopiero wtedy, jeśli w kołach, dla których mój głos ma pewne znaczenie, zachowam swój prestiż moralny, który – ośmielę się powiedzieć – jest tu na emigracji dość duży. Gdybym zaczął pisać, że jeśli Amerykanie będą w Moskwie, to my w Warszawie powinniśmy urządzić powstanie odsieczowe – to by nikt nie uwierzył i w najlepszym razie uważano by mnie za błazna” – pisze bohater książki w czerwcu 1947 roku do innego konserwatywy Aleksandra Bocheńskiego.

Powiedzieć, że to skrajnie nieodpowiedzialna konsekwencja w tak zwanym pragmatyzmie politycznym – to nic nie powiedzieć. Taka postawa właściwie zahaczała wtedy o kolaborację, a może i zdradę stanu. Powie ktoś: wszak miliony Polaków, mniej lub bardziej chętnie chciały nie tylko żyć w Polsce po roku 1945, nie tylko ją budowały, ale i włączyły się w uprawianie tam polityki, i to z dobrym skutkiem. I jestem za! Sęk jednak w tym, kim był Cat i jakie szkodliwe konsekwencje polityczne przyniosła jego postawa (o czym za chwilę).

Monarchista, apologeta Kresów, zwolennik przewrotu majowego i Piłsudskiego, a przeciwnik faszystowskich sanacji i endecji, który w czerwcu 1940, pod wrażeniem klęski i kapitulacji Francji, zwrócił się do prezydenta Raczkiewicza z sugestią podjęcia rozmów z Niemcami. Jego sytuacja na emigracji była kiepska – Mikołajczyk miał do rozmów z Moskwą wygodniejszych polityków niż antykomunistyczni konserwatyści (Cat był bratem Józefa Mackiewicza, od którego po prawej stronie była tylko ściana), a emigracyjni konserwatyści nie znosili go za niezależność i krytykę „Londyniszczu” (tytuł jednej z jego książek, skrajnie antyemigranckiej, a zatem chętnie wydanej w... PRL).

Cat od początku chciał wrócić nad Wisłę. „Chętnie przyjadę do Polski, albo dla działalności quasi-politycznej w zakresie, który Ci wyłuszcza, albo dla spędzenia reszty życia w kraju. (...) Żadnego pokajania ogłaszać nigdy nie będę”. Ale czy chodzi tylko o tak konsekwentne poszukiwanie *realpolitik*, że wiodące aż na peryferie politycznej głupoty? Raczej, co z listów również wynika, decydował charakter i proza życia. *Ego* rozhuśtane, pożądanie świata polityki – bezkresne, głód pieniędzy – niezaspokojony i żądza kobiet – niezmierny.

Jeśli dodać do tego, że pisarz przymierał głodem, to nic dziwnego, że szybko znalazł się w orbicie polskiego wywiadu – chciano zrobić z niego najważniejszego agenta w „polskim Londynie”. Cat, flirtując z emisariuszami



szami bezpieczeństwa, odpowiedział zdecydowanie: „Nie mogę się zgodzić pod żadnym pozorem na jakąkolwiek niejawną współpracę. (...) Nie jestem materiałem na konfidenta”. Ale kiedy nadchodzi postalinowska odwilż, sam zwrócił się do Warszawy z propozycją współpracy: nie jako agent, lecz jako sympatyk. To wtedy, biorąc pieniądze z ambasady (niby jako zaliczki na książki, a *de facto* z UB), pisze artykuły, w których atakuje przywiązanie do idei państwa na uchodźstwie i oskarża polityków emigracyjnych o szpiegostwo na rzecz USA i Wielkiej Brytanii. To wszystko przydaje się propagandzie PRL w walce z Zachodem, a już szczególnie przydało się jej to, że Cat został premierem rządu emigracyjnego, po czym... zdecydował się uciec nad Wisłę.

Książka zafrapowała mnie nie z sympatii dla politycznych wyborów bohatera, ale z sympatii dla czysto ludzkich turbulencji losu polskiego i barwnej osobowości tego awanturnika politycznego i literackiego. Upiędrliwy kłótnik, narcyz i choleryk – słowem postać smakowita.

Tu osobne podziękowania dla mego przyjaciela, marszałka Senatu Michała Kamińskiego, za podrzucenie mi tego tytułu. ☺

*Odsłony Cata. Stanisław Mackiewicz w listach*, wybór i redakcja Natalia Ambroziak, Ośrodek Karta, Warszawa 2020.



**Jadwiga Kaim-Otręba** – absolwentka krakowskiej ASP. Oprócz wystaw indywidualnych, brała udział w wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Zdobyła wiele nagród i wyróżnień w konkursach graficznych. Jej prace znajdują się między innymi w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum w Tarnowie, zbiorach miejskich w Zakopanem, w Muzeum Archidiecezjalnym w Warszawie, w National Museum w Sztokholmie, Pratt Graphics Center w Nowym Jorku.

**Ryszard Otręba** – profesor, absolwent krakowskiej ASP (dyplom w 1959 roku na Wydziale Architektury Wnętrz u prof. Zbigniewa Chudzikiewicza). Kształcił się w pracowni miedziorytu prof. Mieczysława Wejmana. Dy-

daktyk związany z Wydziałem Form Przemysłowych, gdzie kierował Katedrą Komunikacji Wizualnej. Prorektor ASP w latach 1987–1990. Wykładał między innymi w Sydney College of the Arts w Australii oraz w Connecticut University w Storrs (Stany Zjednoczone). Zajmuje się grafiką warsztatową, jest projektantem i teoretykiem w dziedzinie komunikacji wizualnej, autorem tekstów badawczych. Jego prace znajdują się między innymi w Muzeach Narodowych w Krakowie, Warszawie, Poznaniu, Szczecinie i Gdańsku, w Muzeum Sztuki w Łodzi oraz w MOMA w Nowym Jorku, Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie, Victoria and Albert Museum w Londynie, Tate Gallery w Londynie i Moderna Museet w Sztokholmie.

# Miłość i grafika, grafika i miłość

Tekst: Majka Lisińska-Kozioł Zdjęcia: Jacek Kozioł

**Sześćdziesiąt lat temu powiedzieli sobie „tak” i od tamtej pory energicznie kroczą pod rękę i w życiu, i w sztuce. Szanują się wzajemnie i dają sobie wolność do własnego kreowania rzeczywistości przez artystyczne i życiowe wybory. Jadwiga i Ryszard Otrębowie – para wspaiała.**

Na ogrodzeniu posesji w krakowskim Płaszowie bieleją dwie cyfry: trzy i dwa. Widać je z daleka. Stanowią punkt orientacyjny dla gości, którzy szukają domu Otrębów. Ten ogromny numer to pierwsze zaskoczenie. A drugie, gdy zbliżający się do dziewięćdziesiątki profesor podbiega do furtki, by zaprosić do domu.

## Szmaragdowy sweter

Poznali się na studiach. Jadwiga z domu Kaim wybrała grafikę na krakowskiej ASP, a Ryszard architekturę wnętrz. Oba kierunki mieściły się w gmachu z czerwonej cegły przy ulicy Humberta. Młodzi wpadali na siebie to tu, to tam.

Ale, jak mówią, miłość nie spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Otulała ich powoli i niepostrzeżenie. – Rysiu podobał się moim przyjaciółom. Nie akceptowali innych kolegów, a jego tak. Przypadł do gustu nawet wymagającej Marysi Stangret – opowiada Jadwiga Otrębowa. – Spotkałyśmy się w malarzkiej pracowni profesora Jana Świdzkiego. To były jej pierwsze chwile z Kantorem po tym, jak rozstał się z żoną. Zaprzyjaźniłyśmy się.

– A pamiętasz, Rysiu, jak pojechaliśmy całą grupą na wystawę do Warszawy? Koledzy już wtedy podejrzewali, że jesteśmy parą, choć my tego jeszcze nie wiedzieliśmy.

– Podobno już na drugim roku zwróciłaś uwagę na mój szmaragdowy sweter, który miałem ze Zrzeszenia Sportowego Włókniarz Bielsko-Biała. Bo nie ma co ukrywać, że zanim pokochałem Jadzię, zakochałem się w nartach. Najpierw to były skoki, a za studenckich czasów uwielbiałem podróżować nocnym pociągiem do Zakopanego, by rano ustawić się w kolejce na Kasprowy Wierch. Jeździł wtedy ze mną Rysiek Ćwikła, alpejczyk, a potem trener francuskiej kadry narodowej. Żeby nie tracić czasu na przerwę obiadową do jednej kieszeni wciskałem kiełbasę myśliwską, a do drugiej gorzką czekoladę i w biegu uzupełniałem kalorie.

– Sweter? – owszem, rzucał się w oczy. I wczesnowiosenna opalenizna też – śmieje się Jadwiga. – Ale zauroczyło mnie to jak śmi-

gałeś na deskach. Jakiś czas potem zaczęliśmy się umawiać. Prawda, Rysiu?

– Zaprosiłem cię na wino. Przy Sławkowskiej była probiernia „Pod Szóstką” i tam się nasze drogi zbliżyły.

## Pantofle prosto z Wiednia

Ślub Otrębów był wydarzeniem towarzyskim. Miłość na całe życie przysięgali sobie w bazylice Mariackiej. – Zanim poznałam Rysia, konserwowałam w tym kościele zabytkowe stalle. Trzeba było pozbyć się korników, żeby po sprowadzeniu ołtarza Wita Stwosza z Wawelu te drzewolubne robale go nie przeżarły. Pracami kierował Andrzej Krzyżanowski, architekt, ojciec mojej koleżanki Kasi. W zespo-

Jadwiga Otręba zawsze chciała zostać malarką, ale na grafice była większa dyscyplina, której, jak dziś sama mówi, w młodości potrzebowała. „W ryzach trzymała już sama technika”.

le byli Krzysiu Litwin, Tadiusz Jackowski i nasz konserwator Pawlik. Chodziły słuchy, że ukęcał głowy gołębiom i gotował z nich rosół, ale go na tym nigdy nie złapaliśmy. Wieczorami ksiądz Franciszek Macharski oglądał postępy naszej pracy. To wtedy się poznaliśmy, więc gdy przyszło zamówić ślub, chętnie nam go udzielił przed ołtarzem mistrza Wita Stwosza.

– Jadzia wyglądała uroczo. Pamiętam jej białą sukienkę do kolan z ładnym dekoltem – opowiada profesor i uśmiecha się do żony. – Tak było – kiwa głową pani Jadwiga. – Sukienka była kloszowa, skromna. Siostra mi ją uszyła. Kwiaty też miałam białe, ale moją dumą były buty – modne, z kokardką, na małym obcasiku. Przywiozłam je sobie z Wiednia.

Wesele urządzono w domu rodzinnym panny młodej. Przyszło mnóstwo gości. – I zawalił się tapczan, gdyśmy wszyscy na nim usiedli – pamiętasz, Rysiu?

### Szycie to nie to

Jadwiga, zanim jeszcze zaczęła marzyć o sztuce, zdała do odzieżówki przy ul. Syrokomli w Krakowie. A tam szybko zrozumiała, że szycie to nie jest jej świat, ale rysowanie – owszem. W Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych trafiła pod skrzydła Adama Hoffmanna. – Był wymagający. Musieliśmy wykonać przynajmniej trzy szkice dziennie. Skrupulatnie tego pilnował.

To szkicowanie przydało jej się podczas egzaminów na grafikę na Akademii Sztuk Pięknych. Wybrała ten kierunek z przekory. – Zawsze chciałam zostać malarką, czułam malarstwo, ale na grafice była większa dyscyplina. W ryzach trzymała mnie już sama technika, a tego właśnie wtedy potrzebowałam – wspomina. Adiunktami na wydziale byli Franciszek Bunsch, Włodzimierz Kunz, Marian Malina. – Tu, obok drzwi, wiszą grafiki Konrada Srzednickiego. Żona obroniła u niego dyplom z litografii – mówi profesor.

– Szczególnie mnie pociągała, bo była najbardziej malarska. Uwielbiałam też plakat. Wzruszyłam się, gdy profesor Stefan M. Makarewicz, lata po obronie, zauważył mnie na swoim wernisazu i powiedział, że przechowuje projekt plakatu, za który dostałam nagrodę na piątym roku studiów. Nagród mam zresztą wiele, ot, chociażby za plakat teatralny do *Tanga* Sławomira Mrożka.

Jadwiga działała też w Związku Polskich Artystów Plastyków i współpracowała z profesorem Krystyną Wróblewską, współorganizując konkursy na najlepszą grafikę miesiąca.

### Życie naznaczone walką

Gdy wybuchła II wojna światowa Ryszard miał 7 lat i powinien był pójść do pierwszej klasy, ale nie zaczął nauki. Wrócił do szkoły dopiero po wyzwoleniu. Mieszkał wtedy w Pszczynie. Zapisał się do harcerstwa, został nawet zastępowym zastępu „Żubrów”. – Po wojnie tułał się po domach dziecka przepelnionych i biednych. W którymś z nich był razem z Wiesiem Dymnym, pierwszym mężem naszej Ani – opowiada pani Jadwiga.

Ojciec profesora Otręby, leśniczy księżęcych lasów pszczyńskich, brał udział w trzech powstaniach śląskich. Po wybuchu II wojny wycofywał się wraz z polskim wojskiem na wschód. – Rodzina Rysia walczyła z okupantem do 1943 roku, kiedy to aresztowano jego ojca, matkę, dwie siostry oraz dwóch braci i osadzono ich w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz. – Miałem wtedy dziesięć lat, siostra Klara trzynaście, a brat Staszek siedem – opowiada Ryszard Otręba. Ani ojciec, ani dwaj starsi bracia profesora, ani szwagier nie doczekali końca wojny.

– Tymczasem nauczyciele dostrzegli talent Rysia i skierowali go do Liceum Technik Plastycznych w Bielsku-Białej. Wspomina, że w tamtym czasie jeździł do Oświęcimia i rysował narożne obozowe słupy z drutami oraz



wieże wartownicze z myślą, że w przyszłości te dramatyczne elementy wykorzysta w swojej twórczości.

– *Moje Obrazy pamięci* powstały na kanwie tamtych szkiców – opowiada profesor.

Ale wcześniej został przyjęty na krakowską Akademię Sztuk Pięknych. Miał w dorobku, oprócz znakomitego świadectwa maturalnego, również kilka medali i dyplomów zdobytych w otwartych konkursach skoków narciarskich. – Mówiło się, że to dyscyplina dla ludzi, u których odwaga potrafi zatrumfować nad instynktem samozachowawczym. A ja lubiłem podejmować wyzwania i uczyć się nowych rzeczy – mówi.

### Metoda Otręby

W latach 60. ubiegłego wieku, gdy Otrębowie zaczęli życie we dwoje, grafika w Krakowie eksplodowała. Oboje intensywnie pracowali. – Tyle że ze względu na warunki lokalowe uprawialiśmy głównie drzeworyt. To wtedy zdarzało się, że gdy miałem zamówienie na grafikę o określonym wymiarze, stolarze nieprecyzyjnie przycinali deski. Dopasowanie wielkości grafiki do życzeń klientów i związane z tym stolarskie poprawki zakłócały rytm pracy. Dlatego zacząłem odlewać grafiki w płycie gipsowej.

Z czasem profesor osiągnął mistrzostwo w tej rzadkiej i trudnej technice. W zagra-





nicznych podręcznikach dla grafików przedstawiano ją jako „metodę Otręby”. – Bo Rysiu był odkrywcą, jeśli chodzi o grafikę – chwali męża pani Jadwiga. – Dostrzegł w niej nowe, niewykorzystywane dotąd możliwości. Zwykł mawiać, że wierzy w twórczy charakter człowieka, dlatego przez swoje grafiki szuka bezpośredniego kontaktu z odbiorcą dla wywołania bezinteresownego przeżycia. Profesor Andrzej Wróblewski napisał o nim, że operuje płaszczyznami finezyjnych faktur i uzyskuje niezwykle wrażenie rozedrgania światła i wielkich dramatycznych napięć między kontrastującymi powierzchniami – pięknie, prawda?

#### **Ja pana nie znam**

Ryszard Otręba z błyskiem w oku wspomina początek studiów. – Był 1953 rok i właśnie wprowadzono szkolenie wojskowe. Dostałem książeczkę, a jakże, wojskową. Ktoś tam wykalił: „zdolny do służby nieliniowej”. Wciąż mnie śmieszy ta nieliniowa służba, a dziwi tyrada profesora Xawerego Dunikowskiego, którą wygłosił na stopniach akademijnych schodów. Zdarzyło się to chwilę po tym, jak z wielkim uszanowaniem ukłonił mu się kierownik działu kadr uczelni. Profesor minął go, ale po chwili zawrócił i spytał: „Dlaczego właściwie pan mi się kłania?”. „Bo pana znam”

Profesor Andrzej Wróblewski napisał o Ryszardzie Otrębie, że operuje płaszczyznami finezyjnych faktur i uzyskuje niezwykle wrażenie rozedrgania światła i wielkich dramatycznych napięć między kontrastującymi powierzchniami.

– odparł zaskoczony kierownik. Dunikowski odparł: „Ale ja pana nie znam i nie życzę sobie, żeby mi się pan kłaniał”.

Ryszard Otręba został magistrem Architektury Wnętrz u profesora Zbigniewa Chudzikiewicza. Ale fascynowała go grafika, więc na piątym roku otrzymał zgodę na uczestniczenie w zajęciach także i tego przedmiotu. – Miałem szczęście, że mogłem wykazywać się na różnych polach działalności, począwszy od twórczości plastycznej poprzez projektową do organizacyjnej i wreszcie dydaktycznej.

– Rysiu wiele osiągnął i pozostał ciepłym, dobrym człowiekiem. Rzadko coś wyprowadza go z równowagi. Pamiętam taką sytuację: Kuba, nasz wnuk, ma dziś dwadzieścia lat, nie lubił chodzić do przedszkola. Kupiliśmy sobie w tym czasie nowiutkiego granatowego opla. Rysiek pojechał po Kubę, a ten wyszedł z przed-

szkół, wziął ostry kamyczek i na drzwiach naszego ślicznego auta narysował kwiatek. Myślałam, że go stłukę, a Rysiu mówi: „Kubusiu, nigdy nie rysuj kamieniem na czyichś samochodach”. I tyle.

#### **Skoroszyt miłością pisany**

– Mąż jest osobą bezkonfliktową, zgodną. Zawsze był pełen dobroci, wyrozumiałości. Jeśli trzeba było bardziej się przyłożyć do pracy, pomagał mi. Pakował choćby prace, które ekspediowaliśmy za granicę – chwali męża Jadwiga.

– Niemal 40 muzeów na świecie oraz 36 w kraju zakupiło moje prace do swoich zbiorów. To wielkie wyróżnienie i szczęście – dodaje chwalony.

Profesor prowadzi dokumentację swej działalności artystycznej i naukowej w sposób systemowy. Wszystko jest opracowane, skatalogowane, opisane zgodnie z własną metodologią i łatwym do ogarnięcia tej wielości faktów systemem komunikacji wizualnej. Z wielkim

Życie towarzyskie kwitło. Otrębowie jadali w stołówce na uczelni, ale stać ich też było na wypad do „Kapusty”, restauracyjki przy Jagiellońskiej. Bywali też w Piwnicy pod Baranami. Mieli do niej pięć minut spacerem, więc znajomi ostrzegali, że jak Piotr Skrzynecki do nich zabłądzi, to pewnie z tydzień zostanie.

pietyzmem i czułością wykonał też skoroszyt, w którym zinwentaryzował graficzny dorobek żony. Są w nim dane każdej pracy i wystawy. Przy każdym opisie znajduje się odręcznie wykonany rysunek grafiki, której on dotyczy.

– Systematyczność i pracowitość to jego cechy – opowiada pani Jadwiga. – Wolny dzień jest dla mnie nie do wytrzymania – śmieje się pan profesor. Muszę coś robić, nawet teraz, na emeryturze.

#### **Majątek za komiksy**

Na brak pracy nigdy nie narzekał – był słowny, solidny, szybki. Oboje zresztą dorabiali, na przykład przy reklamach dla Filmotechniki. Było to zajęcie dobre płatne, acz niezdrowe ze względu na cuchnący i toksyczny lakier nitro.

– Ale pierwsze naprawdę duże pieniądze dostał Rysiu za ilustracje do komiksów, które wymyślił zaprzyjaźniony dziennikarz – przypomina Jadwiga.

– Zaprosiłem wtedy pół uczelni na wino do probierni „Pod Szóstką”. Kwadratowe stoliki ciasno zastawiłem butelkami. Przyszli znajomi, przyjaciele i profesorowie z akademii. Trzeba było zarządzić konsumpcję rotacyjną, bo wszyscy naraz się tam nie mieścili.

– Od tamtej pory bufetowa piała z zachwytu na widok Rysia i już od progu go witała. Czuła zarobek. To były cudne czasy. Żyliśmy z dnia na dzień; jak mieliśmy pieniądze, nie żalowaaliśmy sobie zabawy, jak pieniądze się kończyły – zarabialiśmy je i znów wydawaliśmy – opowiadają.

#### **Mieszkanie z widokiem na wieże**

Za to o własnym mieszkaniu z prawdziwego zdarzenia mogli najwyżej pomarzyć. Nie grymasili więc, gdy w domu rodzinnym, tym, który zajmują do dziś, tyle że wtedy mniejszym, bo parterowym, wygospodarowano dla nich pokoik, czyli dziuplę z łazienką. – Sprawdzała się, dopóki nie mieliśmy dzieci – wspominają.

A potem przenieśli się do pokoju ciotki Mani przy ul. Świętego Krzyża. Mieszkanie było zimne ze względu na grube mury, ale mieli widok na wieże bazyliki Mariackiej. Zresztą było z tym lokum sporo zamieszania. Otóż ciotka zameldowała się u swojej kuzynki, siostry znanego krakowskiego lekarza Łapińskiego. Po jego śmierci przydzielono jej jeden pokój, a mieszkanie o metrażu 260 metrów kwadratowych rozparcelowano między kilka rodzin. Przynależności były wspólne. – Przezornie zameldowałam się u ciotki jeszcze na studiach, a po ślubie wprowadziłam się do mnie Rysiu. Poruszenie wśród sąsiadów było spore. I narzekanie, że jak przyjdą młodzi, to się skończy spokój. Ale Rysiu ich udobruchał, gdy na miejsce gazet, które walały się po podłodze w przedpokoju, kupił linoleum. Oddzieliliśmy się potem od pozostałych lokatorów zrobioną na dziko łazienką.

Żeby zrobić linoryt, drzeworyt czy gipsoryt wystarczało im stół kuchenny, dłuta, farba i specjalny japoński ryżowy papier, który kupowali we Frankfurcie nad Menem. Potem dostali jeszcze jeden pokój. Przeznaczili go na pracownię i zrobiło się ciut wygodniej.

Życie towarzyskie więc kwitło. – Chodziło się to tu, to tam; na wino czy kawkę. Zanim pojawiły się dzieci, jadaliśmy w stołówce na uczelni. Stać nas też było na wypad do „Kapusty”, restauracyjki, która mieściła się bodaj przy Jagiellońskiej. Bywało się też w Piwnicy pod Baranami. Mieliśmy do niej pięć minut spacerem, więc znajomi ostrzegali, że jak Piotrek Skrzynecki do nas zabłądzi, to pewnie z tydzień zostanie.

Ryszard był gościnny. Zapraszał do domu na herbatę wielu artystów, także zagranicznych. – Zresztą szczęście nas wtedy nie opuszczało, choć nie byliśmy nastawieni na sukces za każdą cenę. Proszę sobie wyobrazić, że poszłam wpłacić 10 tysięcy złotych na lokatę, a te lokaty brały udział w losowaniu i trafiła mi się syrenka. A pamiętasz, Rysiu, nasze wypadki do Rabki z Pawłowskimi? Zabieraliśmy ich do naszego autka i jechaliśmy do rodziców Wandy. Mąż przez wiele lat współpracował z profesorem Andrzejem Pawłowskim. Lubili się, a potem zaprzyjaźnili. Andrzej oddał nawet mężowi połowę swojej pracowni. Rozumieli się

bez słów. Profesor, tak jak mój Ryszard, był pracusiem; gdy zaczynał realizować jakiś projekt, zapominał o bożym świecie. Tylko papierosy musiał mieć pod ręką.

Syrenka służyła profesorostwu długie lata. Jeździli nią nawet na wakacje nad morze.

### Drugie lato Mateusza

W 1969 roku urodził się Otrębom – Paweł, a w 1971 – Mateusz.

Oboje wiedzieli, że sztuka wymaga całkowitego oddania, a dwóch małych chłopaków to było wyzwanie. – Rysiu ma niezwykły dar koncentracji na pracy. Wystarczy mu kawałek stołu – wyłącza się i już działa. Między zupą a kotлетem potrafi zrobić świetną grafikę. Ja nie mogłabym tworzyć w przerwie między gotowaniem a praniem.

Dla profesora nawet zwykłe życie rodzinne bywało inspiracją. Na przykład grafika *Drugie lato Mateusza* powstała po rodzinnych wakacjach nad morzem.

– Pojechalśmy do Kuźnicy na Helu – opowiada profesor. – Konstruowałem dla dzieci wiatraczki i ustawiałem na falochronach, wytyczałem im też – używając deski – drogi na plaży, na których rysowałem patykami samochody i ptaki. Obserwowałem fale uderzające o brzeg i na piasku stworzyłem dziesięciometrową kompozycję. Dobrze się przy tym bawiłem. W domu powstała grafika powtarzająca tamten „piaskowy” rysunek.

Jadwiga po urodzeniu synów zdecydowała, że nie będzie już tak intensywnie angażować się w sztukę. Zwłaszcza że podjęła jeszcze pracę w Technikum Odzieżowym w Krakowie, w którym przez dwanaście lat uczyła rysunku. Wielkim wysiłkiem udało im się wspólnie sprostać wszystkim obowiązkom. – Pewnie, że miałam chwile wątplenia, gdy wraz z pojawieniem się dzieci odeszłam od sztuki i zajęłam się prozą życia, ale dziś nie żałuję – mówi Jadwiga Otrębowa.

### Wrócił Rysiu w nasze strony

Gdy pytam, jak się dogadywali przez te sześćdziesiąt lat – dwie osobowości i indywidualności – spoglądają na siebie z uśmiechem.

– Mężu, przyznaj, że mieliśmy też gorsze momenty. Widzi pani? Kiwa głową. Kłopoty i prawdziwe tragedie zarówno mojej rodziny, jak i rodziny Rysia nie omijały. Nie wracam tu już do wojny i okupacji, ale, na przykład, mieliśmy dom koło Wiśniowej, Ryszard kupił go po okazyjnej cenie. I ten dom spłonął doszczętnie, zanim go porządnie wyremontowaliśmy. Nie ustalono, z jakiej przyczyny.

Poza tym Rysiu jest uparty, więc sprzeczeki musiały się zdarzać. Na ogół ustępowałam. Ale czasami stawiałam na swoim. Jak w sprawie powrotu z Australii. Mąż otrzymał tam zatrudnienie na uczelni z gwarancją, że będzie uczył do emerytury. A ja po roku powiedziałam, że wracamy. I wróciliśmy całą rodziną. Nie potrafiłam żyć poza Polską.

A zaczęło się od tego, że Australijczycy odkryli prace badawcze profesora Otręby wykonane w Akademii Sztuk Pięknych w jego Katedrze Komunikacji Wizualnej. Trafili na album, w którym prezentowano program kształcenia dwunastu szkół projektowania graficznego, który wyszedł w Szwajcarii. Na tej podstawie profesor został zaproszony do Australii. – Najpierw pojechał sam. Zarobił tyle, żeby zafundować podróż i mnie i dzieciom. Bałam się trochę tej eskapady. Zwłaszcza 25-godzinnego lotu, który przetrwałam dzięki koniakowi.

Wcześniej, na dworcu w Krakowie, odbyło się pożegnanie rodziny Otrębów. Gdy już się usadowili w przedziale, studenci, przyjaciele, koledzy rozwinęli baner o takiej treści: „Jak bumerang wyrzucony, wrócisz Rysiu w nasze strony”. Ta sentencja okazała się prorocza i spełniła się szybciej, niż było planowane.

– A pamiętasz, Jadziu, jak nas powitał rektor tamtejszej uczelni? – Trudno zapomnieć taki miły gest. Pan rektor stał na lotnisku w Sydney z koszem owoców cytrusowych. O 5.30 rano.

Tak się zaczął pobyt w Australii. – Żyliśmy tam normalnie i to się dla mnie liczyło. Mieliśmy samochód, podróżowaliśmy, wydawaliśmy pieniądze, dzieci nauczyły się języka. Mamy co wspominać. Tyle tylko że nie mogłam tam zostać na stałe. Muszę mieć zaplecze – rodzinę, przyjaciół, na których mogę liczyć.

Po latach Otrębowie nadal z przyjemnością siadają obok siebie przy pięknym stole w klimatycznym salonie. – To szczęście, że nie jesteśmy sami. Na parterze mieszka starszy syn Paweł z rodziną – zamiast sztuki wybrał geografię, a uczy angielskiego – i służy nam zawsze pomocą. A na drugim piętrze – obok naszej – jest pracownia Mateusza. Młodszy syn poszedł w ślady rodziców i wykłada na Akademii Sztuk Pięknych.

– Mamy rodzinę i otaczają nas przyjaciele, choć to grono szczupleje... Ot, nie ma już z nami Andrzeja Wajdy, a z nim i Krysią Zachwatowicz byliśmy zaprzyjaźnieni od chwili położenia kamienia węgielnego na budowie Muzeum Manggha. Rysiu zaprojektował dla nich kilkaset plakatów, które Andrzej przed laty zaprezentował na wystawie w Muzeum Plakatu w Wilanowie – mówi pani Jadwiga.

– Nie wiem, kiedy minęło nam te wspólne sześćdziesiąt lat. Ale wciąż trwamy. Bywamy na imprezach okolicznościowych, na wystawach, jubileuszach. Bo świat może być piękny, a ludzie wokół cudowni. Trzeba tylko dokonywać właściwych wyborów. I cieszyć się chwilą.



**Majka Lisińska-Koziół** – absolwentka prawa i dziennikarstwa na UJ. Zajmuje się przede wszystkim reportażem społecznym i sportowym. Laureatka wielu nagród dziennikarskich, między innymi „Złotej Gruzki”.

# Fascynująca podróż z BOSZ-em

Tekst: Witold Bereś Ilustracje: © Wikimedia Commons

Ta trzytomowa podróż po polskiej sztuce współczesnej możliwa jest nie tylko dzięki wielkiej pracy autorki (ukłony za pomysł, włożone serce i wykonanie), ale i równie wielkiej, benedyktyńskiej wręcz pracy wydawcy, który daje nam oszałamiającą panoramę ilustrującą 100 lat polskiej sztuki.



Pretekstem niniejszego tekstu jest tom ostatni, przedstawiający polską sztukę po roku 1989. To rzecz pasjonująca nie tylko z racji poziomu prezentowanych dzieł, ale i odwagi sięgnięcia po sztukę dziś się dziejącą. Ale przecież trylogia zachwyca jako całość i jako każdy z tomów z osobna – wszystko ma konstrukcję przejrzystą, bogato ilustrowaną, a nade wszystko – kompletną. Każdy tom biegnie podobnym nurtem – architekturą, designem, malarstwem i sztuką plakatu. Już same tytuły rozdziałów w każdym tomie ustawiają perspektywę czytelnika i podpowiadają wizję autorki.

W tomie najnowszym będą to na przykład *Nowa architektura i szklane domy* (to niebywałe, iloma ciekawymi budowlami różnej rangi – mieszkalnymi, biurowymi, a nawet sakralnymi – może się pochwalić III RP!), *Skan-daliści i szamani. Trudny dialog* (o nowym zjawisku – cenzurze płynącej ze strony publiki), *Kolor w przestrzeni, czyli murale* (mało kiedy pojawia się tak nowa gałąź sztuki).

Autorka kocha wolność, ale jednakowoż, cytując jako motto Marię Jarembiankę („Sztuka

rodzi się z wolności myślenia”), już we wstępie nie kryje dystansu do polityki III RP względem sztuki. Pisze: „Demokracja i samodzielność zrodziły rozterki artystyczne oraz dezorientację. Najbardziej znaczące było zmniejszenie siły mecenatu państwowego nad sztuką, przeciwko czemu protestowały środowiska artystyczne skupione wokół Związku Polskich Artystów Plastyków. Zlikwidowano niemal 15 procent Biur Wystaw Artystycznych, które były ważnymi ośrodkami propagującymi sztukę. Dramatycznie zabrzmiały słowa Waldemara Dąbrowskiego, ministra kultury, który stwierdził, że w momencie wejścia Polski do Unii Europejskiej wyniki były szokujące. Okazało się, że państwo polskie w najmniejszym stopniu w Europie finansuje aspiracje kulturalne swoich obywateli”.

Ale książka nie ukrywa też podziałów i kompleksów drażących środowiska artystyczne, przypominając choćby dziwną wypowiedź architektów o zwycięskiej pracy innego architekta: „Mamy do czynienia z architekturą nieszczerą, a jako taką nieodpowiednią do swego przesłania”.

Za 100 lat zapewne historycy zauważą, że nowy rozdział w dziejach kultury i polityki Polski zaczyna się 10 kwietnia 2010 roku. Nie widzimy jeszcze konsekwencji tego rozdziału z lotu ptaka, choć warto sobie uzmysłowić, że tak naprawdę trwa on już połowę tego czasu, jaki oferowała nam na przykład II RP. I pierwsze skutki czuć – choćby w plakacie. Jego skrótowość sprawiła, że – choć obecny jedynie w sieci w postaci memów i grafik – stał się sztuką pierwszorzędową.

Jak choćby *Godło Polski* Szymona Szymankiewicza, gdzie korona jest ukryta za górną krawędzią herbowego pola, a po lewej i prawej stronie widać tylko fragmenty skrzydeł herbowego orła, z wielką pustką pośrodku... „Podpis: Rzeczpospolita = rzecz wspólna”.

Z jakiegoż to roku? Ano z 2017...

Autorka wniosków nie podpowiada – możemy do nich dochodzić sami.

\*

Patrząc na dorobek wolnej Polski po roku 1989 musimy – i dzięki trylogii BOSZ-a możemy – porównywać go z innymi epokami ostatniego stulecia. Najpierw więc, wydawałoby się porównanie naturalne, z II RP. Jej artystycznym symbolem „stał się styl art déco, który najefektowniej realizował się w rzemiośle artystycznym i w pracach projektantów odpowiadających na społeczne zapotrzebowanie na nowoczesne, a równoczesne tanie i modne przedmioty. (...) Te lata dionizyj-skiego upojenia, wielkiego entuzjazmu, sukcesów, radości tworzenia brutalnie przerwała katastrofa wojny”.

Międzywojnie to szampany artystowskie i poszukiwanie nowych manifestów sztuki. To pęd do wielkich wystaw, krajowych i zagranicznych, które miały ukazywać vitalność nowej sztuki i nowego, odrodzonego państwa. To oszałamiająca sztuka użytkowa. To geometria wyobraźni i nowoczesny design nobilitujący codzienność. To wreszcie awans kawiarni do miejsca szczególnie uświęconego sztuką i alians elit z cyganerią.

\*

Bardzo ciekawie, dokumentacyjnie i prezentacyjnie w poszczególnych rozdziałach wygląda sztuka PRL. Tu jednak wyraźnie mniej intensywnie przedstawiana jest całościowa wizja filozofii sztuki tego okresu. Zaskakujący dystans? A może niechęć do wyrazistego opisanie ideologii i realiów całości? Bo czy w PRL,



Krzeseła na placu Bohaterów Getta w Krakowie, proj. Piotr Lewicki i Kazimierz Łatak, 2005

na przykład, architektura była głównie wyrazi-cielką propagandy? Trochę tak, trochę nie. (Cytowane zdanie o tym, że miałyby być architekturą dusz, nie tyczyło wszak samej architektury – tego sowiecki polityruk Żdanow żądał od pisarzy).

Z drugiej strony autorka w poszczególnych rozdziałach nie kryje sympatii dla tworzonych wtedy sztuki. Pisze o fascynacji sztuką nowoczesną i wzroście jej autonomii po roku 1955. Ale rozdziały idą jednym tropem: *Trwała martwota w całym kraju. Nie ma wolności bez krasnoludków, Życie artystyczne w cieniu cenzury czy Nierzeczywista rzeczywistość, czyli polska schizofrenia.*

A przecież to okres, kiedy państwo łożyło na artystów, a ci, przekornie, starali się – i ze znakomitym skutkiem – wyłamać z okowów ideologiczno-indoktrynacyjnych.

A zatem? Lęk przed społecznym napiętnowaniem? Boimy się PRL?

\*

BOSZ-a trylogia Krzysztofowicz-Kozakowskiej to książki, które każdy, choćby trochę interesujący się sztuką, winien na półce mieć – i będzie, zapewniam, zaglądał do nich co rusz.

Mamy więc barwny, dosłownie i w przenośni, kompetentny przewodnik po współczesnej sztuce polskiej – i to nie tylko tej ucu-krzonej cmokaniem krytyków. Ba, nie tylko aktualnej.

Ale po prostu po sztuce emocji.

Stefania Krzysztofowicz-Kozakowska (tekst, koncepcja publikacji, wybór ilustracji), *Sztuka II RP/Sztuka w czasach PRL/Sztuka od roku 1989*, Wydawnictwo BOSZ, Olszanica.

# Wodawater. Bracia spragnieni siebie

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcie braci: Tamara Kokosza

**Starszy jako nastolatek komponował piosenki do kabaretu, młodszy grał w zespole metalowym. Potem na długo podzieliła ich wielka woda – tu, w Krakowie, Kuba organizował festiwale i pisał książkę, tam, w Nowym Jorku, Mikołaj studiował sztuki dźwiękowe. Dziś, choć znowu z różnych miejsc, wspólnie tworzą elektronikę. Kuba i Mikołaj Szatko, Château i TRSSX, duet didżejski Château Shatter, aż wreszcie duet wydawniczy Wodawater, udowadniają, jak muzyka wzmacnia także rodzinne więzi.**

Różnica wieku między nimi wynosi dwa i pół roku. Choć z pozoru mogli wydawać się kochającym rodzeństwem, od najmłodszych lat mocno rywalizowali. O swojej relacji mówią krótko: szorstka.

– Nie funkcjonowaliśmy jako zespół, potrafilismy się pokłócić o, na przykład, miejsce w kuchni. Kto siedział obok taty, czuł się uprzywilejowany. Kto obok mikrofalówki – poszkodowany. Ot, zwykła głupota, ale rzucała na nasze samopoczucie przez cały dzień – wspomina Kuba, starszy z braci Szatko, współtwórca duetu Wodawater.

Rodzice wysłali ich do tej samej podstawówki, ale tam trzymali się raczej z dala od siebie. – Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek spędzali razem przerwy. Każdy miał swoich kolegów i to nimi się zajmował. Jedyne, co nas łączyło, to stosunek do kapek od mamy. Często znajdowała na dnie naszych plecaków zzieleniałe zawiniątka. Pewnie dlatego do dziś jesteście tacy szczupli – śmieje się Mikołaj, młodszy brat Szatko.

## Satanista i kabareciarz

Gimnazjum i szkoła średnia jeszcze bardziej ich podzieliły.

Młodszy zaczął naukę gry na gitarze, a niedługo później założył zespół. Metalowy. – Dyrekcja uznała mnie za satanistę i zakazała prób. Nie poddałem się i zakładałem kolejne grupy, zbaczając w stronę glam i indie rocka. Przez kilka lat byłem basistą krakowskiego zespołu The Recycling Center – wspomina Mikołaj.

Pierwszym instrumentem Kuby był fortepian. Nie zainteresował go jednak na tyle, by wygrać z prawdziwie chłopięcym hobby. – Wołałem biegać za piłką i rozbijać sobie kolana na beton. Do czasu, aż poznałem perkusję, a moi koledzy zaprosili mnie do gry w zespole. Niestety, to duży i głośny instrument, zatem jeśli nie ma się przestrzeni, w której można ćwiczyć, nauka przestaje być regularna. Koledzy szybko znaleźli na moje miejsce prawdziwego perkusistę, a mnie obsadzili w roli wokalisty. My, grzeczni chłopcy, zakochaliśmy się w muzyce postpunkowego

skandalisty i utracjusza Pete’a Doherty’ego, dlatego śpiewaliśmy przede wszystkim covery założonych przez niego zespołów The Libertines i Babyshambles. Równolegle występowałem w kabarecie. Trafiłem do niego w gimnazjum dzięki koledze-komuniście, który notorycznie cytował Lenina. Pierwsza próba z moim udziałem wypadła tragicznie, ale nikt się nie tym nie przejmował, chcieliśmy działać na scenie. Zainteresowała się nami polonistka, profesor Hadaś, i dzięki niej trafiliśmy pod skrzydła Śródmiejskiego Ośrodka Kultury. Łączyłem obie grupy aż do klasy maturalnej, potem studia na Uniwersytecie Jagiellońskim coraz bardziej ograniczały mój czas wolny, dlatego musiałem poświęcić się jednej formacji. Wybrałem kabaret, ale wkrótce występy zamieniłem na słuchanie różnorodnej muzyki, głównie elektronicznej. Zacząłem jeździć na festiwale, między innymi Audioriver do Płocka – wspomina Kuba. Niektóre, jak Międzynarodowy Festiwal Filmowy Etiuda & Anima, zaczął nawet współorganizować. Przed trzydziestką napisał też książkę. Wydane w marcu 2017 roku *Oswajanie szkła* (Wydawnictwo Signo) to powieść o zagubieniu, braku i walce o marzenia w pragmatycznym świecie korporacji. Wymyślony przez Kubę bezimienny bohater jest jednym z tłumu absolwentów wielkomijskich uczelni o ambicjach sięgających wyżej niż odbieranie telefonów czy wprowadzanie danych do tabel. Zna kilka języków, ma zmysł organizacji i zdolności interpersonalne, a mimo to nie może znaleźć zadowalającego zajęcia. Zbudowaniu pewności siebie nie pomaga mu też notoryczne porównywanie się z bratem, który spełnia się jako artysta. I to w USA! Podczas premiery książki w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” Kuba nie ukrywał, że jej fragmenty przypominają relację z Mikołajem.

## Amerykański sen Mikołaja

Młodszy z braci Szatko na studiach wytrzymał ledwie pół roku. Amerykanistykę w Krakowie zamienił na digital media na Edinburgh Napier University w Szkocji. Tam jego uwa-



**Wodawater** – młody, ale płodny i skuteczny w organizacji imprez klubowych kolektyw muzyczny założony przez Kubę i Mikołaja Szatko w listopadzie 2017 roku. Zorganizowali kilkanaście imprez w różnych miejscach Krakowa, między innymi w klubie Pauza przy Stolarskiej, Kawiarni Teatralnej

przy placu św. Ducha i w klubie Szpitalna 1. Grają głównie techno, acid i trans, niestraszne im również eksperymenty międzygatunkowe. Informacje o działalności braci Szatko i duetu Wodawater znajdziemy na Facebooku – <https://www.facebook.com/wodawater> oraz na Instagramie @wdwtr.

gę zaczęła przykuwać muzyka elektroniczna. Choć pierwsze produkcje nagrywał jeszcze w Polsce, to w Edynburgu postanowił skupić się na zupełnie pomijanym przez niego dotąd gatunku. Elektronika wciągnęła go tak bardzo, że po uzyskaniu dyplomu w Szkocji wyjechał aż za Atlantyk. W Chicago przez dwa lata studiował sztuki dźwiękowe, w USA nawiązał też wiele, jak się później okazało, lukratywnych w branży klubowej, znajomości.

Wodawater, bo tak bracia Szatko nazwali swój kolektyw, zadebiutował w grudniu 2017 roku. Pod tym szyldem i pseudonimami Kuba Château oraz TRSSX zorganizowali imprezę w klubie Pauza przy ulicy Stolarskiej. Oprócz nich wystąpili artyści związani z miejscową sceną klubową. Wysoka frekwencja potwierdziła, że krakowskim miłośnikom elektroniki potrzeba było nowej krwi.

Jako TRSSX, bo taki pseudonim artystyczny przyjął, zaczął występować na imprezach, a nawet organizować własne. Jeszcze wtedy nie wiedział, jak bardzo zbliży się dzięki temu do Kuby. Zwłaszcza że mieszkał wtedy w Nowym Jorku.

#### **Technorank przy Długiej**

Wydanie książki nie zerwało przyjaźni starszego z braci Szatko z muzyką elektroniczną. „Ośluchany” na licznych festiwalach Kuba zaczął poznawać tajniki sprzętu i sam wcielić się w rolę profesjonalnego didżeja. – Nie spodziewałem się, że ze słuchania muzyki elektronicznej przejdę do jej grania – przyznaje. Jego pierwszym dużym występem był techno rank w jednym z mieszkań w kamienicy przy ulicy Długiej w Krakowie. Idea imprezy była prosta – skoro muzyka potrafi tak skutecznie rozbudzać w nocy, dlaczego nie spotkać się przy niej rano, tuż przed pracą? Ot tak, by zamiast kawy potańczyć i zacząć dzień nie od kofeiny, a solidnej dawki endorfin. Techno rank przy ulicy Długiej miał przy okazji umilić urodziny serdecznej koleżance Kuby, a wrzucane do znajdującej się przy wejściu skarbonki datki zasilić konto Stowarzyszenia Kotełkowa Drużyna, pomagającego bezdomnym i poszkodowanym kotom. Choć termin imprezy był trudny – chętni na taneczny eksperyment mieli stawić się na domowym parkiecie 7 lutego (a zatem w środku zimy i tygodnia, bo akurat wypadła środa) o 7 rano (o tej godzinie nie myśli się zwykle o tańcu) – w porannej imprezie wzięło udział kilkadziesiąt osób. Inicjatywa i muzyczna selekcja Kuby spodobały się tak bardzo, że techno ranki odbyły się jeszcze trzy razy i to zawsze

tego samego dnia o tej samej porze (7 lutego 2018, 2019 i 2020 roku).

#### **Wodawater – pragnienie wspólnego grania**

Przełom w relacji Kuby i Mikołaja nastąpił niedługo po pierwszym technoranku. Po dekadzie poza Krakowem młodszy z braci Szatko zdecydował, że wróci do rodzinnego miasta. Długa rozłąka dobrze wpłynęła na braterskie więzy. – Zaczęliśmy regularnie rozmawiać o muzyce. Mikołaj motywował mnie do grania, podsuwał pomysły na nowe brzmienia. Doszliśmy do wniosku, że byłoby ciekawie połączyć siły – wspomina Kuba. Najpierw zagrać, a potem tworzyć własną muzykę i zapraszać pod swoje skrzydła innych artystów. Wodawater, bo tak nazwali swój kolektyw, zadebiutował w grud-







niu 2017 roku. Pod tym szyldem i pseudonimami Kuba Château oraz TRSSX zorganizowali imprezę w klubie Pauza przy ulicy Stolarskiej. Oprócz nich wystąpili artyści związani z krakowską sceną klubową – Kola oraz Spajder Jeruzalem. Wysoka frekwencja potwierdziła, że krakowskim miłośnikom elektroniki potrzeba było nowej krwi.

Kubie i Mikołajowi zależało jednak nie tylko na wspólnym graniu. – Założyliśmy, że chcemy zapraszać didżejów i producentów z różnych stron świata. Wodawater miało być świeżym spojrzeniem na muzykę klubową, techno i pokrewne gatunki. Chcieliśmy stworzyć atrakcyjne miejsce dla artystów zza granicy oraz promować naszych twórców między innymi w USA – opowiada Mikołaj.

Założenie zrealizowali szybko – dwa tygodnie po przywitaniu się z krakowską publicznością zaprosili do Krakowa brytyjskiego didżeja Lakse. Kolejnymi artystami byli Sybil Jason z Nowego Jorku, Josef Gaard z Berlina, Nastya Muravyova z Ukrainy, Venus Ex Machina z Wielkiej Brytanii czy Alienata z Hiszpanii. Wyjątkowym wydarzeniem zorganizowanym przez Wodawater był występ producenta, didżeja i multiinstrumentalisty o pseudonimie Celestial Trax. Artysta z Brooklynu stworzył w krakowskiej Pauzie przestrzeń muzycznej medytacji, serwując audiowizualny eksperyment łączący drone z ambientem. Imprezy pod skrzydłami braci Szatko odbywały się również w Kawiarni Teatralnej, klubie Szpi-



Import, eksport, transfer, przepływ, handel, hurt, detal, zasoby, migracja, emigracja, imigracja, reemigracja, repatriacja. Wodawater gości wszystkich, którzy nie są u siebie, mają daleko, są nieswoi, tęsknią. Od sound artu po trance. Muzyka 100 procent.

talna 1 oraz w nieistniejącym już BAL-u na Zabłociu.

#### Muzyczna pocztówka z Nowego Jorku

Jesienią Wodawater ma w planach pierwsze wydawnictwo płytowe. – Materiał jest gotowy. To muzyka, którą nagrałem podczas pobytu w Nowym Jorku. Poza moimi produkcjami będzie można usłyszeć również gości ze sceny eksperymentalnej – zdradza Mikołaj. Kuba zajmie się dystrybucją i promocją materiału w Polsce i na świecie: – Wierzę, że dzięki naszej sieci kontaktów mamy szansę dotrzeć do szerokiej publiczności.

#### Grać do jednej bramki

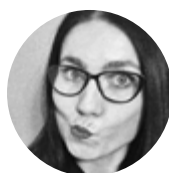
Choć bracia znów mieszkają w różnych miejscach, bo po kilku latach w Krakowie Mikołaj wyjechał do Londynu, gdzie prowadzi zajęcia na Royal Collect of Arts, mają stały kontakt. – Tym razem dzieli nas kanał La Manche, ale działamy i planujemy kolejne spotkania z muzyką elektroniczną. Kto wie, może już niebawem zaprosimy naszych słuchaczy do wspólnego tańca? – uśmiecha się Kuba.

Na razie, w każdy ostatni piątek miesiąca (o godz. 14) muzycznej selekcji braci Szatko można posłuchać na antenie Radia Kapitał w audycji Wodawater Over The Sea. – Im-

port, eksport, transfer, przepływ, handel, hurt, detal, zasoby, migracja, emigracja, imigracja, reemigracja, repatriacja. Wodawater gości wszystkich, którzy nie są u siebie, mają daleko, są nieswoi, tęsknią. Od sound artu po trance. Muzyka 100 procent – rekomendują Kuba i Mikołaj.

Po dawnej rywalizacji nie ma śladu. Dziś bracia nie szczędzą sobie komplementów. – Biorąc pod uwagę selekcję muzyczną, Mikołaj jest dla mnie człowiekiem instytucją. Dotychczas wyprodukował naprawdę różnorodną muzykę z artystami o bardzo zróżnicowanych zamiłowaniach. Uwielbia eksperymentować, wymyślać brzmienia od podstaw, tworzy porywkające sety. To dzięki niemu Wodawater jest otwarty na wszystko co nowe i oryginalnych producentów ze wszystkich stron świata. Mikołaj jest moją siłą napędową – podkreśla Kuba.

Brat nie pozostaje mu dłużny: – Cenię Kubę za wielkie serce, cierpliwość i konsekwencję. Kiedy coś sobie postanowi, dąży do tego tak długo, aż stanie się w tym najlepszy. Ma uważny słuch, śledzi scenę klubową, nieustannie chce się rozwijać. Z niecierpliwością czekam, aż podejmie nowe wyzwanie i zajmie się produkcją muzyczną. Wierzę w niego i mocno trzymam za to kciuki.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

# Stacja Beata Chomątowska

Tekst: Katarzyna Kachel Zdjęcie: Anna Rezulak/Agencja East News

**Ważne są dla niej miejsca i słowa. Miejsca, które są jak stacje, i zdania, które potrafią przerodzić się w opowieść. Stacji w jej życiu można naliczyć całkiem sporo, zdań, z których ułożyły się książki, jeszcze więcej. Tą ostatnią Beata Chomątowska wraca po szesnastu latach do Krakowa i Pałacu Prasy, w którym rozpoczynała dziennikarską karierę.**

Nie o rozliczenie z przeszłością jednak w tej książce chodzi, a o historię mężczyzny, którego literackie życie zaczyna się, kiedy go „wycięli z matki, gdy była już stara”.

Pierwsze zdania mają znaczenie, tak jak i pierwsze doświadczenia, tworzące niezależny od genetycznego kodu, do którego z czasem będzie się można odwołać, może nawet sowingie z niego czerpać. Doświadczenia Beaty Chomątowskiej, a przynajmniej te, którym już towarzyszyła pamięć, mają początek na ulicy Opolskiej w latach 80. ubiegłego wieku.

## **Stacja 1. To ten czas, kiedy kończy się rodzicielska izolacja, a zaczyna adaptacja i szukanie stada.**

Osiedle XXX-lecia PRL, dziś Krowodrza Górka, długie niczym mur chiński, bo połączone w tak zwany tysiącownik, dziesięciopiętrowe bloki. W jednym z nich mieszkała prawie od urodzenia. – Przyjemne, zielone osiedle, niemające nic wspólnego ze stereotypem „blokowisk” czy „blokiersów” – zaznacza. Wszyscy chodzili do tej samej podstawówki, bawili się na tym samym podwórku i grali razem w gumę czy kapsle. Wspólny był też trzepak, od drugiej, tej mniej słonecznej strony świata. Później opisze tamten świat w *Betonii*, by zestawzić doświadczenia mieszkańców innych osiedli z własnymi.

Bloki przecinały przejścia-tunele, w których można było się bawić, kiedy padał deszcz albo kiedy się chciało zniknąć z zasięgu wzroku rodziców. Czas leniwie rozciągał się na całe dni, podczas których grało się w piłkę czy chowanego, krzycząc pod oknem, by mama zrzuciła coś do jedzenia albo pieniądze na oranżadę. – W bloku mieszkały dzieci o różnym pochodzeniu. Pierwszą lekcją, jaką uzyskałam, wzrastając w takim miejscu, było przekonanie o różnorodności świata i szansa doświadczenia jej we wszystkich przejawach, także tych przerażających czy smutnych. Tego nie zapewniłoby mi wychowanie w inteligenckiej enkla-

wie. Podwórkowa gromada dała mi jeszcze coś więcej, czego jako wieloletnia jedynaczka, długo wychowywana pod kloszem, byłam spragniona – asymilację w gromadzie rówieśniczej. Musiałam zapłacić frycowe, ale w końcu dołączyłam do stada – opowiada.

Stado spędzało całe dni razem. Kiedy rodziców nie było w domu, szło się do sąsiadów z naprzeciwka albo z dołu. Na przechowanie i gorącą zupę. – Dzięki podwórku dostąpiłam szansy na socjalizację – mówi Beata. Tak spełniła potrzeby adaptacyjne, z punktu widzenia ewolucji słuszne i jedyne z możliwych, by przetrwać.

Inaczej może na całe życie zostałyby odludkiem z nosem w książkach. Pokarm dla siebie znajdowała w bibliotece rodziców, sąsiadów i u ciotki lekarki, u której spędzała wakacje. Czytała książki dla dorosłych, wykorzystując przekonanie tych ostatnich, że jeśli dziecko czyta i jest cicho, nie należy mu przeszkadzać w samorozwoju. Gdyby lektury Beaty próbować odtworzyć zgodnie z porządkiem chronologicznym, pierwszą i ważną był *Dziadek do orzechów* Hoffmanna z ilustracjami Szancera, w którym magia przeplata się z grozą, a potem to już będzie tylko kłopot. Kłopot, bo samodzielnym wyborom Beaty daleko było do listy lektur dla uczniów szkół podstawowych. Oprócz baśniowego kanonu, obejmującego między innymi braci Grimm czy Andersena, był wybór „dorosłego” wydania *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, a równoległe powieści przygodowe: Verne, Dumas, klasyka polskiej literatury, ale i podczytywanie Schulza, Balzaca czy Stendhala. Mogło to nieźle namieszać w głowie już na starcie.

– Połowy tych dorosłych lektur wówczas nie rozumiałam, ale działały na mnie niezwykle imaginacyjnie. I na zawsze została mi słabość z jednej strony do historii fantastycznych, mitycznych, z drugiej do klasycznej powieści – przyznaje.

Była głodna nowych wrażeń, a dziecko głodne, chce cały czas więcej. Produkcja własnych książek, własnoręcznie ilustrowanych, składanych chałupniczym sposobem może

Wychowanie na podwórku krakowskiego osiedla było szansą doświadczenia wszystkich przejawów różnorodności świata – także tych przerażających czy smutnych.

i nie była przykładem najwyższej sztuki edytorskiej, śmiało jednak zaspokajała indywidualną potrzebę kultury i kreacji uczennicy podstawówki. Rodzice przyglądali się tym próbom życzliwie, dopóki można było traktować je jak zabawę.

– Są takie teorie, że niektóre dzieci wcześniej pokazują, w którą stronę je ciągnie. U mnie to było pisanie, na pewnym etapie połączone też z nagrywaniem wymyślonych historii na magnetofon kasetowy firmy Grundig – wspomina. Ale dodaje ze śmiechem: – Nie chciałabym dziś tamtych prób czytać.

Nawet tych, dzięki którym wygrała konkurs literacki i mogła wybrać sobie liceum (chciała pójść do plastycznego, sprawę rozstrzygnęli jednak drżący o przyszłość córki rodzice). – To były minimalistyczne, mroczne opowiadania, na które z jednej strony składały się różne ówczesne zapatrzenia i wielopiętrowe stylizacje, a z drugiej wrażliwość i zatopienie w swoim świecie. Dziś pewnie odebrałabym je jako nieznośnie pretensjonalne – mówi.

**Stacja 2. To ten etap, kiedy wybory przestają być przypadkowe, a świadomość uruchamia własne procesy myślowe, dzięki którym Beata już wie bardziej, kim jest i kim chce być.**

Fascynacja radiem zaczęła się pod koniec podstawówki i płynnie przeszła na czas spędzony w liceum imienia Nowodworskiego. – To było słuchanie pasjami Trójki i zauroczenie programami Tomasza Beksińskiego, które współdzieliłam z przyjacielem. Jakież było nasze rozczarowanie, gdy w końcu ujrzelśmy na żywo naszego idola na giełdzie płytowej Pod Przewiązką – śmieje się dziś. Mimo rozczarowania dała sobie wcisnąć do ręki domowy numer telefonu, a nawet przeprowadziła z nim kilka osobliwych, długich rozmów. Po nich zainteresowanie dziennikarzem i jego programami spadło niemal do zera. Może praca w radiowęźle szkolnym i słuchanie mrocznej muzyki to było poszukiwania swojej drogi, a może zwykły etap, obecny w biografii wielu rówieśników Beaty. – Na pewno wiązało się z buntem wobec rodziców, którzy mieli dla mnie z góry określoną przyszłość,

jak i chęcią przebywania wśród podobnych sobie ludzi, wolności, zabawy, eksperymentowania – zastanawia się.

Zanim nadeszła przyszłość, z którą Beata i ta jej część, która zawsze wiedziała czego chce, musiała się skonfrontować, dorabiała sobie przy plewieniu zieleni miejskiej i na stacji benzynowej. Trzymianowy system zaburzył jej sny, ale pozwolił zarobić na pierwsze pomaturalne wolnościowe wakacje.

Studia wybrali jej rodzice. Ekonomiczne. Trawestując Bouviera, czekała już na nią gotowa buda z pełną miską: po ich ukończeniu miała zostać na uczelni i kontynuować akademicką tradycję. Tyle że coś poszło nie tak. Dziś mówi, że bunt jest niezbędnym etapem rozwoju, który trzeba przejść, by móc same-mu zdecydować, czy chce się iść jak grzeczne dziewczynki do nieba, czy tam, gdzie się chce.

Beata dobrze pamięta te nauki w gronie podobnych sobie, które zaczynały się od uczenia na pamięć Skowytu Ginsberga i pierwszych nieśmiałych próbach sięgania po zakazane substancje, a skończyły na opanowaniu do perfekcji taktyki stawiania na swoim. – Natury nie oszukasz – mówi. A jej naturą była wyobraźnia i słowo, a nie ekonomia. To w słowie chciała pracować. Szukała humanistycznego kierunku, polonistyka nie była tym, o czym by marzyła, a dziennikarstwo oznaczało wtedy głównie nauki polityczne, bo to na tym wydziale je wykładano. Z niedowierzaniem przyglądała się programowi studiów w Instytucie Religioznawstwa: – To można tak dla przyjemności studiować? – zadawała sobie pytanie. To jest dozwolone? – Trudno jej było w to uwierzyć, męcząc się codziennie na zajęciach obok studentek w garsonkach, deklarujących, że pragną zostać businesswomen.

**Stacja 3. Holandia, czyli ucieczka, która uratuje Beatę. Poznaje ciekawych ludzi i pisze Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie.**

Uratowało ją radio, promotor i stypendium Tempus. Radio było studenckie, w miasteczku AGH na ulicy Rostafińskiego. Wracła z niego do rodziców po programie piechotą o drugiej w nocy i była szczęśliwa. Czasem nie wracała wcale, bo radio funkcjonowało jak drugi dom, w którym praca przeplatała się z ciągiem imprez. Promotor zajmował się mniejszościami religijnymi i dzięki niemu mogła skończyć studia, pisząc pracę o Festiwalach Kultury Żydowskiej, przy których zaczęła pracować jako wolontariuszka. Stypendium zaprowadziło ją do Bredy i dało jedną z ważniejszych lekcji życia. – Pojechałam tam z chłopakiem



nieakceptowanym jak zwykle przez rodziców – wspomina. – Z upojenia wolnością przepuściliśmy na początku wszystkie pieniądze, więc musieliśmy jakoś sobie radzić, by nie zostać na ulicy. Los, w osobie naszego rówieśnika, studenta szkoły artystycznej Ahmeta, poznanego podczas pierwszego dnia w Bredzie (a dziś uznanego fotografa) zaprowadził nas do De Boulevard. Knajpa, w której pracowałam, przypominała trochę tę z *Dymu Wayne’a Wanga*. Trzy poziomy: bar, teatr i restauracja. Odjechany właściciel, kolekcjoner kiczowatych dzieł sztuki, jego współpracowniczka-lesbijka organizująca regularnie Ladies Nights oraz nie mniej barwne ludzkie typy w charakterze barmanów i stałych bywalców. Studiowanie „międzynarodowego marketingu” zeszło na dalszy plan, czas wyznaczała odtąd praca na zmywaku na zmianę z kelnerowaniem, przesiadywanie w knajpie, wielogodzinne rozmowy przy pracowniczym stoliku w restauracji, połączone z nauką niemieckiego w praktyce. A także sprzątanie.

**Bunt jest niezbędnym etapem rozwoju, który trzeba przejść, by móc samemu zdecydować, czy chce się iść jak grzeczne dziewczynki do nieba, czy tam, gdzie się chce.**

O swojej karierze sprzątaczką, która okazała się w warunkach holenderskich nie tylko opłacalna finansowo, ale także poznawczo, testowaniu legalnych w Holandii używek, squacie w kościele i innych holenderskich perypetiach napisała po latach w książce *Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie*. W Holandii stało się oczywiste, że niewiele ją łączy z przyszłymi ekonomistami czytającymi o inflacji i upadku gospodarki.

**Stacja 4. Beata marzy o pisaniu reportaży, ale etat dostaje w dziale ekonomicznym „Dziennika Polskiego”.**

„Artyści... – mawiał czasem stary Ujma z charakterystyczną intonacją. (...) Wyrażał tylko dezaprobatę dla mieszaniny porządków, do którego nieuchronnie dochodzi, gdy takie zajęcia jak tkactwo, malarstwo czy muzykowanie wysuwają się na pierwszy plan, by zastąpić prawdziwą pracę, którą wykonuje się z narzekaniem i w pocie czoła” – czytamy w *Andreowii*. Także dla rodziców Beaty dobrym zawodem był prawnik, ekonomista ewentualnie wykładowca ekonomii. Literatura? Wolne żarty. – W tamtych czasach, jesz-

cze przed debiutem Masłowskiej, pisarzami byli Miłosz, Szymborska czy Lem. Prawie nikt, w tym ja, nie wyobrażał sobie, że można traktować pisanie jak pracę, a tym bardziej za wód – mówi.

Alternatywą okazało się dziennikarstwo. Też wyglądało podejrzanie, mało stabilnie, ale etat w prestiżowym lokalnym dzienniku stopniowo rozwiał nawet wątpliwości państwa Chomętowskich. – Zresztą wtedy już nie musiałam się przejmować cudzymi oczekiwaniami, zależało mi tylko na tym, żeby jak najszybciej się usamodzielić – opowiada. Dostała etat w dziale... ekonomicznym, tylko tam było bowiem miejsce dla młodych adeptów tego fachu. – Na rozmowie z przyszłym szefem łągałam jak z nut, że idealnie nadaję się na to miejsce, przecież skończyłam studia ekonomiczne, choć niewiele z nich pamiętałam. Musiałam kłamać przekonująco, bo zostałam przyjęta – śmieje się. – Oczywiście marzyłam o dziale reportaży albo kulturalnym. Wszystko zaczęło stopniowo wracać na odpowiednie tory, choć przecież głośno o pisaniu i życiu z książek nikt wówczas nadal nie ośmielał się mówić.

Od strony dziennikarskiej ekonomia bywała nawet znośna. Dlatego Beata Chomętowska oddała jej pięć lat swojego krakowskiego życia. – Zaczęłam współpracę jako laureatka konkursu na reportaż i tym właśnie chciałam się zajmować. Albo pisać do działu kultury. I robiłam to, ale po godzinach. Hierarchiczność krakowskiego środowiska nie ułatwiała zadania – mówi. Walczyła – zarówno o newsy, jak i teksty, które spełniały jej ambicję. Taka walka pozostawia ślady, te dobre, które cię kształtują, jak i te złe, które w pewnym momencie sprawiają, że zaczynasz się dusić. Warszawa była wtedy jedynym oczywistym wyborem, który miał być początkiem zmian. Przeskokiem z regionalnej do ogólnopolskiej rzeczywistości. Na głęboką wodę.

**Stacja 5. Kiedy z perspektywy stolicy praca w Krakowie jest mało istotna i pachnie prowincją, dlatego Beata musi się starać.**

Stolica nie była ziemią obiecaną, gdzie wszystkie ręce wyciągają się po młodych, zdolnych, mających na koncie nawet jakieś wygrane konkursy. O przeskok starała się długo, wysyłając podania i maile. Umowa na pracę w gazecie, która powstawała na bazie „Życia Warszawy”, może nie była tą wymarzoną, ale pozwoliła jej się spakować i kupić bilet w jedną stronę. Pamięta ulgę i poczucie wielkiej wolności, kiedy opuściła Pałac

Prasy przy ulicy Wielopole. To już nie było jej miejsce. – W nowym z początku też było niełatwo, zwłaszcza finansowo – przyznaje. Wynajmowała mieszkanie do spółki z przyjaciółmi z liceum, utrzymując jednocześnie drugie – w Krakowie, bo współwłaściciele – rodzice, zbulwersowani bezceremonialnym porzuceniem posady w porządnej krakowskiej redakcji, nie godzili się na jego wynajem.

Oprócz tego było jednak rozkoszowanie się nową sytuacją i miejscem, którego nie znała. I bujne życie towarzyskie. – Tak się złożyło, że równocześnie do Warszawy przeprowadziło się paru przyjaciół z krakowskich mediów, głównie radia i „Wyborczej” – wspomina. – W żartach określaliśmy się jako „diaspora krakowska”. Wspólnie rzuciliśmy się do eksplorowania Warszawy na różnych poziomach, przy okazji poszerzając nasz krąg o warszawskich znajomych. To był piękny, intensywny czas.

Kiedy projekt nowego wcielenia „Życia Warszawy” jednak nie wypalił, została bez etatu i pieniędzy. Tyle że coraz lepiej poruszała się w branży. Po pracy w „Pulsie Biznesu”, przysłała „Rzeczpospolita”, do której – jak dziś mówi – z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy pisała o skarbie państwa, polityce ekonomicznej i stoczniach.

Wypalenie zawodowe dopadło ją w dobrym momencie – bo wtedy, kiedy zaczęła się zacierać się granica między dziennikarstwem a pisaniem pod zleconą tezę, a sześć miesięcy urlopu zdrowotnego pozwoliło jej nie tylko złapać równowagę, ale i skończyć książkę. To był przedsmak kolejnej stacji – tym razem Muranów.

Wspomina: – Pierwsze mieszkanie, które wynajmowałam po przeprowadzce do Warszawy, mieściło się na terenie getta. Chcąc poznać otoczenie, czytałam między innymi *Getto warszawskie* Barbary Engelking i Jacka Leociaka. Wróciły tematy z magisterki o festiwalach żydowskich. Zaintrygował mnie temat osiedla-pomnika z gruzów, swoistego alchemicznego eksperymentu z udziałem mieszkańców. Ziarno zostało zasiane.

#### **Stacja 6. Kiedy Beata zatrzymuje się w Muranowie na dłużej i zamyka wiele drzwi.**

Muranów to był moment powrotu do pisania równoległą, dziennikarską ścieżką. – Nie miałam żadnych znajomych w wydawnictwach – opowiada. – Byłam nikomu nieznaną dziennikarką ekonomiczną, która nagle napisała reportaż o warszawskim getcie, a właściwie o dzielnicy, która według zamysłu Bohdana Lacherta wyrosła zeń jak Feniks z popiołów.

Gdy miała już pierwszy rozdział i opis książki, zaczęła od największych. – Kiedy z obiecujących odpowiedzi nic nie wychodziło, powoli ogarniała mnie rozpacz. W desperacji wysłałam jeszcze do pięciu kolejnych oficyn. W tym do Czarnego, które najchętniej wybrałabym jako pierwsze, ale onieśmiała mnie perspektywa kontaktu – byłam wtedy ich wielbicielką, zafascynowaną literaturą Stasiuka. Odpowiedź dostałam po 10 minu-

**Pierwsze mieszkanie, które wynajmowała po przeprowadzce z Krakowa do Warszawy, mieściło się na terenie getta. Zaintrygował ją temat osiedla-pomnika z gruzów, swoistego alchemicznego eksperymentu z udziałem mieszkańców. Ziarno zostało zasiane. Powstała głośna książka *Stacja Muranów*, a potem *Stowarzyszenie Stacja Muranów*.**

tach. Monika Sznajderman pisała, że druga część jej rodziny związana jest z Muranowem, a siedziba ich działu promocji znajduje się przy ulicy Andersa – okazało się, że w sąsiedniej klatce bloku, w którym właśnie kupiłam mieszkanie – opowiada. – Ta koincydencja nie mogła być przypadkowa. I nie była. Po weekendzie podpisaliśmy umowę.

Tak zaczęło się jej myślenie o pisaniu fabularnym. Przy okazji pracy nad książką powstało Stowarzyszenie Stacja Muranów. Nieplanowane. – Zebrała się grupa ludzi zainteresowanych tym miejscem, chętnych, by je przeobrazić – wspomina. – Działaliśmy po omacku, na wariackich papierach, kompletnie nieprofesjonalnie, kierując się bardziej intuicją niż intelektem. Nie obyło się bez wpadek i gorzkich lekcji, ale paradoksalnie, może właśnie dzięki tej brawurze, w ubiegłym roku obchodziliśmy dziesięciolecie istnienia.

Wraz ze *Stacją Muranów* i stowarzyszeniem otworzył się nowy etap. Po trzech kolejnych książkach (*Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie*, *Pałac* oraz *Lachert i Szanajca*), napisanych jeszcze podczas etatowej pracy – najpierw w „Rzeczpospolitej”, potem w Muzeum Polin, zaczęła pracę nad *Betonią*. Ale wtedy była już wolna. – Dziennikarstwo przestało przypominać zawód, którego uczyłam się w praktyce. Jego stabilność też odchodziła do przeszłości, można było albo czekać, aż wszystko się zawali, albo wczasy wykonać skok w nieznaną, przełamu-

*Andreowia* to książka podobna do krakowskiej szopki – pełna archetypicznych postaci, kultowych miejsc, plotek i smaczków. Niektóre są zrozumiałe jedynie dla krakowian.

jąc strach i nie myśląc o spadochronie – mówi. – Praca w instytucji kultury była ciekawą odmianą, ale struktury, hierarchiczność i różna mało twórcze obowiązki zaczęły mnie stopniowo uwierać, zwłaszcza że w stowarzyszeniu zasmakowałam innego, uproszczonego trybu – dodaje.

*Betonia* też domknęła pewien etap tematyczny, rozpoczęty *Stacją Muranów*, powiązany z przestrzenią miejską i architekturą. Podkreśla: – Nieuchronnie wiązało się z tym wciskanie w kostium, w którym już nie czułam się dobrze. Miałam wrażenie, że powiedziałam już na ten temat wszystko, otwierając pole dla innych. Z utęsknieniem czekałam więc na taki stan, który towarzyszył mi przy pisaniu pierwszej książki. Można go określić jako umysł dziecka, czyli znów masz białą kartkę, porzucasz wszystkie wyobrażenia i oczekiwania na swój temat i piszesz!

**Stacja 7. Los zatacza koło, czyli Beata wraca do Krakowa, do Pałacu Prasy, by napisać historie Andrzeja „wyciętego z matki, gdy była już stara”.**

Pisarka przyznaje, że każdy temat zgłębia dość obsesyjnie, ale gdy czuje, że zapukała już w dno od spodu i przychodzi nowy pomysł, do którego jest przekonana, poddaje się mu. Na tym, jak wierzy, polega istota działalności twórczej, niezależnie od tego, czy jest to gotowanie, pisanie czy fotografia: eksperymentowanie, szukanie nowych środków wyrazu. Może się to skończyć porażką, ale Beatę Chomętowską stać na takie ryzyko. Tak było z *Andreowią*, książką, która jest jak krakowska szopka; pełna archetypicznych postaci, kultowych miejsc, plotek i smaczków – niektóre zrozumiałe jedynie dla krakowian. – To drobne aluzje, mrugnięcia okiem odnoszące się do wydarzeń, o których plotkowało w różnym czasie miasto albo część miasta – ich niezajomość nie przeszkodzi w odbiorze fabuły. Kraków to też dekoracja, jak każda inna, miejsce akcji. Pewne figury, wątki czy archetypy znajdziemy także w innych miastach i wśród ich mieszkańców – zauważa. – Typy ludzkie naprawdę wszędzie są podobne, jak i uniwersalne są nasze słabości.

*Andreowię* skończyła pisać w lutym 2020 roku. – Jest takie powiedzenie: uważaj, o czym marzysz, bo marzenia się spełniają – uśmiecha się. – Zachciało mi się statusu debutantki, wpadłam w pandemiczną czarną dziurę, czekając bezskutecznie na reakcje od wydawców i powoli godząc się z tym, że trzeba będzie pożegnać się z pisaniem. I wtedy przypadkiem, w innej sprawie, odezwał się Paweł Szwed z Wielkiej Litery, z którym jako pierwszą rozmawiałam o *Stacji Muranów* w 2011 roku, kiedy kierował Światem Książki. Historia zatoczyła koło.

Właściwie niewiele brakowało, by zamiast książki Beata zbudowała szopkę i przyniosła ją w pierwszy czwartek grudnia „Pod Adasia”. – Kiedy w 2019 roku odbierałam stypendium artystyczne Miasta Krakowa, zobaczyłam piękną krakowską szopkę na podium w magistracie. Akurat dołączyła do nagradzanych dyscyplin. Pomyślałam, że może by też wykonać szopkę i zgłosić ją na kolejny konkurs? – mówi. – Przystudiowałam regulaminy, opisy nagrodzonych szopek, książki o tradycji szopkarstwa. Wyobrażałam sobie własny twór jako trochę nietypowy, bez Wawelu, kościoła Mariackiego, może właśnie z Pałacem Prasy? Na realizację zabrakło mi zapału, ale znalazłam usprawiedliwienie: przecież tak naprawdę już buduję szopkę, tyle że ze słów. Jest charakterystyczny dla Krakowa budynek, archetypowe postacie, zależności między nimi, opowieść o mieście – regulamino. Tym sposobem okazało się, że gatunek „szopka krakowska” może mieć podgatunek literacki.

Tak powstała powieść z kluczem, bo wielu bohaterów ma pierwowzory w realnym świecie. Niech was jednak nie zwiedzie proste odczytanie postaci, bo możecie znaleźć się na manowcach. A może czasami dobrze na nie zejść, jak schodzić lubi Beata Chomętowska? Gdzie dotrze w następnej książce? Na pewno w miejsca, które nijak się mają do wyobrażeń, jakie ktoś ma na jej temat. W tym jest konsekwentna.



**Katarzyna Kachel** – dziennikarka, redaktorka, kolekcjonerka niebanalnych opowieści i książek kucharskich.





Anna Zuzela, *Nie patrzę, nie słyszę*, olej na płótnie, 60 x 45 cm, 2021

# Na stałe nie ma nic

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Jan Kanty Pawluśkiewicz:** Tolerancja powinna leżeć w granicach przyzwyczajenia i chęci zrozumienia drugiego. A więc nie obcy, nie. Szukaj w nim człowieka i bądź nie tylko wyrozumiały, ale i życzliwy. Tolerancji trzeba uczyć się u ludów mądrych i nie ulegać zuchwałym i kłamliwym przewodnikom.

**Elżbieta Wojnarowska:** Jakie dzieciństwo miał Jan Kanty Pawluśkiewicz?

**Jan Kanty Pawluśkiewicz:** No, piękne! (śmiech) Piękne, z elementami dziwnych faktów, które temu dzieciństwu akompaniowały. Kiedy przeczytałem fragment życiorysu pana Andrzeja Czeczota, który jest starszej generacji, on na takie pytanie odpowiedział: moje dzieciństwo upłynęło pomiędzy śmiercią marszałka Piłsudskiego a śmiercią Józefa

była taka istotna. Tylko pojawił się autentyczny problem – mianowicie kiedy przyszedłem z pierwszych zajęć w szkole muzycznej, z zajęć na fortepianie, zapytali mnie w domu: „No i jak tam?”. Ja mówię: „Dobrze, tylko muszę przygotować ćwiczenie z albumu Różyckiego”. To była w tej szkole taka lektura podstawowa, jak Sienkiewicz w zwykłej. Ludomir Różycki był lekturą z utworami dla początkujących. Mówię, że trzeba kupić Różyckiego i na czymś to wyćwiczyć. Że trzeba kupić Różyckiego, to pół biedy, ale musiał się pojawić też instrument.

**A jaki miał Pan instrument?**

Kiepski (śmiech). Pianino. Pęknięte na dodatek, ale sklezione dość fachowo. Ono zresztą do dziś funkcjonuje. I na nim jeszcze właśnie dziś cztery takty skomponowałem.

**Pięknie. A kiedy pojawił się pierwszy utwór? W końcu jest Pan kompozytorem.**

O, pierwszy utwór to zupełnie inna historia. Znacznie po Stalinie. Wykańczał się wtedy Gomułka.

**A ja myślałam, że Pan był cudownym dzieckiem (śmiech).**

Uchowaj Boże, to by straszne było. A te istotne piosenki, które komponowaliśmy z Markiem Grechutą, powstawały w Sali pod Cyckami Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Wcześniej układałem pierwsze melodie i kameralne aranże w klubie akademickim przy ul. Piastowskiej. A jeszcze wcześniej w domu doskonaliłem swoje umiejętności w muzyce jazzowej.

**Rodzeństwo też grało?**

Grało. W domu była tradycja, że należy się uczyć – muzyki i języków. Co po niemiecku

Z Markiem Grechutą komponowaliśmy w Sali pod Cyckami Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Wcześniej układałem pierwsze melodie i kameralne aranże w klubie akademickim przy ul. Piastowskiej. A jeszcze wcześniej w domu doskonaliłem umiejętności w muzyce jazzowej.

Stalina. A moje upłynęło po wojnie za czasów Bieruta. Tak więc fakty ciekawe, a młodość jak to młodość.

**A czy Pana dom był tradycyjny? I czy był muzyczny?**

Tradycyjny. Ale czy muzyczny? Nie. Z muzyką nie jest taka prosta sprawa, dlatego że muzykalność objawia się w taki czy inny sposób. Natomiast w moim przypadku to było inaczej. Nie chodziło o to, czy jestem muzyczny czy nie. Chodziło o to, żeby jakoś to wyglądało. Żeby się nauczył grać na jakimś instrumencie. A już kwestia muzykalności nie

**Jan Kanty Pawluśkiewicz** – urodził się w 1942 roku w Nowym Targu. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej. Kompozytor piosenek, muzyki teatralnej i filmowej oraz innych dużych form muzycznych, o własnym, rozpoznawalnym stylu. Współzałożyciel grupy Anawa, zwią-

zany między innymi z Piwnicą pod Baranami i Teatrem STU. Drugą jego pasją jest malarstwo w technice żel-art – na obraz składają się tysiące kropek nakładanych żelowymi długopisami. Obrazy prezentowane były na wystawach w kraju i za granicą. Laureat wielu prestiżowych nagród.



znaczy graben? Grzebać. I to jest jedyne słowo, które zapamiętałem z niemieckiego, bo nie mam pamięci (śmiej). W moim domu więc przymuszało się do nauki i muzyki. Lecz efekty bywały różne. Mam trzech braci, wszyscy rozpoczęli naukę muzyki, wszyscy jakoś się w tej muzyce orientują, ale tylko ja zrobiłem potem z tego ponurą rzecz, to znaczy sposób zarabiania na życie, czyli nie ma się czym chwalić.

**Nie tylko zarabiania. Raczej sposób na życie.** Tak. Zarabiałem i nadal zarabiam.

**Ale chyba nawet gdyby Pan nie zarabiał, nie opuściłby Pan muzyki.**

Pewnie tak. To są jednak jakieś skłonności przez Opatrzność dane. Na ile to możliwe, należy je pielęgnować, rozwijać, poszerzać.

Imponowały mi ambitne rzeczy. Na przykład takie, że siedzę w przyjemnym lokalu, zadymionym, dobiega mnie zapach dobrego alkoholu, cygarety, kobiety... Jednym słowem ta scena, która w *Śniegach Kilimandżaro* jest... I na saksofonie gra Ben Webster.

**Czasem ma się mus wewnętrzny.**

Tak. Pojawia się coś takiego i wtedy można dać upust lub szukać zapomnienia w czymś ciekawszym.

**Mówię, że czasem trudno pracować w innym zawodzie, gdy się jest muzykiem wewnątrz (śmiej).**

Tak, bo wtedy taka rozterka jest. Bo niby co mam robić, być architektem *in spe*?

**Właśnie – Pan przecież jest architektem z wykształcenia.**

I taka przyszłość by mnie czekała, niestety!

**Gdy Pan wchodził w okres młodości, był Pan buntownikiem?**

Permanentnym! Chociaż nie obrazoburczym. Po prostu dużo mi się nie podobało i czułem, że muszę uciekać, skąd się wziąłem, bo tu sobie nie poradzę. A może poradzę, ale nie atrakcyjnie. W tym sensie, że małe miasteczko jest wspaniałe, natomiast ambicje mnie rozpierały, co się będę krygował.

**Miał Pan potrzebę wyrwania się?**

Chciałem dużo rzeczy poznawać. Imponowały mi bardzo ambitne rzeczy. Na przykład takie, że siedzę w przyjemnym lokalu, zadymionym, dobiega mnie zapach dobrego alkoholu, cygarety, kobiety, no, jednym słowem, ta scena, która w *Śniegach Kilimandżaro* jest... Kto tam gra na saksofonie? Ben Webster na te-

norze gra temat *But not for me* – choć do końca nie jestem pewien, albo coś na tych „funkcjach”. Natomiast Gregory Peck podchodzi do kobiety, którą grała Ava Gardner. Mamy cudowne miejsce, wygaszony klub, ona mówi: „Poczęstuj mnie papierosem”, on bierze dwa papierosy między palce, zapala, jednego jej daje. Czyż można marzyć o czymś piękniejszym? (śmiej).

**Nie.**

Taki klub bardzo mi się podobał i chciałem tam być, jeśli nie uczestnikiem, bo finanse mi na to nie pozwalały, to żeby móc posłuchać Bena Webstera. Potem byłem na jego koncercie w Kalifornii, ale to już inna historia. Czyli imponowały mi takie rzeczy powierzchowne. Chciałem być muzykiem jazzowym, więc ćwiczyłem po kilka godzin frazy jazzowe. I tak widziałem właśnie swoją przyszłość. **Ale zaistniał Pan i do dziś jest rozpoznawalny jako autor muzyki do piosenek.**

Każdy ma swój zły gust.

**Zajmuje się Pan także dużą formą, nie mówię tu tylko o muzyce filmowej. To już jest na stałe taki trend, ku większym formom?**

Na stałe nic nie ma.

**To co Pan myśli o stałości?**

Nic. *Panta rhei*, wszystko płynie. Nie ma stałości żadnej. Wszystko się zmienia. A serio odpowiadając, nie chciałbym, aby to zabrzmiało jako naiwna czy wręcz arogancka przestroga, ale do niczego się nie przyzwyczajaj, nic nie trwa wiecznie. Sukces jest tylko wynikiem życzliwych skojarzeń. Ale też jak dziadostwo cię dopadnie, to też się specjalnie nie przejmuj, bo to może minąć. Jednym słowem, my jesteśmy tak skonstruowani psychofizycznie, poddawani pewnym ponurym zjawiskom opadania czy wznoszenia się, czasem radosnym, czasem nie, ale to, że wszystko płynie, jest czymś absolutnie nadzwyczajnym.

**Czy to się wiąże u Pana z silnym poczuciem wolności?**

Do pewnego stopnia tak. Jakkolwiek jedno z drugim się jakoś przeplata.

**Właśnie – Pan lubi poszerzać granice wolności?**

Z pewnością. Lubię je sobie je wyznaczyć i zorganizować.

**Odczuwa Pan granice swojej wolności i stara się im przeciwstawić, jeśli Pana ograniczają, czy raczej je akceptuje?**

Nie akceptuję, choć mnie to nieraz kosztuje dużo, także pieniędzy. Wolność to jest rzecz najcenniejsza. Dla wielu ludzi. Płaci się za to naprawdę dużo.

**Pan jest racjonalistą, ale też romantykiem.**

Po czym to widać? (śmiej)

**Ale też ironistą. Pokazuje Pan swój dystans do świata. I wszystkich spraw. Tak jest?**

Może, jeśli pani tak mnie odczytuje, to coś w tym jest.

**Słynie Pan z Witkacowskiego poczucia humoru. Zgadza się Pan z tym określeniem?**

Trafne pytanie, gdyż mój podziw i fascynacja twórczością Stanisława Ignacego Witkiewicza pojawiły się nie dzięki mojemu bogactwu erudycyjnemu, lecz sprzyjającym okolicznościom natury towarzyskiej. Po tym nastąpiły już świadome działania poszukiwań w twórczości Witkacego, aby pracować muzycznie z inną estetyką literacką niż dotychczas. Pewnie mam jakieś skłonności do podobnych żartów co Stanisław Ignacy, lecz na innych nieco ścieżkach. Ale poczucie humoru wspaniałego filozofa jest mi bliskie i chyba wrodzone. **A skłonność żartów w, na przykład, poczynaniach kabaretu Anawa? Świetnie się Pan tam bawił. Ale przecież nie chodziło tylko o zabawę. Powstawały w tym czasie także piosenki na wskroś liryczne...**

Skłonność do żartów to od zawsze, a powstanie kabaretu to logiczny ciąg działań koleżeńskich, przy czym studia architektoniczne bardzo temu sprzyjały. Nie bez znaczenia była tu chęć popisywania się przed „zdumioną publicznością”, a pojawienie się wśród nas Marka Grechuty otworzyło liryczny ślad dotychczas ukryty.

**I – jednocześnie wciąż ta ambiwalencja – świetne piosenki Anawy absolutnie serio, typy *Jak kania dżdżu czekam cię tu*, jazzowe, jednocześnie prześmieszne tekstowo i lekkie improwizacyjnie, sąsiadują w Pana twórczości z lirycznymi, choćby z *Czasem Dulęby*, oraz z całkiem poważnymi pieśniami i psalmami *Nieszporów* czy oratoriów, aż do cygańskich wierszy włącznie. A mamy jeszcze płytę *Consensus* z muzyką dansingową. Ogromna rozpiętość. Trudno Pana gdziekolwiek zaszufłakować. Łatwo się Panu przeskakuje od konwencji do konwencji?**

No, niełatwo się przeskakuje z konwencji do konwencji, lecz to jest moja niecierpliwość, nieprzeparta chęć sprawdzania się w coraz bardziej wymagających okolicznościach. A i też chodzi o to, żeby wyżej! Wyżej!

**Trzeba mieć ogromne wyczucie absurdu i groteski, aby z tekstów Witkacego stworzyć tak skomplikowany narracyjnie scenariusz, a następnie wydobyć z niego (bo tak to chyba należy określić) muzykę, jak to było w przypadku *Szalonej lokomotywy*. To było karkołomne zadanie. A ogromny rozmach inscenizacyjny Krzysztofa Jasińskiego przyczynił się do fenomenu niezwykłego odbioru tej i innych produkcji. To również były**

**eksperymenty na wielką skalę. Jak do nich doszło?**

Zanim do tego eksperymentu doszło, kilka lat wcześniej była moja nieudana współpraca przy librecie na podstawie dramatów Witkacego. Następna próba już z Markiem Grechutą okazała się i sensowna i rokująca. Po skomponowaniu większości pieśni zaproponowaliśmy nagranie tego w radio. „Taka muzyka nas nie interesuje...”. I wtedy upewnili-

**Sukces jest tylko wynikiem życzliwych skojarzeń.**

śmy się, że to jest niezłe. A potem Krzysztof wyniósł nasz musical na właściwej scenie we właściwe rejony sceniczne.

**Trudno nie docenić wielkości *Harfy Papuszy*. Jednak *Harf* nie zaakceptowali Romowie. Nie odnaleźli się ani w tej muzyce, w konwencji wielkiego widowiska, ani w filmie *Papusza*, opartego przecież na głębokim, ludzkim dramacie – kobiety, ale też ogólnie człowieka, zagubionego w tym konkretnym przypadku w dwóch światach, Romów i naszym. A przecież jest to uogólniony dramat losu ludzi żyjących na pograniczu różnych kultur, problem braku przynależności tych ludzi, odrzuconych, wszędzie obcych, nieumiejących się przystosować. A także problem braku tolerancji różnych narodowości w stosunku do innych, ale też stosunku do własnych, żyjących inaczej jednostek. Dlaczego tak się stało?**

Dlaczego? Dobrą odpowiedzią jest druga część pytania. Romowie nie odnaleźli się, bo mój poemat symfoniczny był świadectwem osobistego odczytania poezji Bronisławy Wajs-Papuszy (zresztą przez Romów wyklętej i kompletnie nieobecnej wśród nich). Nigdy podczas pisania nie przyszło mi do głowy korzystanie z potocznie znanej muzyki, którą grają nasi Romowie. Bo już na Bałkanach Romowie grają inną, w Hiszpanii inną, a w Szwecji jeszcze inną. Rzecz w tym, że muzyka cygańska to jest fenomen muzikalności szaleńczo uzdolnionych Romów. A pomysły biorą, skąd się da, i grają na swoją charakterystyczną nutę. Ja z kolei szukałem nut własnych. I tak to wyszło.

Film *Papusza* natomiast jest opowieścią o samotności artystki wielkiej miary, więc i zrozumienie tych spraw oraz tej twórczości nie przychodzi łatwo.

**Zapowiadał Pan kiedyś, że zamierza napisać muzykę do *Orfeusza i Eurydyki w zwierciadle wód*. Skończyło się na obietnicach? Mu-**

zyka miłośna, to jednak jest to, co chcielibyśmy usłyszeć w Pana wydaniu.

To jest rzecz na etapie jeszcze nie bardzo dla mnie jasnym, a więc niewiele mogę o tym powiedzieć. Ale przyjdzie czas...

**Jest Pan, jak mówią, muzycznym wizjonerem, ale też finezyjnym estetą z domieszką elegancji i nonszalancji. I podobno wykwiłtnym smakoszem, szczególnie ryb. Co może nam Pan opowiedzieć o rybach, oprócz tego, że znajdują się również na Pańskich obrazach?**

Kapka snobizmu. Moje skromne doświadczenie podpowiada mi, iż najlepszy turbot dostaniecie państwo w restauracji La Colombe w południowej Francji. Inne zaś doświadczenie z rybami to fakt, iż przez kilkanaście lat mieszkiałem w domu, obok którego był staw z ponad trzystuletnią tradycją. Tysiące ryb i jakby tego było mało, co jakiś czas dowoziłem następne. W efekcie rybom poświęciłem spory cykl malarski, tytułując obrazy, a to z węgierska, a to z włoska (cykle: *Halak* i *Pesci*). Mało brakowało, abym nie został dostawcą ryb dla Starego Teatru z okazji grania tam *Iwony*... Witolda Gombrowicza w reżyserii Grzegorza Jarzyny. Takie to są moje przygody z rybami. Ale to dopiero początek większej opowieści...

**Znalazł się Pan w gronie arbitrów Galicyjskiej Akademii Smaku. W jaki sposób i czym się Pan tam zajmuje?**

Istotnie. Byłem w tym ambitnym gronie, ale już nie jestem, bo i Akademia Smaku nie istnieje. To był wspaniały pomysł, żeby w świetnym towarzystwie objeżdżać (na własny koszt!) przez cały rok wybrane restauracje w Galicji, przygotować kandydatury do nagrody Złotej Kawki i za chwilę wybrać laureata. Tak żeśmy się rozegrali, że ufundowaliśmy nagrodę za przystawkę – *Złote Jajo Kawki*. I tak to wyglądało.

**Wracając do malowania. Dlaczego zajął się Pan malowaniem, a raczej kropkowaniem, w technice żel-art?**

Historycznie ważny jest dla mnie fakt koleżeństwa z Sebastianem L. Kudasem, scenografem Piwnicy pod Baranami, człowiekiem wielu zainteresowań i talentów. To on namówił mnie do pierwszego, przed laty, wernisazu, a potem uruchomiłem nabyte na architekturze umiejętności i tak powstał żel-art. Żel-art to połączenie współczesnej ekstrawagancji z konwulsyjną klasyką.

**Pana poczucie humoru sięgnęło wyżyn surrealistycznego absurdu w tytułach obrazów – *Dumne kury kruszą mury*, *Dama w purpurze pszenicznie się zieleni*, *Rudy łeb barbarzyńcy*, *Krajobraz z gęsią i rybą*, *Ściana z pawiem***

**na rowerze**, **Podnieśli w górę węże krawcy**, **Wskazując na węża, zapomina o kobiecie**. **Ale czy takie były Pana intencje – zażartować z oglądających? Znowu mruga Pan do nas jednym okiem?**

Przyznam, że nie chodzi o mruganie, lecz to są podświadome skojarzenia, komentarze do „sytuacji plastycznej”. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć, jak tylko „skojarzeniami w jasności”. Mam nadzieję, że to precyzyjne?

**Nie stroni Pan od żartów w najczystszy wydaniu, typu Chwilowa Grupa Artystyczna TRIO, a jednocześnie pisze *Misterium* i oratoria, podczas których tłumy płaczą. Kim jest naprawdę Jan Kanty Pawluśkiewicz? Stańczykiem czy Wernyhorą, a może Godotem?**

A tutaj się Pani chyba zapędziła, bo osobowość mam ciekawą, ale żeby do tego stopnia?! **To jeszcze o przyjaźni i miłości. Jak wiele znaczy dla Pana przyjaźń? Ile jest Pan w stanie dla niej poświęcić? I co według Pana znaczy uczciwość, nie tylko w przyjaźni?**

I dla miłości, i dla przyjaźni poświęcić mógłbym dużo. Aby nie banalizować, na początek podążajmy za Mickiewiczem: „Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie...”.

**Czy miłość może usprawiedliwić wszystko? Może, ale nie musi.**

**Czego Pan nigdy nie zaakceptuje?**

Nielojalności.  
**A marzenia? Lubi Pan marzyć?**  
Jeszcze się nie pozbierałem w sprawach ironii, a tu o marzeniach (śmiech)... Marzenia raczej nie, bo najistotniejsze to dążyć... A ironia, jak i marzenia, to... (długi namysł). Ironia to rodzaj żeński?

**Żeński.**

A marzenia?

**Marzenie, rodzaj nijaki.**

Szkoda, bo tworzyłyby świetną parę. I tak to by się zamknęło w jakąś ładną kodę naszej rozmowy.

**To może, żeby znaleźć jakąś kodę, o czym Pan myśli w długie wieczory?**

W długie wieczory myślę głęboko, ale krótko. Później zaś kombinuję coś z nowym obrazem lub grafiką. Tak, aby ludziom i mnie dzień następny przynosił radość i dalsze wzruszające „rozczarowania”.



**Elżbieta Wojnarowska** – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.



Laureatki pierwszej edycji CX ART Anna Zuzela (z lewej) i Weronika Świętek (z prawej) oraz Krzysztof Smolarski, prezes spółki Consultronix SA, organizatora konkursu

## Czas młodych artystów

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

**Obrazy Anny Zuzeli i Weroniki Świętek, studentek krakowskiej ASP, wygrały konkurs CX ART organizowany przez spółkę akcyjną Consultronix.**

Ta historia od czasu do czasu przypomina się Krzysztofowi Smolarskiemu, prezesowi firmy Consultronix SA, zajmującej się dystrybucją sprzętu medycznego. Otóż w latach 90. minionego stulecia pewien jego znajomy, będący szczęśliwym posiadaczem mieszkania w Warszawie, został poproszony o udostępnienie go na kilka dni młodemu artyście z Krakowa. Malarz ów nie miał gdzie przenoćować w stolicy, a na hotel nie było go zwyczajnie stać. Znajomy długo się zastanawiał, gdyż nie bardzo wiedział, czego może się po nim spodziewać. W końcu jednak się zgodził. Młody człowiek w podziękowaniu zostawiał mu dwa zwinięte w rulony obrazy. Na ich rogach widniał podpis „Wilhelm Sasnal”. Jak można się domyślić, ich wartość przewyższa dziś wielokrotnie cenę noclegu.

To nie jedyny, acz już wystarczający powód, że Krzysztof Smolarski zdecydował się sfinansować nagrodę dla Anny Zuzeli i Weroniki Świętek – studentek 3. i 5. roku krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. – Moja firma od lat jest mecenasem kultury. Posiadamy dosyć dużą kolekcję sztuki współczesnej, współpracujemy między innymi z Teatrem STU i Operą Krakowską. Tym razem dajemy szansę młodym – niech się rozwijają. Pamiętajmy, że van Goghowi, któremu talentu odmówić raczej nie można, za życia udało się sprzedać tylko jeden obraz. I to swojemu bratu – mówi prezes Consultronix SA.

Prace zostały wyłonione w konkursie. Wybrała je Komisja Wydziałowa Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych wraz z krakowską artystką Danutą Ney-Smolarską. Jury nie miało łatwego zadania, ale znawców zachwyciły płótna Anny Zuzeli (można je zobaczyć w tym numerze „Krakowa”) oraz Weroniki Świętek (zaprezentujemy je w następnym numerze).

Studentki naturalnie bardzo cieszą się z nagrody, bo pomoże im ona przetrwać w tych niełatwych czasach. Jak powiedziała nam Anna, przez ostatnie miesiące nie miała szansy dorabiać w gastronomii, bo wszystko było zamknięte. Dlatego wygrane w konkursie pieniądze przeznaczy na materiały malarskie, które do najtańszych nie należą.

– Doskonale wiem, jak trudno jest utrzymać się ze sztuki, bo sam mam żonę malarkę. Pandemia pogorszyła i tak już niełatwą sytuację, w której znalazła się kultura. Powinniśmy więc ją wspierać. Dlatego co kwartał będziemy wybierać dwie najlepsze prace studentów krakowskiej ASP. Chcemy, żeby CX ART stał się jednym z najbardziej prestiżowych konkursów młodej sztuki – zapewnia Krzysztof Smolarski.

Kolejna edycja CX ART planowana jest jesienią. Artysty mogą też liczyć na to, że zakupione przez firmę Consultronix SA obrazy znajdą się na wystawie prezentowanej w Urzędzie Miasta Krakowa.





# Włosy chronią ciało przed światem

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Anna Zuzela buntuje się przed traktowaniem ciała jako produktu popkultury. Dlatego jej feministyczna sztuka może wzbudzić u widzów dyskomfort.**

Gdy wspinam się za nią po schodach Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, widzę przed sobą plecy szczupłej, subtelnej blondynki. Nie mam pojęcia, że za chwilę, gdy tylko wejdziemy do jej uczelnianej pracowni, zobaczę na obrazach całkiem inne plecy. I nie będzie to przyjemny widok. Bowiem twórczość Anny Zuzeli z założenia ma wzbudzać dyskomfort, sprawiać, by widz się zatrzymał i zastanowił. Mimo że Ania jest dopiero studentką 3 roku, doskonale wie, o co jej chodzi w sztuce. A chodzi jej o ciało. Ale nie to piękne, rodem z zamieszczanych w kolorowych pismach reklam, tylko zwykłe, często zbyt obfite, nieatrakcyjne i przede wszystkim potwornie owłosione. Dlaczego? O tym za chwilę.

Na razie oddajmy głos malarce: – Takie traktowanie ciała jest wyrazem mojego sprzeciwu wobec podejścia do kobiecości, jakie wyniosłam z domu. Kobiety w mojej rodzinie zawsze bardzo o siebie dbały. Moja mama do dziś żyje w kulcie szczupłych gwiazd Hollywoodu i trudno jej wytłumaczyć, że ich wizerunki zostały wykreowane przez sztab specjalistów. Ja buntuję się przeciwko podchodzeniu do ciała jako produktu popkultury, staję w kontrze do nakładanego na nie kagańca społecznych stereotypów.

Ania manifestuje taką postawę nie tylko w swojej twórczości, ale i w życiu. Rodzice nierzadko zwracają jej uwagę, żeby ładniej się ubrała, zastanowiła, czy na pewno musi zjeść jeszcze jedno ciastko. Ona jednak od czasu do czasu prowokuje otoczenie i wygląda, jakby przed chwilą wstała z łóżka. – Tato pyta się wtedy, czy przypadkiem nie jestem chora? A ja lubię się malować, ozdabiać siebie. Są jednak dni, kiedy właśnie chcę być naturalna, nie robić nic, co kobietom narzuca społeczeństwo czy social media.

Głębiej uświadomiła to sobie pod wpływem lektury feministycznych książek, takich jak *Mit urody* Naomi Wolf, *Mistyfikacja kobiecości* Betty Friedan, *Druga płęć* Simone de Beauvoir, *Męska dominacja* Pierre’a Bourdieu, a przede wszystkim *Uwikłani* w płęć Judith Butler. Wrażenie zrobił na niej feminizm idealny przedstawiony przez tę ostatnią autorkę. Od tego czasu zaczęła się interesować rzeczywistością, w której płęć nie ma większego znaczenia, a kobiety i mężczyźni stanowią jedno. Dlatego w pracach Ani pojawiają się postaci, które znajdują się na granicy kobiecości i męskości. Widać to choćby na obrazie przedstawiającym tors chłopaka artystki, na który nałożyła swój biustonosz, czy w męskich stopach z pomalowanymi czerwonym lakierem paznokciami. Znajdują się one na białym tle, które ma odseparować ten fragment ciała od reszty świata.

– Teraz biel wydaje mi się zbyt agresywna. Odkąd bardziej świadomie zainteresowałam się sztuką feministyczną, na moich obrazach pojawił się róż. Kolor ten kojarzy mi się z niewinnością, delikatnością, ciepłem ludzkiego ciała – mówi.

Ale ktoś, kto myślałby, że jej ostatnie prace są przez to słodkie i przyjemne dla oka, ten się grubo myli. Odbiorcę mogą odstręczyć włosy, które nakłada na swoje obrazy, nadając im cyklowi tytuł *Uwłochaceni*. – Zaczęłam myśleć o włosach jako o tarczy ochronnej, która chroni ciało przed światem. Kiedy pokazałam moje „uwłochacone” prace w Akademii, wzbudziły one niesmak u widzów. Pomyślałam wtedy, że ta reakcja jest ciekawa. Przecież wszyscy mamy włosy, tylko że panująca moda nakazuje nam się ich pozbywać z określonych części ciała.

Jednak malowane przez Anię włosy nie odstręczyły jury komisji, która przyznała malarce nagrodę spółki akcyjnej Consultronix za obraz *Nie patrz, nie słysz*. Choć może rzeczywiście praca ta jest odrobinę delikatniejsza niż cykl *Uwłochaceni*. Widzimy na niej twarz zasłoniętą przez futro. Jest ono sztuczne, zielonkawe, w kontrze do nieba i płynących po nim bajkowych chmur. Ale jego wymowa jest podobna jak w przypadku włosów, spełnia rolę ochronną, odizolowuje człowieka od treści, którymi na co dzień jest bombardowany.

Ania jest szczęśliwa z nagrody, ale wie, że z takim podejściem do sztuki trudno będzie jej się utrzymać. Ludzie niespecjalnie chcą mieć w domach tego typu obrazy. Znamcy jednak doceniają jej twórczość. Stąd współpraca artystki z krakowską galerią Dystans i nagrody na kolejnych konkursach.

\*

Anna Zuzela studiuje na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w pracowni prof. Witolda Stelmachniewicza. Nie tylko maluje, ale też fotografuje i tworzy obiekty, takie jak te, które składają się na projekt *Poczwarzka*. Jest zwyciężczynią konkursu CX ART spółki akcyjnej Consultronix i Call4Arts 2020. Razem z przyjaciółmi założyła kolektyw artystyczny Facjata.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

## Odpowiada Anna Zuzela

**Gdybyś mogła zmienić się w ptaka, to jakiego koloru miałabyś skrzydła?**

Gdyby dane mi było zmienić się w ptaka, chciałybym mieć skrzydła koloru lasu, z pozoru zwyczajne i pospolite. Pod dziobem wystarczyłoby mi jedno fioletowe piórko, żebym pamiętała o wrodzonej ciekawości i odwadze.

**Gdzie uwiłabyś gniazdo?**

Gniazdo uwiłabym w starym, zamszonym drzewie. Wtapiając się w otoczenie, mogłabym wieść spokojne i długie życie, niezmaczone ciekawością zachłanego człowieka.

**Do jakiego kraju najchętniej byś odleciała zimą?**

Odleciałabym do kraju równie zmrożonego i skutego lodem jak mój. Byłby to jednak kraj, gdzie mogłabym pooddychać innym niż tu powietrzem.

**Gdybyś mogła być kimś innym, to kto to by był?**

Zawsze myślałam, że dużym i leniwym kotem, teraz jednak oddałabym koci komfort za kilka dni życia motyla zamieszkującego zachodnią część lasów deszczowych Amazonii. Dziewięć żyć za kilka chwil spijania łez żółwi.

**Kiedy myślisz o sobie, że jesteś szczęściarą?**

Kiedy oddycham całym ciałem, a ono mi dziękuje.

**W jakich momentach uważasz, że masz pecha?**

Nie miewam pecha. Zawsze widzę szklankę do połowy pełną.

**Jaki jest twój ulubiony film?**

*Fúsi* Dagura Káriejo.

**Czy wiesz zabrałbyś ze sobą na bezludną wyspę?**

*W plastrze miodu mogę zamieszkać* Haliny Poświętowskiej.

**Muzyka, która cię inspiruje?**

Francuskie piosenki z młodości mojej mamy, których słuchałam jako dziecko.

**Jaki okres w historii sztuki miał na ciebie największy wpływ?**

Początek sztuki konceptualnej z lat 60. XX wieku.

**Czy sądzisz, że może istnieć świat idealny?**

Nie.

**Jak wyobrażasz sobie najgorszy ze światów?**

Najgorszy ze światów dzieje się właśnie teraz na naszej planecie. Jestem głęboko poruszona i przerażona nieodwracalnymi zmianami w faunie i florze, eksploatacją surowców naturalnych, masowym przemysłem hodowlanym i chciwością naszego gatunku.

**Co robisz, gdy nie masz nastroju?**

Piekę ciasto.

**Co wprawia cię w dobry humor?**

Książki, dużo książek.

**Czy Kraków ma sens?**

Jestem rodowitą krakowianką i uwielbiam moje miasto.

**Jakie masz ulubione miejsca w Krakowie?**

Kazimierz i wszystkie jego zakamarki.



Anna Zuzela, *Uwłochacenia-stopy*, olej na płótnie, 45 x 60 cm, 2020



# W Dniu Dziecka nie tylko o książkach dla młodzieży

Rozmawiała: Sylwia Pyzik Zdjęcie: Bartek Syta (www.barteksyta.com)

**Artur Pacuła:** Złości mnie stwierdzenie powtarzane często przez starszych, że „za naszych czasów było lepiej” i że „młodzież była inna”. Nieprawda. Byliśmy tacy sami. Różnica polega na tym, że my czytaliśmy książki i oglądaliśmy jeden program telewizyjny albo dwa, a dzisiaj tych programów jest więcej. Dzieciaki używają telefonów, komputerów, ale to jest tylko technologia.

**Sylwia Pyzik:** Jak „pan od marketingu” został pisarzem?

Artur Pacuła: Po pierwsze, to było w takim momencie, kiedy moja córka, mając lat 11, wpadła nagle w szal czytania i poleciła mi swoją ulubioną książkę. W wakacje przeczytałem ją po długich latach przerwy od literatury młodzieżowej, bo oczywiście w dzieciństwie zaczytywałem się książkami o Panu Samochodziku, o Tomku Wilmowskim i różnymi tego typu przygodami. Pomyślałem sobie: „To literatura, którą właściwie mógłbym spróbować się zająć”. Na to nałożył się taki czas, kiedy jako pracownik spędzałem dużo czasu w podróży – a to w pociągu, a to czekając na kolejną spotkaniu, a to gdzieś w hotelu miałem godzinę czy dwie. Zamiast grać na telefonie – pisałem. Stworzenie pierwszej książki zajęło mi rok, bo odbywało się właśnie w takich urywanych momentach. Co oczywiście powodowało, że ta książka była nieśpójna – rozdział zaczynałem pisać w jednym miejscu, a kończyłem w drugim. Podczas redakcji okazywało się, że moi bohaterowie, na przykład, zaczynali rozdział w różowej koszulce, a kończyli w fioletowej.

Naturalnie pisanie odbywało się w zupełnej tajemnicy. Kiedy książka powstała, wydrukowałem ją, zbindowałem i przyniosłem do domu. Powiedziałem: „Słuchajcie, przez ten rok napisałem książkę”. Przeczytała ją cała rodzina. Dopiero jej zgoda i aproba, szczególnie ze strony córki, spowodowały, że pomyślałem sobie, aby spróbować rzecz wydać. Wcześniej było to po prostu hobby.

**Potem poszło już z górki?**

Od początku chciałem napisać trzy konsekwentne historie moich bohaterów. To było głębokie marzenie, którym z nikim się nie dzieliłem, choć same historie były już wymyślone. Ci sami bohaterowie wpadają w dość krótkim czasie w wir kilku różnych przygód i poszukiwań. Motywacją do napisania książki drugiej była reakcja na książkę pierwszą.

Publikacja spotkała się z dobrą reakcją Forum Miłośników Pana Samochodzika. Każda pozytywna recenzja, opinia, uwaga, którą dostawałem, dodawała mi energii, żeby ten proces trwał.

**Czym współczesna młodzież różni się od wcześniejszych pokoleń nastolatków?**

Złości mnie stwierdzenie, powtarzane często przez starszych, że „za naszych czasów było lepiej” i że „młodzież była inna”. Nieprawda. Byliśmy tacy sami. Różnica polega na tym, że my czytaliśmy książki i oglądaliśmy jeden program telewizyjny albo dwa, a dzisiaj tych

Gdy się jest razem w grupie, to wszyscy aspirują, żeby być trochę wyżej, bardziej, lepiej i mądrzej. To napędza we właściwym kierunku. Moi bohaterowie właśnie tacy są – wykonują wysiłek, aby być w czymś dobrym. Ta grupa tworzy pewną mobilizację.

programów jest więcej. Dzieciaki używają telefonów, komputerów i tak dalej, ale to jest tylko technologia. W swoich książkach skupiłem się na tym, że dzieci się wzajemnie motywują. Tak samo było za moich czasów. Gdy się jest razem w grupie, to wszyscy aspirują, żeby być trochę wyżej, bardziej, lepiej i mądrzej. To napędza we właściwym kierunku. Moi bohaterowie właśnie tacy są – wykonują wysiłek, aby być w czymś dobrym. Ta grupa tworzy pewną mobilizację.

**Ostatnio wybrał się Pan w podróż do XIX-wiecznego Egiptu. Jednak w serii *Gdzie jest... udowodnił Pan, że przygoda może czaić się tuż za rogiem. Co decydowało o wyborze miejsca akcji poszczególnych powieści?***

Zamek Czocha, czyli miejsce, gdzie dzieje się pierwsza z nich, jest lokalizacją absolutnie magiczną. Zakochałem się w nim już podczas

pierwszego zwiedzania. Bardzo go lubię i dobrze znam. A że jest tam jeszcze nierozwiązana tajemnica ukrytych skarbów, to tym łatwiej było umieścić w nim czwórkę nieco szalonych, młodych bohaterów pod opieką trzymającego ich w ryzach nauczyciela. Przy książce drugiej nie chciałem iść na łatwiznę i wybrałem Katowice jako miejsce wakacyjnej przygody. Z przekory. Śląsk, a Katowice szczególnie, symbolizują coś z perspektywy

Jedna z przygód, która gdzieś tam w mojej głowie kiełkuje, opiera się w co najmniej jednej trzeciej na Krakowie. Mam tu wspaniałych idoli, bo uwielbiam książki krakowskie. Jednym z moich ulubionych pisarzy jest Mariusz Wollny. Kacper Ryx jako bohater jest dla mnie wzorem.

młodzieżowej nudnego. Jest taki stereotyp, że tam jest brudno, słabo i w ogóle nic ciekawego. Znam dobrze Śląsk i wiedziałem, że jest tam dużo fantastycznych historii. W związku z tym umieściłem moich bohaterów w centrum przemysłowego miasta w środku wakacji, trochę wbrew logice przygodowych książek. Jednym z najprzyjemniejszych momentów dla mnie było spotkanie z dziećmi na Targach Książki w Katowicach. Kiedy opowiadałem im o książce, której akcja dzieje się tuż za rogiem, to widziałem ich zdziwienie. Oni byli przekonani, że ich miasto na pewno nie jest ciekawe.

Z kolei akcja trzeciej książki dzieje się zimą, w czasie ferii. Przenosimy się do zaśnieżonej, zakorkowanej i zablokowanej Warszawy, w której bohaterowie poszukują tajemniczej skrytki szefa Armii Krajowej generała Grota. **Czy myślał Pan kiedyś o tym, by akcją kolejnej przygody osadzić w Krakowie?**

Oczywiście. Jedna z przygód, która gdzieś tam w mojej głowie kiełkuje, opiera się w co najmniej jednej trzeciej na Krakowie. Mam tutaj wspaniałych idoli, bo uwielbiam książki krakowskie. Jednym z moich ulubionych pisarzy jest Mariusz Wollny. Kacper Ryx jako bohater jest dla mnie wzorem. Uwielbiam! W swoich książkach staram się przedstawiać

różne aspekty, a to historii, a to sztuki, więc w jednej książce jest o książkach, w innej będzie o malarstwie, też myślę sobie o muzyce, a o Krakowie myślę w kontekście sztuki teatru. Magia teatru mnie w Krakowie trzyma. To wynika z tej takiej wspaniałej przygody, którą miałem wiele, wiele lat temu, będąc nastolatkiem. W czasie wakacji dorabiałem sobie, statystując w czasie nagrywania spektaklu Starego Teatru dla telewizji. „Grałem” publiczność. Śmieję się, bo mogę opowiadać, że występowałem na ekranie z Dorotą Pomykałą, Krzysztofem Globiszem, Andrzejem Kozakiem, Jerzym Bińczyckim i Jerzym Radziwiłowiczem. Oni stali na scenie, a ja byłem tam niedaleko. To była wspaniała przygoda oglądania teatru od środka, Starego Teatru, więc to był wspaniały czas. To był spektakl *Życie jest snem* Pedra Calderóna de la Barca. Stąd pomysł o książce, w której dzieciaki zobaczą teatr od tyłu i zaplątają się w tajemnicę teatralnego tekstu.

**Zaczął się od serii *Gdzie jest...*, ale piąta książka to już odrębna historia. Znudził się już Pan wykreowanymi przez siebie bohaterami?**

Ależ skąd! Wyruszyłem tylko w inną podróż. *Dobrowolski i skarb z Meroe* to książka najnowsza, ukazała się pod koniec stycznia, i otwiera zupełnie nowy cykl. Zafascynowały mnie czasy końca XIX wieku i rewolucji przemysłowej. Historia wielkich umysłów inżynierskich, które tworzyły wspaniałe projekty budowlane — Kanał Sueski, wieżę Eiffla, Kanał Panamski, Kolej Transsyberyjską. Pomyślałem sobie, że mam pomysł na bohatera, który pojawi się na takiej budowie jako inżynier i wpadnie w przygody. Postać wymyśliłem trochę wcześniej, a potem, czytając różną literaturę, znalazłem opis zapomnianego państwa Kusz ze stolicą w Meroe, na południe od Egiptu. Pomyślałem, że skoro tam gdzieś był jakiś skarb i jest parę dokumentów oraz dowodów na to, że on został wydobyty, a potem zniknął, to niech mój bohater, Konstanty Dobrowolski, młody człowiek podróżujący po świecie, spróbuje rozwiązać tę zagadkę w młodziwym okresie końca XIX wieku w Kairze. Egipt, pustynia, Kanał Sueski, to wszystko pięknie wygląda i dobrze się kojarzy jako tło przygody i jakiejś awantury.

To pierwsza książka z cyklu, druga jest już prawie gotowa, nad trzecią pracuję, mam

pomysły na następne. Czytelnik według moich planów jest nieco starszy niż 12–15 lat, ale z tego, co mówią pierwsi odbiorcy, to książka dla wszystkich. Bo magiczne skarby i przygoda wciągają! Ucieczka w Dobrowolskiego, w XIX wiek i w zwiedzanie świata daje mi możliwość emocjonowania się innym miejscem na Ziemi, czasem i źródłami. To pozwala mi tworzyć jakiś balans. Mam dorosłego człowieka, który właśnie skończył studia, jest inżynierem i na dokładkę to się dzieje 150 lat temu.

#### **Czy Pana czytelnik kiedyś dorośnie?**

Bardzo chciałbym, żeby te książki były na tyle uniwersalne, że nawet jeśli czytelnik dorośnie, to zawsze będzie mógł do nich wrócić albo polecić je komuś młodszemu. Czy to się uda, nie wiem, ale taki byłby ideał.

A pytanie, czy moi bohaterowie dorosną, sam zadaję. Co z nimi będzie? Tego też nie wiem. Chciałbym książki zamknąć w cyklu, tak żeby czytelnika nie nudzić kolejnymi przygodami tych samych bohaterów, ale tak ich polubiłem, że nie mogę tego zagwarantować. To jest taka przyjemność. Tak, jak ostatnie wakacje, które były słabe, ale jednak przyjemne, bo spędziłem je ze swoimi bohaterami, pisząc następny tom młodzieżowy. Dało mi to zastrzyk energii.

#### **W swoich powieściach stara się Pan opowiadać także o problemach, z którymi mierzą się współcześni nastolatki. Co wskazałby Pan jako największe zagrożenie, które na nich czyha?**

To, na co się mocno nastawiam i co chciałbym wpisać w swoje książki, to zagrożenie indywidualizmem versus praca zespołowa. Wydaje mi się, że za każdym sukcesem mojej grupy bohaterów stoi ich współpraca. Staram się tak prowadzić ich przygody, żeby sukces rozwiązania jakiejś zagadki był efektem ich współpracy, wspierania się i wzajemnej tolerancji. Każdy ma jakieś zalety, ale też ma słabości, specjalnie nie mówię tutaj o wadach. Te zalety i słabości mieszają się, ale kiedy skomponuje się z tego zespół, to ten zespół przeważnie, a moim zdaniem zawsze – działa. I o tym chcę naprawdę opowiadać, że samotność, pojedynczość, odseparowanie to największe zagrożenie. Kiedy tylko jesteśmy w grupie i będziemy się wzajemnie wspierać, podamy sobie rękę czy rzucimy sobie linę (bo tam także jest o wspinaczce, więc to porównanie nie jest

przypadkowe), to osiągniemy sukces. Wzajemna wiara w siebie, zaufanie, to wartości, które chciałbym promować.

#### **Jakie ma Pan plany na przyszłość?**

### **Magiczne skarby i przygoda wciągają wszystkich.**

Plany na ten rok są bogate. Książka *Dobrowolski i skarb z Meroe* jest stosunkowo świeża i oczywiście mocno ją wspieram, ale jest także reedycja powieści, która dzieje się w Katowicach – *Gdzie jest skrzynia z karabinami?* Ta książka opowiada o historii rozciągniętej w czasie. Rozpoczyna się od powstań śląskich i tajemniczego ukrywania karabinów, które służyły powstańcom, a potem rozwija się i moi bohaterowie poszukują ukrytego skarbu w Katowicach.

Także *Gdzie jest skrytka generała Grota?* otrzyma w sierpniu nowe życie. Jesienią pojawi się piąty tom tej historii, bardzo wakacyjny. Będą jeziora, kąpiele, nurkowanie i oczywiście poszukiwanie skarbu.

W myślach jestem już jednak w następnych przygodach, podróżuję po Paryżu, Londynie i czasami muszę się właśnie cofnąć i pomyśleć o moim bohaterze, który biega po Kairze i poszukuje skarbu z Meroe, a tak naprawdę wiem już, gdzie on jest teraz. To przyjemna przygoda dla piszącego!

#### **Czego życzyłby Pan dzieciom z okazji ich święta?**

Przygody i znalezienia własnego skarbu. Najważniejsze jednak, żeby zawsze robić to z przyjaciółmi.



**Sylwia Pyzik** – dziennikarka i filolożka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.



### **Gdzie jest korona cara?**

To pierwszy tom przygodowej serii, który został doceniony przez Forum Miłośników Pana Samochodzika. Monika, Ala, Igor i Miras są na obozie wspinaczkowym na Zamku Czocho. Zwyczajny wyjazd szybko zmienia się jednak w niezapomnianą przygodę. Wszystko przez Bossa, czyli Marcina Krygiera, nauczyciela historii w ich podstawówce. Czas wyruszyć z bohaterami na poszukiwanie zamkowych tuneli, tajnych skrytek, mitycznej korony i klejnotów carskiej rodziny Romanowów.



### **Gdzie jest skrzynia z karabinami?**

Zapowiadały się najnudniejsze wakacje na świecie. Igor właśnie wrócił z obozu wspinaczkowego, a już musiał pojechać do wujka do Katowic. Czy może być coś mniej wakacyjnego niż kopalnie i huty? Poszukiwania skrzyni z karabinami odkryją tajemnice historii Śląska. Najpierw trzeba jednak będzie rozszyfrować wraz z bohaterami zakodowane wiadomości z przeszłości, śledzić podejrzanego o kradzież mężczyznę i przeszukać tajemnicze zakamarki.



### **Gdzie jest skrytka generała Grota?**

Każda wiekowa kamienica skrywa swoje sekrety, a w Warszawie jest wiele takich budynków. Zgrana paczka nastolatków wyrusza śladami legendarnego dowódcy Armii Krajowej, generała Grota-Roweckiego. Czekają na nich przeszkody, łamigłówki, włamania, prawdziwe śledztwo, a nawet „okupacyjny obiad”.



### **Gdzie jest dukat króla Zygmunta?**

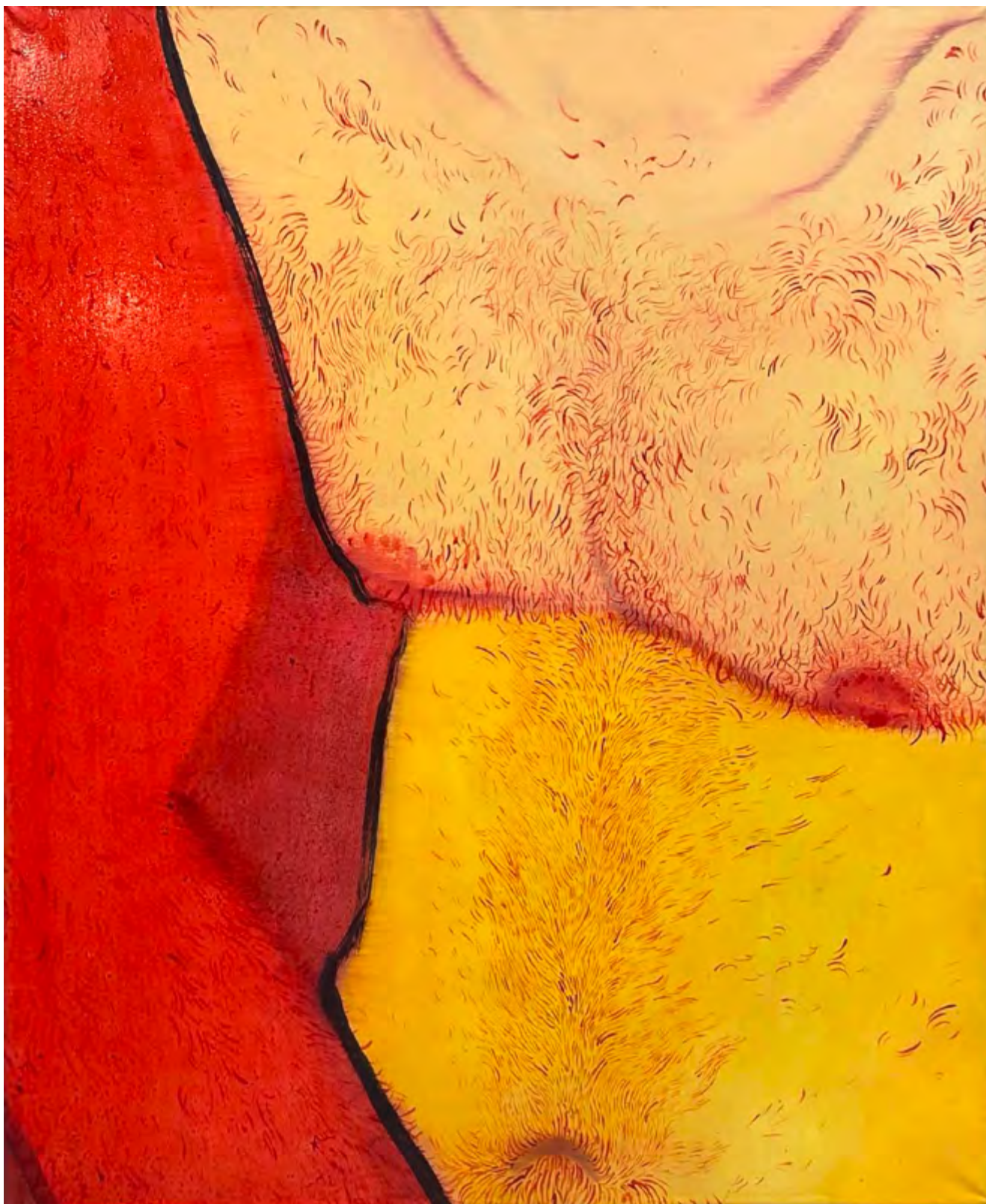
Monika, Ala, Igor, Miras oraz ich nauczyciel Boss spędzają razem wakacje. Wycieczka pod namiot w okolicy Tarnowa stawia przed nimi kolejną historyczną zagadkę. Czy uda się im odkryć sekret kolekcji monet hrabiego Semechowskiego, dawnego właściciela leśniczówki? Legenda głosi, że był wśród nich słynny dukat króla Zygmunta, czyli największa moneta wybita kiedykolwiek na terenie Polski. Jak się okazuje, nie tylko oni poszukują kolekcji. Czy niespodziewanie odkryte wiersze hrabiego doprowadzą ich do cennej monety?



### **Dobrowolski i skarb z Meroe**

Pierwsza część zupełnie nowej serii. Młody polski inżynier Konstanty Dobrowolski przyjeżdża do dziewiętnastowiecznego Egiptu, by budować Kanał Sueski. Tajemnicza dziewczyna wpłątuję go jednak w intrygę polityczną i poszukiwanie legendarnego skarbu z Meroe. Jak zakończy się awanturnicza przygoda w epoce pary i elektryczności?





Anna Zuzela, cykl *Prysznic* - 1, olej na płótnie, 90 x 70 cm, 2021

# Ziemi Czarnej na odsiecz

Tekst: Krzysztof Jakubowski

**Z Krakowa i Małopolski wyszło wiosną 1921 roku około 1200 ochotników, by nieść pomoc walczącym o polskość Śląska.**

Po formalnym odzyskaniu przez Polskę niepodległości sprawą najpilniejszą stało się ustalenie granic państwa. Było to jedno z zadań paryskiej konferencji pokojowej, obradującej w Wersalu od stycznia 1919 do stycznia 1920 roku. Wypracowany po długich negocjacjach i podpisany tam traktat ustalił większość granic europejskich krajów, wprowadzając w życie

roku walki z bolszewikami, kluczowa dla Polski stała się sprawa pozyskania Górnego Śląska. Jego obszar liczył ponad 13 tys. km<sup>2</sup> i zamieszkały był przez około 2,2 mln ludności, z czego – co przyznawali nawet niemieccy statystycy – aż 60–70 proc. stanowili Polacy. Bezczennym bogactwem Śląska było zaplecze przemysłowe, z 67 kopalniami węgla, 15 kopalniami cynku i ołowiu oraz kilkunastoma hutami. Przemysł był jednak niemal w całości w rękach kapitału niemieckiego.

Początkowo realne wydawało się ustalenie granic na drodze dyplomatycznej, bo Niemcy, osłabieni z wyroku wojny, gotowi byli na daleko idące ustępstwa. Kiedy jednak się okazało, że przyznanie szerokich przywilejów, a nawet autonomii nie zaspokoi rosnących narodowych ambicji, kurs wobec Polaków został zaostrzony. Ponadto jednym z istotnych postanowień traktatu wersalskiego było rychłe przeprowadzenie plebiscytu na Górnym Śląsku, mającego w drodze głosowania powszechnego rozstrzygnąć o państwowej przynależności terenu spornego między Polską a Niemcami. W ten sposób ignorowane zostały postulaty strony polskiej.

Już w styczniu 1919 roku Niemcy wprowadzili na Śląsku stan oblężenia. Uzasadniali to wzrostem rewolucyjnych nastrojów ludności polskiej. Mając wsparcie Brytyjczyków i Amerykanów, liczyli ciągle na korzystne dla nich rozwiązanie dyplomatyczne. Nie przeszkodziło im to sprawnie rozlokować wielu batalionów wojsk, liczących ponad kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, ze 150 działami i 600 cekaemami. Utworzono też formację wojskową Grenzschutz, która wspólnie z bojówkami rozpoczęła akcje terrorystyczne.

W odpowiedzi niemal równocześnie zawiązała się konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska z komendantem por. Alfonsem Zgrzebniakiem. Jej gotowość koordynował Departament Informacyjny MSW, ze sztabem w Sosnowcu. Organizacja ta – modyfikowana i zmieniająca później zależnie od sytuacji politycznej kryptonimy – była odąd zbrojnym ramieniem Polaków.

## Kraków i Śląsk

Położony zaledwie 80 km na wschód Kraków stał się naturalnym przyczółkiem dla organizacji pomocy. Przełomowy był styczeń 1919 roku i spotkanie w sali „Sokoła”, podczas którego red. Franciszek Krysiak przedstawił referat



Polski plakat propagujący plebiscyt, 1920, domena publiczna

nowy ład geopolityczny. W wypadku Polski był to jednak dopiero początek walki o ostateczny kształt nowych granic.

## Czas rozstrzygnięć

Po sukcesie powstania wielkopolskiego i z chwilą kiedy na wschodniej granicy toczyły się rozpoczęte w pierwszych tygodniach 1919

opisujący gehennę Polaków na Śląsku. To wtedy powołano w Krakowie Towarzystwo Pomocy Górnemu Śląskowi, które – po decyzji o plebiscycie – przekształciło się w Towarzystwo Obrony Zachodnich Kresów Polski. Jego pierwszym prezesem został ks. Jan Rzymełka, nauczyciel i katecheta wywodzący się ze śląskiej rodziny robotniczej.

Rzymełka miał wiarę, wiedzę i dużą siłę sprawczą. Prowadził akcję agitacyjną w krakowskiej prasie, organizował zbiórki pieniędzy na potrzeby powstańców, w przełomowym momencie wspierał kampanię plebiscytową.

Zarówno Rzymełka, jak i kilkusobowy zarząd TOZKP pełnili funkcje honorowo. Władze Krakowa przydzieliły im na biura część hotelu Krakowskiego u zbiegu ulic Dunajewskiego i Garbarskiej (dziś stoi tam budynek banku).

### Dwa powstańcze zrywy

Decyzja o plebiscycie sprzyjała Niemcom, którzy dzierżąc w ręku całą administrację i zarządy kopalń, nie zaprzestali systematycznych prowokacji i szykan w stosunku do Polaków. Szalę przeważała masakra pod kopalnią Mysłowice, gdzie żołnierze Grenzschutzu zabili z broni maszynowej ośmiu górników.

Pierwsze powstanie śląskie wybuchło w nocy z 16/17 sierpnia 1919 roku. Ze strony polskiej do walki stanęło ponad 20 tysięcy słabo uzbrojonych i niedostatecznie przeszkolonych bojowców. Ze względu na zaangażowanie większości sił na froncie wschodnim, pomoc ze strony wojska była symboliczna i ograniczyła się do przemytu broni ręcznej i amunicji. Spontaniczny, nieskoordynowany zryw polskich oddziałów został szybko stłumiony – walki zakończyły się już 24 sierpnia. Tego samego dnia do Krakowa dotarł pierwszy transport rannych Górnosłazaków.

Poratyfikacji traktatu wersalskiego 10 stycznia 1920 roku Reichswehra opuściła teren plebiscytowy, ustępując miejsca wojskom koalicji. Władzę administracyjną objęła Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa, z przedstawicielami Anglii, Francji i Włoch. Z Komisją miały współpracować Komisariaty Plebiscytowe: polski w Bytomiu i niemiecki w Katowicach. Na czele polskiej struktury działającej pod kuratelą rządu w Warszawie stanął Wojciech Korfanty, wpływowy działacz narodowy na Śląsku.

Mimo to kolejne miesiące upływały pod znakiem niekończących się prowokacji Niemców, którzy sprowadzali przeszkolonych bojowkarzy z głębi Rzeszy. Jedną z takich akcji był wieczorny atak na Polski Komisariat Plebiscytowy w Bytomiu. Podobne incydenty zdarzały się przy zupełnej bierności niemieckiej policji (Schupo).

W nocy z 19/20 sierpnia rozpoczęło się II powstanie śląskie. Było demonstracją polskiej siły, determinacji i sprzeciwu wobec niemieckich aktów terroru. W ciągu kilku dni powstańcy opanowali większość strategicznych terenów



Propagandowy antypolski plakat niemiecki, 1920, domena publiczna

przemysłowych z wyjątkiem dużych miast, w których stacjonowały wojska alianckie i policja. Brawurowy zryw wymusił zgodę Komisji Międzysojusznicznej na rozwiązanie Schupo, sprawującej dotąd pełną kontrolę na obszarze plebiscytowym. Zastąpiono ją mieszaną polsko-niemiecką policją Apo (Abstimmungspolizei).

Heroizm tego niespełna sześciodniowego powstania, przejmująco i malowniczo ukazał Kazimierz Kutz w filmie *Sól ziemi czarnej* (1970 rok).

### Plebiscyt

Zgodnie z postanowieniem traktatu wersalskiego Międzysojusznicza Komisja wyznaczyła termin plebiscytu na 20 marca 1921 roku. W myśl regulaminu głosować mogli ci, którzy ukończyli 20. rok życia i urodzili się na terenie plebiscytowym bądź zamieszkiwali tam od 1904 roku. Były zatem trzy grupy uprawnionych: urodzeni i zamieszkali na Górnym Śląsku (szacunkowo około 900 tysięcy osób), urodzeni tam, ale niezamieszkali (ponad 190 tysięcy), zamieszkali tam od 1904 roku (około 50 tysięcy). Ponieważ uznawano, że na wynikach zaważyć mogą emigranci, od początku obie strony starały się ułatwić im oddanie głosu.

Dla wyjeżdżających na głosowanie z terenu RP gwarantowano zwrot utraconych zarobków, przygotowano aprowizację, przydzielano, zapewniano ubezpieczenie i opiekę medyczną, wypłacano kieszonkowe. W specjalnych punktach doręczano bilety do jednego z 13 nad-



Ks. Jan Rzymełka (1877–1960), społecznik, działacz niepodległościowy na rzecz Śląska, prezes TOZKP



Mjr Michał Żymierski w legionowym mundurze, w towarzystwie Jerzego hr. Mycielskiego, historyka sztuki i kolekcjonera; Jacek Malczewski, olej na płótnie, 1915, zbiory malarstwa na Wawelu

zwyczajnych pociągów plebiscytowych kierowanych na Górny Śląsk. Z Krakowa wyruszyły trzy takie pociągi, przewożąc 2 tysiące emigrantów górnośląskich osiadłych na terenie Małopolski.

Niemcy wszystkimi siłami ściągali emigrantów, dopuszczając się wielu fałszerstw dokumentów. Ostatecznie w głosowaniu udział wzięło ponad 192 tysiące emigrantów, z których aż 182 tysiące opowiedziało się za Niemcami. Rozgoryczenie potęgował fakt, że to strona polska forsowała ich dopuszczenie, nie doceniając ilościowej przewagi i determinacji przeciwnika.

Plebiscyt odbył się 20 marca, przy frekwencji około 97 proc. W 1573 gminach położonych na terenie 13 powiatów za Polską opowiedziało się 40,4 proc. mieszkańców, za Niemcami 59,6 proc. W miastach przewagę zyskały Niemcy,

Zaproponowana po niepomyślnym wyniku plebiscytu tak zwana linia Korfantego dzieliła sporny obszar zgodnie z pierwotnie ustaloną zasadą liczenia głosów gminami. Korfanty domagał się 45 proc. obszaru plebiscytowego z 891 gminami, z których 74 proc. uzyskało większość polską. Projekt ten miał poważny mankament. Centralna część obszaru obejmująca powiaty przemysłowe stanowiła wyspę z przewagą ludności niemieckiej (56 proc.).

Choć stroną polską popierała Francja, proniemieckie stanowisko Anglii i Włoch nie wróżyło osiągnięcia porozumienia na drodze dyplomatycznej. Interpretacja wyników plebiscytu przez Międzysojuszniczą Komisję Plebiscytową była niekorzystna dla Polski. Przyznanie za ledwie 25 proc. spornego obszaru bez okręgu przemysłowego zapowiadało kolejną konfrontację zbrojną.

Kiedy 2 maja 1921 roku zastrajkowało 97 proc. zakładów pracy, Korfanty – dotąd zdecydowany przeciwnik akcji zbrojnej – zrzekł się funkcji komisarza i podpisał wezwanie do powstania, przejmując też jego kierownictwo. Przeprowadzona nocą z 2/3 maja mobilizacja przebiegła sprawnie.

### Trzecie powstanie śląskie

Już pierwsze godziny pokazały jak ogromne było zaskoczenie Niemców. Powstańcy wysadzili mosty prowadzące do Rzeszy, a polska część Apo rozbroiła swych niemieckich kolegów, obsadzając urzędy i zakłady pracy. Do 5 maja Polacy opanowali niemal cały obszar na wschód od górnej Odry – od granicy czeskiej po Krapkowice.

Tymczasem rząd polski trwał w swej wymuszonej taktyce. Nieoficjalnie zgodził się na powstanie, śląc niewielką pomoc materialną, oficjalnie potępiał akcję zbrojną. Formalnie odwołał nawet Korfantego ze stanowiska komisarza za „przekroczenie pełnomocnictw”...

Do 6 czerwca powstaniem dowodził ppłk Maciej hr. Mielżyński, następnie ppłk Kazi-

## Pierwsze wiece protestacyjne podważające rzetelność plebiscytu zwołano w Krakowie 22 marca 1921 roku pod pomnikiem Grunwaldzkim oraz w Collegium Novum.

w gminach Polska. Ogółem jednak za Niemcami opowiedziały się 792 gminy, a za Polską 682.

Na niekorzystnym wyniku zaważyła trudna sytuacja państwa polskiego zaangażowanego w wojnę polsko-bolszewicką. Zabrakło czasu i środków na akcję propagandową.

W Krakowie pierwsze wiece protestacyjne podważające rzetelność plebiscytu zwołano 22 marca pod pomnikiem Grunwaldzkim oraz w Collegium Novum. W przyjętej rezolucji stwierdzono między innymi: „Oświadczamy, że do pogwałcenia praw ludu górnośląskiego za żadną cenę nie dopuścimy. Praw tych jesteśmy gotowi strzec z bronią w ręku. Jedno tylko rozwiązanie sprawy uznamy – powrót Górnego Śląska do Polski”.

mierz Zenkteller. W przeciwieństwie do poprzednich powstań widać było doskonałą organizację i dowodzenie. Niemcy stwierdzili nawet, że III powstanie zorganizowano „ze zbrodniczą genialnością”.

Ciekawe, że Mielżyński próbował wspomóc wraz z ochotnikami już I powstanie, ale kiedy próbował przedostać się na Śląsk z Wielkopolski, powstrzymał go płk Michał Żymierski dowodzący wówczas polskimi oddziałami stacjonującymi „na wszelki wypadek” na granicy. Był to ten sam Żymierski, znany w PRL-u jako marszałek Rola. Nawiasem mówiąc pochodzący z Krakowa, z ul. Kurniki...

### Krakowska odsiecz

W Krakowie na wieść o wybuchu powstania mnożyły się gesty solidarności ze Ślązakami. Organizowano wiece i demonstracje poparcia, zbierano fundusze na rzecz powstańców. Wysyłano całe wagony żywności, bieliznę i ubrania. Na czele akcji stał prezydent miasta Jan Kanty Fedorowicz.

W sumie z Małopolski w maju 1921 roku wyszło około 1200 ochotników, by nieść pomoc walczącym o polskość Śląska. Wielu z nich pełniło ważne role. Szefem sztabu dowództwa był mjr Stanisław Rostworowski, który – już w stopniu generała – zginął w 1944 roku bohaterską śmiercią w okupowanym Krakowie. Wśród sztabowców wyróżnił się kpt. Michał Grażyński, późniejszy wojewoda śląski. Z kolei jedną z grup dywersyjnych dowodził związany z Krakowem pilot, pionier wojskowego lotnictwa i pisarz Janusz Meissner.

Dowództwo WP udzielało powstańcom dyskretniej pomocy. Rezydujący w Krakowie sztab gen. Stanisława Szeptyckiego oddelegował na Śląsk 42 urlopowanych oficerów. Przerzucono tam też 18 armat i ponad 10 tysięcy karabinów. Powszechnie mówiono, że to głównie krakowskie magazyny wojskowe zaopatrywały śląskie oddziały powstańcze w broń i amunicję. Gwoli sprawiedliwości podkreślić należy, że niepodważalne zasługi w pomocy powstańcom miała też Wielkopolska.

Sporo broni – między innymi granatniki, cekaemy i karabiny – wysyłało też Towarzystwo Obrony Zachodnich Kresów Polski, dysponujące własnymi funduszami. Ponieważ prezes Rzymek był duchownym, pełnomocnikiem do spraw powstań został sekretarz generalny TOZKP Henryk Pachosiński.

Powstanie trwało do 5 lipca, choć obie strony wyczerpane krwawymi walkami, już od 7 czerwca toczyły jedynie lokalne potyczki. Walczyło w nim ponad 50 tysięcy bojowców tworzących 16 pułków. Aż 1218 z nich zginęło, a 794 zostało ciężko rannych.

To ich ofiarność uratowała te ziemie dla kraju, kiedy dyplomatyczne zabiegi Polski i popierającej ją Francji nie dały rezultatu. Wysiłek powstania miał decydujący wpływ na decyzję mocarstw o podziale Górnego Śląska, która zapadła 20 października 1921 roku. Polska otrzy-



Dom Śląski (proj. Józef Rybicki) w początkowej fazie budowy, fot. 1933, Muzeum Krakowa

mała 29 proc. obszaru plebiscytowego i zdecydowaną większość okręgu przemysłowego z kopalniami węgla, rud żelaza, cynku i ołowiu.

W czerwcu 1922 roku oddziały polskie pod dowództwem gen. Szeptyckiego wkroczyły w uroczystej oprawie do Katowic. Jednym z adiutantów generała był rtm. Ksawery hr. Puśłowski, jedna bardziej malowniczych postaci Krakowa, właściciel pałacu z imponującą kolekcją dzieł sztuki przy obecnej ul. Westerplatte 10.

### Dom Śląski

W II RP TOZKP prowadziło różnorodne działania na rzecz integracji Śląska z Polską (zakładanie bibliotek na Śląsku, organizowanie wycieczek i kolonii dla Górnoślązaków, angażowanie teatrów objazdowych itp.). Najważniejszym posunięciem był dokonany w 1922 roku zakup (z pomocą rządowej subwencji) pałacyku Pareńskich przy ul. Wielopole 4 z przeznaczeniem na Dom Kresowy.

W 1929 roku właściciel koncernu „IKC” Marian Dąbrowski zgłosił chęć odkupienia pałacyku po znacznie zawyżonej cenie. W ten sposób TOZKP – przekształcone po fuzji z organizacjami z Poznania i Katowic na Związek Obrony Kresów Zachodnich – zdobyło fundusze na swe największe dzieło, budowę Domu Śląskiego. Gmach stanął na darowanej przez miasto działce u zbiegu ulic Pomorskiej i Wybickiego (dziś Królewska). Dąbrowski zgodził się, by do chwili ukończenia budowy – a ta przeciągnęła się do 1936 roku – biura ZOKZ pozostały na Wielopolu.

Związki Krakowa ze Śląskiem nie ustały.



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

# Najsłynniejszy krakowski kalendarz

Tekst: Ewa Danowska

**Kalendarz krakowski Józefa Czecha przez 86 lat nieprzerwanie towarzyszył mieszkańcom miasta, dostarczając wiadomości niezbędnych, pożytecznych i ciekawych. Wydawnictwo to przeżyło swego twórcę – wciąż jest kojarzone z jego nazwiskiem.**

Ojciec krakowskiego księgarza i drukarza Józefa Czecha, imieniem także Józef, był matematykiem, profesorem Szkoły Głównej. Zachęcony wysokimi zarobkami i wieloma udogodnieniami w 1805 roku opuścił wraz z żoną Kraków, udając się do Krzemieńca. Pełnił tam funkcję pierwszego dyrektora Gimnazjum Wołyńskiego. W 1806 roku w Krzemieńcu urodził się Józef, a cztery lata później Tomasz. Dyrektor Czech zmarł w 1810 roku, a wdowa, Apolonia z Mączyńskich wraz z synami powróciła do Krakowa, gdzie miała rodzinę zaliczaną do miejsciego patrycjatu.

Jak to się stało, że jej starszy syn Józef został dziedzicem i właścicielem krakowskiej drukarni wraz z księgarnią? Rok po powrocie do Krakowa Apolonia wyszła za mąż za wdowca Józefa Mateckiego, który po pierwszej żonie Tekli Greblowej – kobiecie rozgarniętej, gospodarnej i posiadającej nieco grosza – odziedziczył największą z krakowskich księgarni i drukarni, z tradycjami sięgającymi 1771 roku, czyli oficynę utworzoną przez Ignacego Grebla. Tekla była synową Ignacego – owdowiawszy, prowadziła firmę z pomocą Jana Maja, a potem Ambrożego Grabowskiego, a mając 38 lat poślubi-



wał na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W firmie praktykował od 1820 roku, zdobywając niezbędne doświadczenie. Gdy skończył 18 lat, zaczął zarządzać przedsiębiorstwem, a po dwóch latach objął je na własność. Od tego czasu wychodzące książki nosiły już adnotację, że pochodzą z drukarni właśnie Józefa Czecha. Młodemu przedsiębiorcy chyba dobrze zaczęło się powodzić, skoro dokupił sąsiednią kamienicę przy ul. Grodzkiej 25.

Szyl z nazwiskiem twórcy oficyny Ignacego Grebla, świadczący o długiej i bogatej tradycji, był w tym przedsiębiorstwie z pietyzmem przechowywany.

Józef Czech zabiegał o unowocześnienie drukarni, sprowadzając z Niemiec jako pierwszy w Krakowie żelazną udoskonaloną prasę drukarską, a z czasem stare czcionki zastąpił zestawem nowych. Zatrudnił kilku wyszkolonych pracowników oraz uczniów, którzy na trwale związali się z firmą. W XIX wieku drukowali tam swoje prace najwybitniejsi krakowscy literaci, między innymi Ambroży Grabowski, Józef Muczkowski, Żegota Pauli i Józef Mączyński.

Firma od roku 1832 wydawała kalendarz, który niepodzielnie związany był z nazwiskiem Józefa Czecha. Najpierw nosił tytuł *Nowy kalendarz krakowski*, a latach 1835–1848 – *Kalendarz Wolnego Miasta Krakowa*. Oprócz zwykłych kalendarzowych informacji zamieszczał wiadomości popularno-historyczne, związane z krakowskimi zabytkami i przeszłością miasta, którego Józef Czech był gorącym miłośnikiem.

Wydawanie kalendarzy miało w Krakowie długą tradycję, kultywowaną również przez oficynę Greblów. Nowy właściciel drukarni nie wahał się jednak rozpocząć nową numerację kalendarza i nadać mu odrębny charakter. Jak sugeruje Karol Estreicher, mogło to się stać pod wpływem patriotyzmu rozbudzonego przez powstanie listopadowe i epokę romantyzmu. Czech postanowił corocznie zamieszczać w kalendarzu biografię wybranej słynnej postaci, poczynając od Tadeusza Kościuszki, a także wiadomości historyczne związane z Krakowem. Starł się nadać wydawnictwu znaczenie popularno-his-

**Kalendarz krakowski oprócz zwykłych kalendarzowych informacji zamieszczał popularno-historyczne wiadomości związane z krakowskimi zabytkami i przeszłością miasta.**

ła młodszego od siebie o sześć lat patrycjusza krakowskiego Józefa Mateckiego. Gdy zmarła, wdowiec – zanim upłynął okres żałoby, poślubił właśnie Apolonię z Mączyńskich Czechową. Firma mieszcząca się przy ul. Grodzkiej 27 wówczas podupadała, bo Matecki nie cieszył się najlepszym zdrowiem i brakowało mu sił do jej prowadzenia. Gdy zmarł, drukarnia i księgarnia przeszła w ręce pasierba – Józefa Czecha, który w Krakowie ukończył szkołę początkową i Liceum św. Anny, następnie studio-

toryczne, co jak się miało okazać – zapewniło jego kalendarzowi powodzenie.

Kilkanaście początkowych tomów cechowało się niewielką objętością – były to zeszyty, które poza właściwym kalendarzem – chrześcijańskim, żydowskim i mahometańskim, z wyszczególnionymi świętami, zawierały wiadomości gospodarskie i przepowiednie pogody, czasem dość fantastyczne. Żartowano z Józefa Czecha, że stosował się w tym do życzeń i potrzeb rodziny, bo gdy córka zapragnęła słonecznej pogody w Zielone Świąta, to zamienił prognozę o deszczu na słońce.

Kalendarz zamieszczał też rozmaite porady gospodarcze, na przykład... jak pobudzić apetyt u wieprza, wytępić krety, jak oduczyć bydło, by się nie bzdło, leczć kaszel u owiec, ratować pokąsanych przez wściekłe zwierzę, wytępić robactwo, zlikwidować nagniotki, ratować zadławionych, podawano też lekarstwo na głuchotę. Wiele rad dotyczyło gospodarstwa domowego: jak zrobić bulion w tabliczkach, węgierską śliwownicę, ser kartoflany, przywrócić świeżość mięsu, zrobić konfitury bez smażenia, nadać połysk włosom z futer czy prac glancowane rękawiczki.

Na końcu danego kalendarza znajdowały się artykuły historyczne. Józef Czech publikował oryginalne teksty polskich autorów czy krakowskie legendy. W latach 30. XIX wieku po periodyku „Pszczółka Krakowska” wydawanym przez Konstantego Majeranowskiego, właśnie kalendarz Czecha był kuźnią krakowskich opowieści o dawnych dziejach i obyczajach.

Z biegiem lat zmieniał się wygląd kalendarza. Początkowo liczył kilkanaście, potem około 30 stron druku, by zwiększyć objętość w niektórych latach aż do ponad trzystu. Z czasem powiększała się też część informacyjna – kalendarz stawał się książką adresową wraz z wykazem istniejących instytucji oraz praktykujących lekarzy, adwokatów czy notariuszy. Odpadły przepowiednie pogody, a pojawiła się kronika wydarzeń w mieście, wiadomości na temat funkcjonowania poczty, kronika żałobna, różnaitości, anegdoty oraz z roku na rok coraz więcej reklam krakowskich przedsiębiorców, kupców, lekarzy czy rzemieślników. Kalendarz, nazywany powszechnie „kalendarzem Czecha”, stanowił niezbędne kompendium wiedzy o Krakowie.

Jeżeli chodzi o księgarnię Józefa Czecha, to oprócz podstawowych, handlowych funkcji, pełniła także rolę salonu literackiego, gdzie popołudniami chętnie gromadzili się przedstawiciele świata naukowego i literackiego. Jej właściciel był towarzyski i gościnnie – gdy ożenił się z Marianną Mączyńską, prowadził również dom otwarty, zwłaszcza gdy dorosły jego córki, słynące w Krakowie z urody. Józef Czech, podobnie jak jego brat Tomasz, uchodzili za mężczyzn nader przystojnych, podkreślający swój urok noszeniem narodowych strojów.

Wielkim nieszczęściem w życiu tego wydawcy i księgarza był wielki pożar Krakowa w lipcu 1850 roku. Prawie doszczętnie spłonęła księgarnia – wyposażenie oraz książki – i nigdy nie wróciła do dawnej świetności. Czech nie załamał się i przystąpił do jej odbudowywania. Natomiast zrujnowana drukarnia nie została już ponownie uruchomiona w tym samym miejscu, ale przeniesiona początkowo na ul. św. Jana, potem na Rynek Główny.

Józef Czech zabiegał o unowocześnienie swojej drukarni, sprowadzając z Niemiec jako pierwszy w Krakowie żelazną udoskonaloną prasę drukarską. Z czasem stare czcionki zastąpił też zestawem nowych. W XIX wieku drukowali tam swoje prace najwybitniejsi krakowscy literaci, między innymi Ambroży Grabowski, Józef Muczkowski, Żegota Pauli i Józef Mączyński.

Kalendarz wychodził nadal. Drukowali w nim artykuły o Krakowie między innymi Ludwik Zarewicz czy Józef Wawel-Louis oraz inni badacze dziejów miasta. W latach 1904–1918 ukazywał się pod redakcją Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, ale nadal nosząc w tytule nazwiska Józefa Czecha, czyli pierwszego wydawcy. Drukowali w nim wówczas Adam Chmiel, Stanisław Tomkowicz, Józef Muczkowski czy Klemens Bąkowski.

W czasie I wojny światowej kalendarz ukazywał się w mniejszych rozmiarach, ale wciąż był chętnie przyjmowany przez krakowian. Niestety, na tomie 86. z 1917 roku kalendarz Czecha zakończył swój żywot, a wskrzesić go już się nie udało.

Józef Czech kierował przedsiębiorstwem osobiście do 1859 roku, kiedy to powierzył zarząd Franciszkowi Mikulskiemu. Nie przeszkodziło to jednak w tym, by w 1863 roku został pociągnięty do odpowiedzialności karnej za publikowanie nielegalnych druków. Nałożono na niego grzywnę, a drukarnię zamknięto.

W 1870 roku poważna choroba na kilka miesięcy przykuła go do łóżka i chociaż wyzdrowiał, to zaczął wycofywać się z aktywnego życia. Zmarł na atak serca 10 lutego 1876 roku w wieku siedemdziesięciu lat. Został pochowany na cmentarzu Rakowickim, a spadkobierczyni – wdowa i córka za bezcen pozbyły się księgarni.

PS Warto wspomnieć o Aleksandrze Czechównie (1839–1923), bratanicy Józefa, jednej z dwóch córek Tomasza, sędziego Trybunału Rzeczypospolitej Krakowskiej. W odróżnieniu od kuzynek przejawiała intelektualne, literackie i muzyczne zamiłowania. Publikowała swoje utwory pod pseudonimem „Zofia spod Karpat”, a rodzina obawiała się, że przyłgnie do niej opinia sawantki, co zdecydowanie mogło przeszkodzić w zamążpójściu. Aleksandra miała poważnych adoratorów, ale pozostała panną. Obdarzona bystrością umysłu, począwszy od 1856 roku pisała pamiętnik pełen ciekawych obyczajowych, codziennych obserwacji otaczającej ją rzeczywistości (przechowywany jest w Archiwum Narodowym w Krakowie).



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!



## Opowieść o aktorze

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: archiwum domowe Zofii Turowskiej

**Łódzka dziennikarka i popularna biografistka Zofia Turowska wydała nowy portret swego autorstwa – tym razem Gustawa Holoubka.**

Pisała od zawsze. I wtedy, gdy było to dziennikarstwo codzienne, i wtedy, gdy tworząc z Markiem Millerem Pracownię Reportażu, w 1980 roku wspólnie wydali tom o Stoczni Gdańskiej (*Kto tu wpuścił dziennikarzy?*). A potem opowieść *Filmówka* i monografię Zespołu Filmowego „Tor”. Ale prawdziwe pisanie zaczęło się w roku 2000, gdy zaczęły powstawać jej niezwykle monografie artystów: dwukrotnie wydała książkę o Osieckiej (w 2000 – *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką* i w 2020 – *Osiecka. Nikomu nie żal pięknych kobiet*), *Fotobiografię Zofii Nasierowskiej*, niezapomnianej fotografki gwiazd filmowych, i portret reżysera Janusza Majewskiego (*Film – kobieta jego życia*).

A teraz ukazał się *Gustaw. Opowieść o Holoubku*. Najbardziej oryginalna z jej książek, nawet w formie, bo owe 400 stron zbudowane zostały na podobieństwo wielkiego scenariusza, rozgrywającego się w 12 scenach. Autorka dla siebie pozostawiła skromnie funkcję „scenarzysty” i „reżysera”. Tak się też podpisała.

Już na początku tekstu trochę prowokacyjnie próbuje opisać bohatera, jak w zgadywance: „Ktoś więcej niż aktor / Postać teatru i świata kultury / Reżyser / Autor niebagatelnych tekstów / Admirator tradycji / Mąż, ojciec, dziadek / Mądry, urokliwy człowiek / Zwyczajnie nadzwyczajny przyjaciel / Nie-

zwyczajny kibic / Kompan do brydża, pokera / Facecjonista / Czarodziej życia / ...”

A potem ten „czarodziej życia” występuje na przygotowanych mu scenach. Każda z nich prezentuje go od różnych stron i różnych jego aktywności. Na sceny rozbita została kariera teatralna (duża scena krakowska!), w osobnej scenie znalazło się zaangażowanie i funkcje polityczne bohatera, a jeszcze w innej scenie dostajemy pasje kibica (głównie Cracovii) albo scenę życia rodzinnego. I jeszcze kilka innych scen, łącznie ze „sceną poza sceną”, czyli głosami kolegów i tak zwanych zwykłych ludzi. Wszystko zwieńczone najbardziej wzruszającą „sceną pożegnania”. O bliskich, którzy byli z nim do końca, o rozmowach, planach... a równocześnie o świadomości odchodzenia. Wszędzie obecność, słowa i czułość Jana Holoubka i Magdaleny Zawadzkiej, ostatniej, długoletniej żony, i jedyne go syna, operatora oraz reżysera filmowego, ale nade wszystko – syna. A jeszcze zdjęcia, fragmenty listów... codzienna obecność i artysty, i nas wokół niego.

Czy to wszystko? Może i nie, ale sceny dają możliwość wyboru. Każdy z nas może dopowiedzieć w tym miejscu własną scenę z Gustawem Holoubkiem w roli głównej.

Zofia Turowska, *Gustaw. Opowieść o Holoubku*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021.



# Czerwiec 1921 roku

Zebrał Krzysztof Jakubowski

„Zjazd organistów, delegatów dekanalnych diecezji krakowskiej odbył się 27 bm. (...) Zjazd polecił tymczasowemu zarządowi, aby w myśl życzeń polskiego Episkopatu, ujednostajnił pracę organizacyjną i oświatowo-społeczną, a tym samym uniezależnił się na terenie małopolskim od obcych wpływów” – odnotował „Głos Narodu”.

*Trudno oprzeć się refleksji, że i w naszych niełatwych czasach przydałaby się organizacja ze szczerym i prostym przesłaniem, jak ów Związek Organistów Diecezji Krakowskiej, zlikwidowany przez władze PRL w 1952 roku. Brak też na rynku dziennika, który podałby do publicznej wiadomości niebanalną relację z dorocznego zjazdu takiej organizacji...*

✂ **1 czerwca.** Komunikat z „Głosu Narodu”: „Towarzystwo Obrony Kresów Zachodnich zawiadamia, że zbiórkę pieniędzy i prowiantów dla ludności górnośląskiej urządza przy pomocy organizacji pań w Krakowie. Hojny dar przesłał powiat nowosądecki, a mianowicie wagon bydła. Kongregacja kupiecka w Krakowie złożyła na Górny Śląsk 100 tys. marek. Ofiarodawcom cześć!”.

✂ **1-3 czerwca.** Dzienniki opisywały tragiczne wydarzenia w Collegium Novum UJ. W związku z planowanym odczytem ks. Kazimierza Lutosławskiego *Młódzież a polityka* w westybulu doszło do wiecu protestacyjnego części studentów, przeciwnych udzieleniu gościny księdzu, który był też posłem klubu narodowców. W ogólnym zamieszaniu zwolennik Lutosławskiego, student prawa Michał Horwarka, postrzelił z rewolweru protestującego absolwenta medycyny ppor. Adama Wohlberga. Jeszcze przed wiecem prorektor ks. Maciej Sieniatycki odwołał wykład.

*Kazimierz Lutosławski (1880-1924) był duchownym sprzyjającym endecji, znanym z szerzenia antysemitkich poglądów. Równocześnie był prekursorem skautingu na ziemiach polskich.*

✂ **6-7 czerwca.** W prasie ukazały się nekrologi Leona Zieleniewskiego (1842-1921), długoletniego współwłaściciela i dyrektora Fabryki Maszyn i Wagonów L. Zieleniewski SA.

✂ **8 czerwca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „W biurze Akcyzy Miejskiej przy ul. Kopernika w Krakowie, dostał wczoraj urzędnik N.N. w trakcie urzędowania ostrego ataku szaułu. Zawezwano Pogotowie Ratunkowe, którego lekarz zarządził założenie kaftana bezpieczeństwa. Po obezwładnieniu odwieziono chorego na oddział VI Szpitala św. Łazarza”.

✂ **8 czerwca.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Wczoraj wielką awanturę wywołał w mieszkaniu Karoliny Tentkowej przy ul. Piekarskiej 14 w Krakowie Wiktor Pustelnik, lat 31. Wpadł on do jej mieszkania z siekierą i grożąc Tentkowej śmiercią, porąbał meble i powybił szyby, wyrządzając znaczną szkodę. Nadto synowi Tentkowej, Jędrzejowi, gdy ten stanął w obronie matki, przegryzł dolną wargę. Awanturniczego Pustelnika aresztowano”.

✂ **9 czerwca.** „Recital poezji futurystycznej w Teatrze im. Słowackiego odbędzie się w sobotę 11 bm., o godz. 11 wieczór. Oprócz futurystów Tytusa Czyżewskiego, Brunona Jasieńskiego i Stanisława Młodożeńca udział zapowiedzieli artyści tej miary co Ire-

na Solska-Grosserowa oraz pp. Janusz Strachocki i Zygmunt Nowakowski” – anonsowała „Nowa Reforma”.

*Irena Solska (1877-1958), wybitna polska artystka, druga żona Ludwika Solskiego, związana już wówczas z Warszawą, występowała akurat gościnnie w Krakowie.*

✂ **9 czerwca.** „Rektor krak. Akademii Sztuk Pięknych, znakomity artysta-malarz, Józef Mehoffer zachorował przed kilkunastu dniami na czerwonkę. Przebieg choroby był ciężki. Jednak po zastrzyknięciu surowicy stan pacjenta polepszył się stanowczo i nie budzi już obecnie obaw” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✂ **9 czerwca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Dar w kwocie 6 tys. marek złożyła młodzież Gimnazjum św. Jacka dla ludności górnośląskiej w biurze Towarzystwa Obrony Zachodnich Kresów Polski”. *Męskie Gimnazjum (po 1932 także liceum) św. Jacka, mieściło się w zabudowaniach dominikanów przy ul. Siennej 11-13. Zostało zlikwidowane w 1950 roku.*

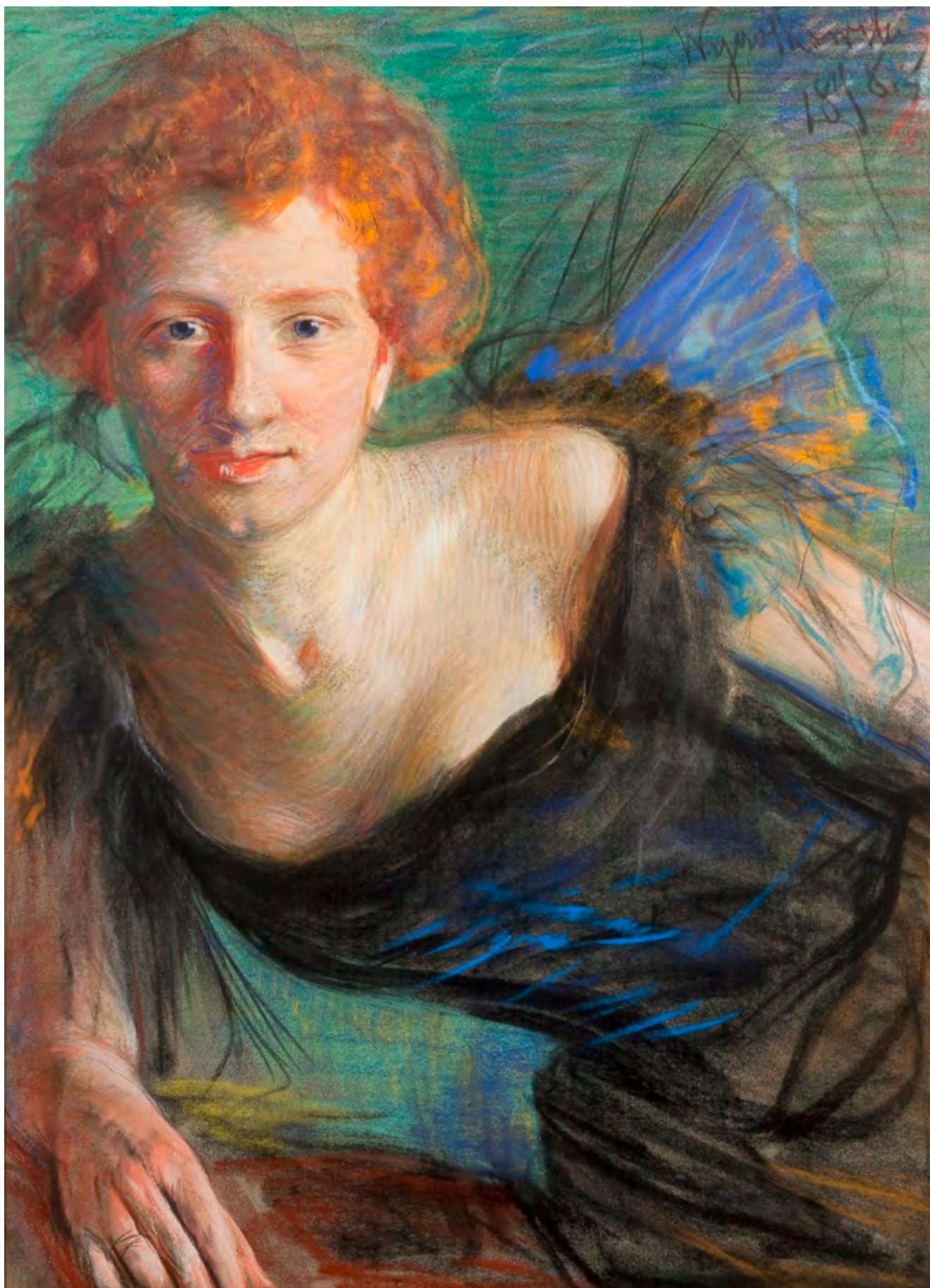
✂ **10 czerwca.** „Wczoraj około godz. 4 po południu, obok starego mostu, rzuciła się do Wisły z brzegu podgórskiego kobieta nieznanego nazwiska z dzieckiem na ręku. Rybakom udało się wyłowić tylko matkę, dziecko natomiast utonęło. Przybyły lekarz Pogotowia po zastosowaniu doraźnej pomocy, zdołał desperatkę przywrócić do życia, poczym odstawił ją do Szpitala św. Łazarza” – relacjonowała „Nowa Reforma”.

✂ **11 czerwca.** Redakcja „IKC” uroczyście poinformowała o zebraniu niemal 1,7 mln marek na pomoc dla Górnego Śląska. Skuteczność dziennika był godna podziwu. Do końca czerwca „IKC” zebrał jeszcze na ten cel ponad 5 mln marek.

✂ **12 czerwca.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Ze względu na rekonstrukcję nawierzchni mostu Dębnickiego zabrania się z dniem 15 czerwca, aż do ukończenia robót jeżdżenia samochodami ciężarowymi po wykonanej obecnie połowie mostu. Ruch automobilowy ciężarowy ma być skierowany na III Most”.

✂ **12-14 czerwca.** Jak podały dzienniki, Rada Miasta podjęła decyzję o likwidacji Teatru Powszechnego przy ul. Rajskiej 12 i utworzeniu w jego budynku sceny operowej i operetkowej.

✂ **16 czerwca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Onegdaj w nocy włamano się do kina Warszawa w Krakowie, gdzie skradziono aparat do wyświetlania wartości 600 tys. marek. Sprawcy zbiegli”.



Irena Solska-Grosserowa (1877–1958), artystka dramatyczna; Leon Wyczółkowski, pastel na kartonie, 1899, Muzeum Narodowe w Krakowie



Kościół św. Agnieszki od strony oficyn domu przy ul. Dietla 36, widokówka, ok. 1924, archiwum autora



Brama wjazdowa na Wawel zwana herbową, zbudowana według projektu A. Szyszko-Bohusza (1921), zastąpiła nieciekawą forteczną bramę z połowy XIX wieku, widokówka, 1924, archiwum autora



Henryk Szarski (1855–1921), dr praw, kupiec, I wiceprezydent Krakowa w latach 1907–1914; Kazimierz Pochwalski, olej na tekturze 1914, Muzeum Krakowa



Brama do koszar przy ul. Wrocławskiej przetrwała, pozbawiona neobarokowych zdobień, widokówka, ok. 1910, archiwum autora

Przypomnijmy, że kino to działało w oficynie domu przy ul. Stradomskiej 15 w latach 1921–2004 (przez pewien czas pod nazwą *Atlantic*). Sprawcami okazali się dwaj młodociani złodzieje i skradziony sprzęt szybko odzyskano.

✂ **17 czerwca.** Jak podała „Nowa Reforma”: „Wczoraj po południu z obozu internowanych w Dąbiu zbiegł Aleksander Pisartyn urodzony w Józefowie w Czechach oraz Wojciech Januszek urodzony w Tillasbergu na Morawach. Obaj podejrzani byli o szpiegostwo na rzecz Czech”.

✂ **17 czerwca.** Komunikat z „Głosu Narodu”: „W sobotę 18 bm. o godz. 6 wieczorem odbędzie się w lokalu przy ul. Potockiego 11 zebranie delegatów katolickich stowarzyszeń i organizacji w sprawie wykupna kościoła św. Agnieszki z rąk żydowskich. Uprasza się wszystkich interesujących się tą sprawą o udział w zebraniu”.

W zrujnowanym kościele mieścił się skład budowlany. Dopiero staraniem zawiązanego wtedy Komitetu udało się w 1926 roku wykupić go z rąk prywatnych. Prace restauracyjne w latach 1932–1936 przywróciły barokowej świątyni dawną świetność.

✂ **19 czerwca.** „IKC” reklamował kuchnię dla ubogiej inteligencji otwartą przy ul. św. Krzyża 7. Prowadzona przez Katolicki Związek Polek kuchnia wydawała posiłki na podstawie legitymacji otrzymywanych w magistracie. Z takiej pomocy korzystało około 500 osób, głównie wdów i emerytów: „Obiady, które kuchnia ta wydaje po 10 marek, składają się z zupy, ryżu, klusek, ziemniaków i kakao. Raz na tydzień jest mięso z konserw. Potrawy są omaszczone i przyrządzone smacznie”.

✂ **19 czerwca.** W związku z przejęciem agend Dyrekcji Policji przez Policję Państwową w dziennikach pojawiła się notatka – zamieszczona zapewne przez DP – *Dlaczego szerzy się w Krakowie bandytyzm*. Za główny powód uznano niedostateczną liczbę policjantów obsługujących rewiry pięciu komisariatów. Według zarządzeń powinno być ich 93, zdarzało się jednak, że służbę na ulicach pełniło niespełna 40–50.

✂ **19 czerwca.** Notatka z „Głosu Narodu”: „Z mieszkania w Balicach będącego własnością księcia Hieronima Radziwiłła, skradziono dwie brosze brylantowe milionowej wartości. Jedna z nich ma kształt gwiazdy, druga ma formę podłużną”.

✂ **22 czerwca.** „Brama wawelska, której przebudowa odbywa się w pełnym tempie, budzi powszechne zainteresowanie. W miejsce dotychczasowej, wybudowanej przez Austriaków, buduje p. Szyszko-Bohusz bramę nową, prawdziwie stylową i pełną charakteru. Po obu stronach wejścia rosną wielkie skrzydła nowej bramy, ozdobione dziewięcioma ogromnymi tarczami kutymi w kamieniu, wyobrażającymi herby województw. Środek bramy ma otrzymać kształt arkady, zamykanej żelazną kratą, dostosowaną do średniowiecznego charakteru całości” – relacjonował „Głos Narodu”.

✂ **23 czerwca.** Prasa pisała z entuzjazmem o poświęceniu przez ks. biskupa Adama Sapiechę Parku Sportowego „Juwenia”, urządzonego w granicach Błoni, obok mostu na Rudawie.

✂ **23–24 czerwca.** Dzienniki przyniosły wiadomość o śmierci dwóch zasłużonych krakowskich kupców

i zarazem radnych miasta, Henryka Szarskiego oraz Józefa Jawornickiego.

✂ **24 czerwca.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Ze względu na niebezpieczeństwo jazdy samochodami i zaprzęgami na wąskiej drodze prowadzącej Lasem Wolskim z Woli Justowskiej do Bielani i do Chełmu na fort Skąta, wydało Dowództwo Okręgu Jeneralnego i Dowództwo Obozu Warownego w Krakowie ogólny zakaz przejazdu na tych drogach. Przejazd dozwolony jest wyjątkowo w niedziele i święta w godzinach popołudniowych tylko w kierunku od Woli Justowskiej do Bielani lub do Olszanicy”.

✂ **26 czerwca.** „Epidemia czerwonki szerzy się w Krakowie w zastraszający sposób. Dotknięte zwłaszcza są zewnętrzne dzielnice, do których epidemia dostała się z pobliskich wsi. Zaraza szerzy się szczególnie w Przegorzałach, Bielaniach, Woli Justowskiej i Pychowicach. Przy tej sposobności zaznaczyć należy, zawsze w sezonie owocowym pamiętał miejski Urząd Zdrowia o wydaniu specjalnych zarządzeń co do sprzedaży i mycia owoców. Tego roku podobne zarządzenia się nie ukazały. Dlaczego?” – alarmował „Głos Narodu”.

✂ **30 czerwca.** Sprostowanie z „Nowego Dziennika”: „Z Dyrekcji Policji krakowskiej otrzymaliśmy wczoraj wiadomość, że p. Ozyaszowi Herbstowi, kupcowi, zakwestionowano sznur pereł, które miały pochodzić z kradzieży. W związku z tym p. Herbst przysłał nam dziś zaświadczenie tejże Dyrekcji Policji, z którego wynika, że perły te są jego legalną i niezaprzeczoną własnością”.

✂ **27–28 czerwca.** Dzienniki opisywały tragiczne wydarzenia w kancelarii koszar 20 pułku piechoty przy ul. Wrocławskiej. Jak ustalono, zasłużony w bojach o Lwów mjr Zdzisław Trześniowski zastrzelił tam dowódcę, ppłka Henryka Madurowicza, a sam popełnił samobójstwo. Tło konfliktu oficerów nie zostało nigdy przekonywająco wyjaśnione.

✂ **30 czerwca.** Jak podała „Nowa Reforma”: „Rada Miejska Poznania uchwaliła 120 tys. marek na fundusz odbudowy zamku na Wawelu”.

✂ **30 czerwca.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Krakowski Urząd Walki z Lichwą skonfiskował firmie spedycyjnej Leinkauf przy ul. św. Gertrudy 4 trzy wagony kalafonii, które firma ta nabyła od pewnego kupca wiedeńskiego w celach spekulacyjnych”.

*Wiadomo, że do dziś kalafonia – produkt z naturalnej żywicy – ma szerokie zastosowanie, jednak trzy jej wagony robią wrażenie...*



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

# Widocznie nie stać nas było na nic innego

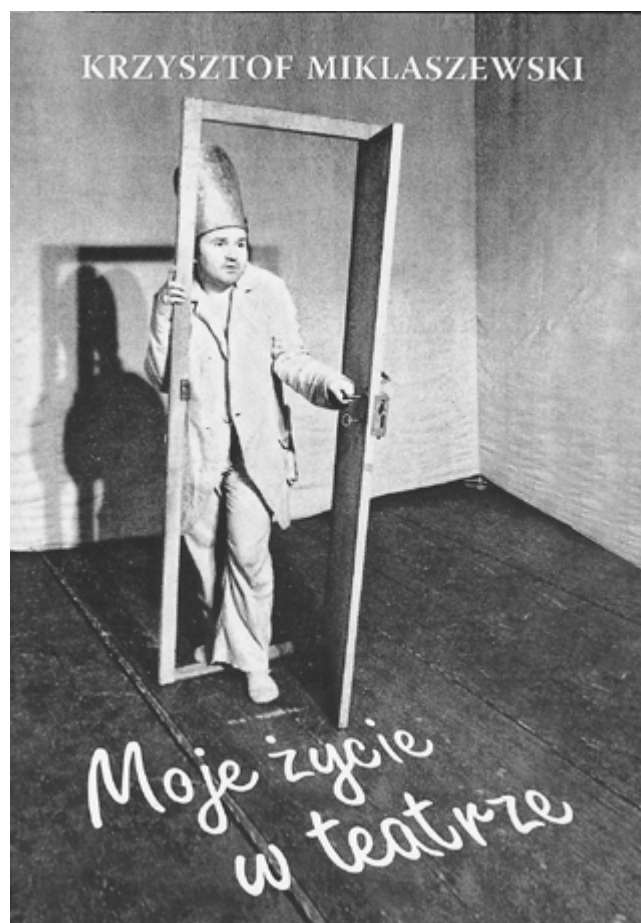
Tekst: Paweł Głowacki

## Poniedziałek

Na tle płacht szarego lnu w teatralnej roli ścian, przebrany za kloszarda w postrzępionym przyodziewku, z dawno temu wycofanymi z Jeziora Łabędziego baletkami na stopach i z udającą kardynalską mitrę rurą z tandetnego pozłotka wciśniętą tuż nad brwi – mężczyzna o księżycowej twarzy i zalęknionych oczach przechodzi przez wstawioną w powietrze dekorację, udatnie małpującą otwarte drzwi, idzie na palcach z pustki grającej jeden pokój do pustki grającej drugi pokój. Migawka fotograficznego aparatu z czarno-białą kliszą unieruchomiła piechura w pół kroku, nad fałszywym progiem, z lewą dłonią zamartłą na fikcyjnej klamce, z prawą bezpowrotnie zaciśniętą na falsyfikacie framugi realnej. Reflektor, niewidoczny na zdjęciu, wiszący gdzieś wysoko nad ostatnim rzędem niewidocznej widowni, rzuca na ścianę z szarego lnu człękoksztalną plamę wewnątrz cieniowego prostokąta. Na zetlałej czerni desek, przed czubem emerytowanej baletki ręcznie kreślony tytuł: *Moje życie w teatrze*, zaś nad górną framugą nieprawdziwych drzwi nazwisko autora: Krzysztof Miklaszewski. I to już wszystko – cała okładka gigantycznego, przez Fundację Urwany Film wydane-go w Krakowie tomu.

To jest właściwy początek sześciuset stronic dużego formatu. Owszem, pierwsze zdanie – pierwsze z 12 ironicznych przykazań dla recenzenta – widnieje na stronie 7. Lecz opowieść Miklaszewskiego naprawdę zaczyna się w zdjęciu na okładce, w portrecie niepewności. Ten piechur... Ile w nim z iluzji, a ile z rzeczywistości? Mocniej jest widmem scenicznym czy sobą z naszej strony rampy? Ktoś obcy odmienił go za pomocą dekoracji i kostiumu ze swojej bajki czy też piechur sam się przeistoczył i wkroczył w baśń, aby pojąć alchemię baśni? I właściwie – skąd, dokąd przechodzi? Z iluzji do iluzji, z iluzji do realności, z realności do iluzji, czy z realności do realności? Mniej więcej trzy czwarte długiego życia strawił wewnątrz zmyśleń bądź naprzeciwko zmyśleń – może więc jest dzisiaj już

tak, że nikt nie zdoła odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Zwłaszcza piechur na zdjęciu. I pozostanie bezradność.



## Czwartek

Niech sobie tak idzie Miklaszewski – on, bo przecież to jego widać na okładce, jego w roli nieznanego w nieznanym spektaklu albo w małej inscenizacji, ulepionej na potrzebę tego jednego zdjęcia. Widać Miklaszewskiego udającego nie-Miklaszewskiego, może więc jednak lepiej zostać przy piechurze, bo jako

figura nieprawdziwa, bardziej plastyczny jest piechur, swobodniej kameleonowaty. I chyba też lepiej, przez gigantyczny tom Miklaszewskiego idąc, właśnie za wędrującym kameleonem iść, bo przecież tom ten jest opasłym zbiorem wcieleń przeróżnego gatunku bądź też jak pełen migotania markownik Rudolfa w ubóstwionej przez Miklaszewskiego prozie Brunona Schulza, albo niczym stopowo rozległy kolaż, pocięty na równe prostokąty zlepione w księgę. Lepiej, celniej, pełniej mówiąc, tom wędrującego kameleona przypomina salę główną Muzeum Czasu w Palermo, na której kolumnach, ścianach i suficie zawieszono materialne ślady wielu przeszłości układają się niczym kropki i kreski tatuży na twarzach Indian – w niepokojąco regularne szyfry.

#### Piątek

Ożywiam sobie zdjęcie. Idzie więc kameleon niespiesznie, noga za nogą, a gdy zdjęcie emerytowane baletki, postrzępione łąchy i założy czarny mundur postnego kroju, smoliste, glansowane buty i czapkę z daszkiem – zasalutuje nie wiadomo komu i czemu, może przeszłości dalekiej i zacnej, może cesarzowi Franciszkowi Józefowi, i zacznie jako Pedel śpiewać hymn monarchii austro-węgierskiej, i tym sposobem znów stanie się postacią *Umarłej klasy* Tadeusza Kantora, aktorem Teatru Cricot 2, z którym objechał świat cały. A kiedy wsunie na przedramiona zarękawki, zastruga ołówki i przy biurku siądzie, pochylając się nad białą kartką – na powrót stanie się pisarzem uwiedzionym przez sztukę teatru, wywiadowcą notującym rozmowy z największymi albo dowcipnisiem portretującym codzienne bezwiedne gagi reżyserów, aktorów, scenografów i reszty tego towarzystwa opętanego dziecinny procederem rzucana za pomocą dłoni i nocnej lampki cienistych zwierzątek na ścianę pokoju o szczelnie zasłoniętych oknach. Jak siądzie na krześle z napisem na oparciu: „Reżyser” – powtórzy stare gesty i krzycząc: „Kamera start!” albo: „Kamera stop!”, przypomni czas kręcenia dokumentów o literaturze, scenie, malarstwie lub kinie, po czym przypomni też popołudnia, gdy sny swoje inscenizował w teatrach raczej nieoficjalnych. Albo tuszem i pudrami nadając japońską skośność swoim oczom – zawiesi na szyi od razu trzy niko-

ny i z japońską namiętnością fotograficzną uwieczni pstryknięciami wszystko, co możliwe. Albo wespnie się na telewizyjne wzgórze, jak wspinał się niegdyś, aby nakręcić rozmowy z gigantami aktorstwa, których dziś już nie ma bądź są jeszcze, lecz już tylko czekając... W jak wiele jeszcze niegdysiejszych wcieleń na powrót wsunie się piechur, idąc ścieżką pięciuset stron swojego kolażowego tomu? I ile jest w nim oraz jakich śladów dawnych wcieleń, tamtych ról, niegdysiejszych gier ze sztuką sceny?

#### Niedziela

Recenzje, oczywiście, recenzje teatralne i nie tylko teatralne. Rozmowy różnej długości. Sążniste, pełne powagi eseje krytyczne i tycie kąśliwe felietony. Publicystyka miesięczników obok planktonu w gazetach codziennych. Portrety teatrów studenckich i oficjalnych, awangardowych i akademickich, świętych – na przykład Karola Wojtyły, albo tych genialnie grzesznych – czyli niepowtarzalnego Jeana Geneta. Zapisy krwawych polemik i uwielbień bezprzykładnych, polityka repertuarowa i strategię dramaturgiczne, analizy i jakby lewą ręką rzucone na kartkę metaforki prędkie, znikliwe, bardzo ładne. Podobizny teatralnych plakatów, afisze w ogromnej liczbie, fotografie odręcznego pisma największych, no i zdjęcia, dziesiątki, setki czarno-białych prostokątów, kadrów filmowych i telewizyjnych, podobizn scen ze spektakli i zwykłych, cywilnych zdarzeń. Konrad Swinarski na spacerze, w gustownej czapce z daszkiem. Jerzy Jarocki ciepło się uśmiecha. Ewa Lassek szalejąca przed kamerą. Sławomir Mrożek z mefistofelicznym zarostem rozmawia w Londynie z siwiuteńkim Leopoldem Kielanowskim. Józef Szajna wspiera brodę na wspartych o blat stołu rękach. Maria Stangret-Kantor, Tadeusz Kantor i Andrzej Wajda plotkują jak gdyby nigdy nic, bo dlaczego nie mieliby plotkować jak gdyby nigdy nic. Bogusław Schaeffer dotyka wskazującymi palcami swych skroni. Jerzy Grotowski jest metafizyczny jak zawsze. Wojciech Pszoniak znów nosi szal kaszmirowy, którego mu wściekle zazdroszą wszystkie kobiety świata. Piotr Skrzynecki znów nie zdjął kapełusza od wczoraj, a jutro zapewne nic się w tej kwestii nie zmieni... Idziemy tak. Znów jest wtedy. Idziemy krok w krok za piechuram,

niespiesznie, przez minione, po śladach, według znaków tamtego czasu. Lata 50... Lata 70... Lata 90... Pierwsze takty XXI stulecia... Z tych epok są w tomie piechura ingrediencje przeróżne. Pamięć jego, jak każda, ma strukturę kolażu. Idziemy. Vladimir Nabokov, wielki znawca życia duchów, w pamiętliwej księdze *Tamte brzegi* błąkając się labiryntami innego czasu minionego nad zupełnie innym kawałkiem Europy, patrzy w oblicza przywoływanym przez siebie zmarłych i wyznaje z zupełnie bezradną ufnością: „Wszystko jest takie, jak być powinno, nic się nigdy nie zmieni, nikt nigdy nie umrze...”. Idziemy.

### Wtorek

Wiele wraca, gdy czyta się tom Miklaszewskiego. Wiele wraca nie tylko do tych, co trochę z opisanego przezeń świata teatru i filmu zdołali zobaczyć na oczy własne, zdołali go dotknąć, powąchać, złowić jego smak. Te powroty są oczywiste. Ale zdarzają się też nieoczywiste. Dziwne, nagłe asocjacje, interferencje, echa. Na przykład – powrót chłodnego księgozbioru utraty. Rzeczony Nabokov, *Encyklopedia umarłych* Kiša, cały Márquez, cały Sebald, jeszcze *Mendel od Książek* Zweiga, jeszcze *Czarne plecy czasu* Mariása, jeszcze *Dom z papieru* Domingueza, jeszcze *Firmin Savage’a*... Starczy. Także Schulz. Którakolwiek z jego narracji. Choćby *Ulica Krokodyli*, opowieść zaczynająca się od mapy ogromnej, starej i pięknej płachty niedokładnie powtarzającej miasto, którego już nie ma. „Był to cały wolumen in folio pergaminowych kart – mruczy miękko Schulz – które, pierwotnie spojone skrawkami płótna, tworzyły ogromną mapę ścienną w kształcie panoramy z ptasiej perspektywy”. Nie ma już miasta, które było, nie ma, gdyż był też czas, więc miasto nie mogło przetrwać. Nie ma go, lecz kiedy przejdzie się wzrokiem przez mapę, co jest niby panoramiczny kolaż znaków z przeszłości – niegdysiejsze miasto zmartwychwstaje na chwilę. W innej książce Miklaszewski mówi o animowanym filmie, co go na kanwie *Ulicy Krokodyli* stworzyli bracia Quay. Teraz wraca tamto arcydzieło. Wraca jego prolog, powtarza się, ale z jedną korektą. U braci Quay postać Strażnika w zapomnianym muzeum teatru grał Feliks Stawiński. Teraz to kameleon, co na zdjęciu otwierającym *Moje życie w teatrze* był skloszardziałym kar-

Wiele wraca, gdy czyta się tom Miklaszewskiego. Wiele wraca nie tylko do tych, co trochę z opisanego przezeń świata teatru i filmu zdołali zobaczyć na oczy własne, zdołali go dotknąć, powąchać, złowić jego smak.

dynałem, a później może wcielił się w Pedla z *Umarłej klasy* – wdziewa uniform muzealnika i idzie przez pustkę.

### Niedziela

Cała reszta filmu jest taka, jak u braci Quay. Kameleon przechodzi obok widowni od lat nietkniętej przez nikogo, wchodzi na scenę, która jest jak jej własne wieko, i nieruchomieje przed starym eksponatem – ciemną skrzynią czasu. Opuszcza głowę i przez okular patrzy na mapę miasta już nieistniejącego. Pozostał mu do zrobienia jeden gest. Obudzić minione. Zbiera na języku ślinę, rozchyła wargi i wpuszcza do skrzyni ciepłą, lepka, miękką kulkę, która przez mgnienie lśni w mroku i uderza w jeden z mrowia elementów żelaznej, zardzewiałej pajęczyny drutów, śrub, przekładni i łożysk. Osobiście dotknąć przeszłość – tyle wystarcza do skromnego pocieszenia. Jęk strupieszających drutów pod naporem kulki ciepła, trzask kółek niebudzonych przez wieki. Wzrok schodzi pod mapę, do wnętrza skrzyni. Żelazna pajęczyna zaczyna pracować – sennie cofa czas...

Tu przerwijmy. W kupie tandety ożywa na dnie skrzyni to, co na mapie jest martwo. Miasto wraca na chwilę. Na pół godziny – tyle trwa film. A gdy powrót dobiega końca, zza wypełniającej ekran mapy dobiegają ostatnie słowa baśni Schulza o powrocie. „Widocznie nie stać nas było na nic innego, jak na papierową imitację, jak na fotomontaż złożony z wycinków zleżałych, zeszlórocznych gazet”.



**Paweł Głowacki** – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

# Pamiętki z powstania śląskiego

Tekst: Artur Pacuła

**Upał zupełnie nie odpuszczał tego lata, ale o tej porze nie było jeszcze tak źle. Igor wstał około ósmej i dokończył przygotowania do wyjazdu do Katowic. Konkretnie do wujka do Katowic. Tak bardzo mu się nie chciało jechać, że miał nadzieję, że zaśpi albo będzie jakaś awaria. Wyjazd do Katowic na resztę wakacji jawił się Igorowi jak najgorszy koszmar.**

Jak możesz mi to robić? – zapytał wczoraj ojca. – „Lato w mieście” mi fundujesz. Nie ma nic gorszego!

Ojciec tylko milczał, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Igora. Szukał w myślach atrakcji Katowic i nic nie przychodziło mu do głowy. Nie znał tego miasta, ale jego wyobrażenie o nim było fatalne.

Kiedy na dworcu Igor znalazł się blisko ojca, pan Dariusz poczuł nagle potrzebę, aby mocno go przytulić.

– Zwariowałaś? – zasyczał chłopak. – Przy ludziach?!

Odsunęli się od siebie, a Igor rozejrzał się po peronie. Bał się, że spotka kogoś znajomego.

\*

Igor wyszedł na ulicę. Nie wiedział, w którą stronę powinien pojechać. Zaczepił przechodzącą mężczyznę.

– Przepaszam, jak mam dojechać na Koszutkę? – Tak nazywała się dzielnica, gdzie mieszkał wujek Michał.

– Tramwej czynoście – zaczął mężczyzna. Mówił ze śląskim akcentem, który Igor znał do tej pory tylko z filmów w telewizji. – Jo ci pokoża.

Zrobił kilka kroków w lewo i wskazał na przystanek nieopodal.

– Wsiondziesz sobie i pojedziesz tam. Jo nie pamientom wiela przestanków. Musisz się paczeć. Ten twój się nazywa Misjonarzy Obłatów.

– Dobrze. – Igor pokiwał głową.

Mężczyzna już chciał odejść, ale zawrócił.

– Już wia... Jak zoboczysz Spodek z prowej, to na następnym wysiodej.

– Dziękuję! – Igor był tak zdziwiony, że dopiero teraz uświadomił sobie, co powinien powiedzieć.

\*

Wujka Michała nie było w domu. Igor postanowił poczekać na pobliskim boisku. Usiadł pod drzewem obok rzuconego plecaka. Podciągnął bojówki na kolanach i przyglądał niesforną czuprynę. Było tam kilku chłopców w różnym wieku. Mieli od dziesięciu do trzy-

nastu lat. Kopali parę piłek między sobą, ale nie toczył się żaden mecz.

– Dobra! – zawołał jeden z grających. – Może coś zagromy?

Pokiwali głowami i zebrali się kupkę, aby podzielić się na drużyny.

– Jednego mamy za mało – zauważył ten chłopak, który zaproponował rozegranie meczu.

– Ale my mamy Kajtka – stwierdził kapitan przeciwnej drużyny. – On jest mniejszy.

– Mniejszy, nie mniejszy, też bydzie groł – odpowiedział chłopak i rozejrzał się dookoła. Zmrużył oczy, bo w cieniu drzewa przy wejściu na boisko dostrzegł Igora.

– Czekejcie. Zaroz wróca.

Ruszył w kierunku samotnego warszawianka na śląskiej ziemi. Igor, kiedy to zobaczył, o mały włos nie zerwał się do ucieczki. To był u niego odruch z własnego podwórka.

– Cześ... – zaczął chłopak, kiedy zbliżył się do cienia. – Zagrosz z nami w gała?

Igor nerwowo zmierzwił swoje płomiennie rude włosy. Wstał i wziął do ręki plecak, jakby chciał odejść, ale odłożył go jednak i poprawił spodnie, podciągając je za pasek.

– Nie wiem – zaczął niepewnie. – Ja właściwie gram w piłkę tylko w szkole. W każdym razie na podwórku niedużo...

Chłopak otworzył szerzej oczy. Odwrócił się do reszty kolegów i krzyknął:

– Gorol!

– Trudno – odpowiedział jeden z młodych piłkarzy. – Wołej go i gromy.

– Staniesz na obronie – chłopak ponownie odwrócił się do Igora. – Krzysiek jestem.

\*

Chłopcy weszli pomiędzy bloki. Na podwórku coś się działo. Toczyła się głośna rozmowa. Jeszcze nie rozumieli jej sensu, ale Krzysiek najwyraźniej się zaniepokoił. Zaczął iść szybciej. Okazało się, że obok starszego pana siedzącego na ławeczce stoi jakiś człowiek i prawie krzyczy. Był to wysoki, patykowaty mężczyzna. Zarówno ręce, jak i nogi miał nieproporcjonalnie długie. Do tego machał rękoma, co sprawiało wrażenie, jakby był lalką podwieszoną na sznureczkach.





Powstańcy śląscy, maj 1921

– Panie Sobotta! Pan wie, jaka jest sytuacja i nic tego nie zmieni. Ten artykuł o panu i pana rodzinie narobił wiele złego. Byłoby lepiej, gdyby pan oddał wszystkie rzeczy, całe pana zbiory i więcej się tymi sprawami nie zajmował.

– Ale dlaczego? – oponował starszy pan. – To wszystko są wierutne bzdury.

– Może pan to udowodnić? – Tamten nie dawał za wygraną.

– Moga! – pewnie odpowiedział atakowany. – Mogę... – potwierdził raz jeszcze, ale już nie tak zdecydowanie.

Krzysiek ruszył biegiem w ich stronę, a Igor zaraz go dogonił.

– Niech pan zostawi dziadka! – krzyknął Krzysiek. Dziadek próbował uspokoić wnuka gestem.

– Młody człowieku, to nie są sprawy, które ciebie dotyczą. – Napastnik spojrzał na niego z góry.

– Dotyczą! – krzyczał wściekły Krzysiek. – Mój pradziadek i dziadek niczego złego nie zrobili. Proszę się odczepić!

\*

Z kłopotu wybawiły go dźwięki z komórki.

– Cześć, Monika! – Dawno tak się nie ucieszył na widok imienia koleżanki na ekranie telefonu. Pokazał gestem, że musi wyjść i zniknął w sypialni.

– Co robisz? – zapytała Monika.

– Jestem już w Katowicach. Wiesz... Tata wysłał mnie do wujka na dwa tygodnie. –

A wy? Zostajecie w Warszawie? Czy może planujecie jakiś wypad?

– Prawdę mówiąc, zaczęłam namawiać ich na wspólny wyjazd i już mi się udało.

– Zaproponuj Jurę i skałki. Blisko. Wspinaczka. Ty już umiesz, a ich nauczysz. No i... z pewnością namówię wujka na wyjazd w ten sam rejon. Moglibyśmy się spotkać.

Monika parsknęła śmiechem.

\*

Lucjan pochylił się nad Igorem.

– Możesz grać?

Chłopak nie był pewny, co odpowiedzieć. Nigdy się nie bił i nigdy nie dostał takiego ciosu w szczękę. Na szczęście nie stracił żadnego zęba. Chyba uderzenie nie było z tych najmocniejszych w arsenale Radka.

– Ja za niego zagram – zabrzmiał głos z boku. – Choć wolę koszykówkę.

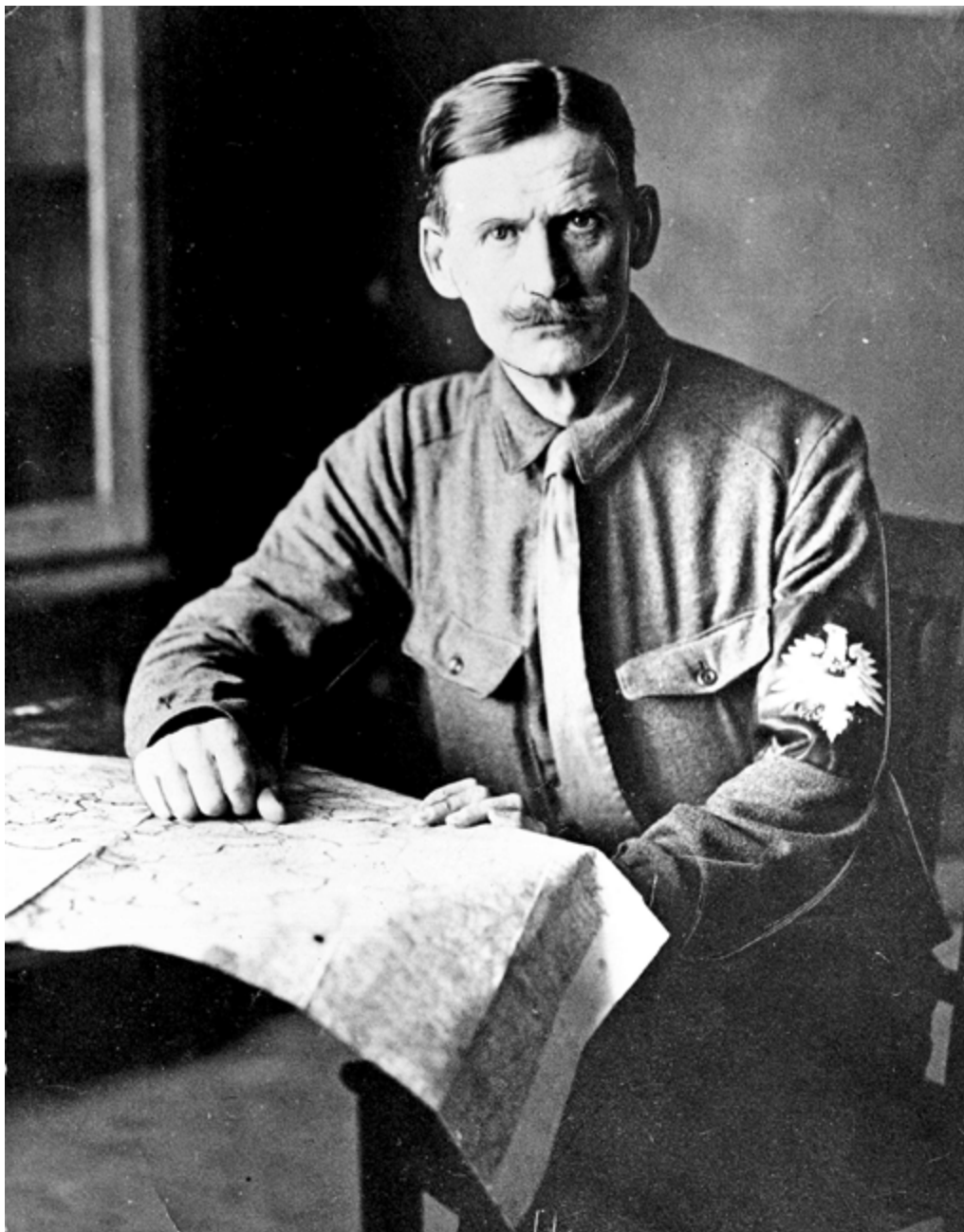
Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Stał tam wysoki, czarnowłosy chłopak z plecakiem na ramieniu. Miał na sobie bojówki i równie czarną jak włosy koszulkę.

– Skąd się tu wzięłeś? – Igor odzyskał siły i wstał.

– Przyjechałem, gdyż nie miałem co robić.

Igor, wciąż oszołomiony, przedstawił reszcie chłopaka.

– Miras. Mój kolega... z Olsztyna. – Z jakiegoś powodu uznał, że ta informacja jest ważna. Miał chyba na celu podkreślenie, że przybyły nie jest kibicem Legii. W oczach Krzyśka pojawił się błysk radości.



Ppłk Maciej hr. Mielżyński, dowódca III powstania śląskiego, fot. 1921, NAC

\*

Krzysiek nie śpieszył się na nocleg do dziadka. Miał przecież niedaleko. Mieszkał ledwie piętro wyżej. Dlatego usiedli we trójkę na podłodze i usiłowali zaplanować następny dzień. Młody Ślązak starał się wykorzystać sytuację i opowiedzieć historię dziadka Rudolfa i karabinów.

– Nie będzie lepszego momentu, bo wreszcie jesteśmy sami – zaczął. – Jest sprawa do wyjaśnienia.

– Właśnie! – przypomniał sobie od razu Igor. – Opowiadaj o tej skrzyni.

– Znowu jakieś skarby?! – ucieszył się jak małe dziecko Miras.

– Daj spokój z tym szukaniem skarbów – obruszył się Igor. – Myślisz, że zawsze chodzi o skarby? Tu chodzi o coś więcej.

– O honor – dokończył Krzysiek.

– Chodzi o skrzynię z karabinami – Igor wszedł w słowo koledze.

– Pomóście mi znaleźć skrzynię z karabinami ukrytą w czasie Powstania przez mojego pradziadka! – wyrzucił z siebie Krzysiek.

– Jakimi karabinami? – zapytał Miras. – Mów!

– To historie tak stare, że nikt ich z rodziny nie pamięta, ale ciągną się, bo są tacy, którzy pamiętają. Dotyczą czasów wojennych, a nawet Powstań.

– Jakich powstań? – zdziwił się Miras. – Było więcej Powstań Warszawskich? Myślałem, że tylko jedno.

– Chodzi o Powstania Śląskie... – Krzysiek jeszcze się nie zirytował, ale był blisko.

– Powstania Śląskie? – chłopak z Olsztyna otworzył szeroko oczy. – Kiedy one się odbyły? Przed czy po Warszawskim?

- Przed... Były trzy. W 1919, 1920 i 1921. To było zaraz po pierwszej wojnie światowej - wyjaśniał Krzysiek.

- No dobra, ale co tymi karabinami? - Igor skierował dyskusję na właściwe tory.

- Kiedy skończyło się Trzecie Powstanie Śląskie, tata mojego dziadka razem ze swoimi braćmi postanowili ukryć broń swojego oddziału powstańczego, bo myśleli, że może jeszcze się do czegoś przyda. Nie ufali nikomu i sądzili, że walka się jeszcze nie skończyła. Było ich trzech i tylko oni wiedzieli, gdzie chowają. Mój pradziadek był najmłodszy z nich.

- No i, no i? - zainteresował się Miras.

- No i... tak dobrze schowali, że nie wiadomo, gdzie to jest. Ukrywali to cały czas między wojnami. Tak mówi się w rodzinie. Potem przyszła wojna i najstarszy brat, Ewald, zginął we wrześniu 1939 roku koło Lublińca. Erwina, średniego, wywieźli do Niemiec, a jak wrócił, to wywieźli go na Syberię. A tata dziadka trafił do Wehrmachtu... I tu jest największy problem.

- Tych karabinów nie odnaleziono? - upewnił się Miras.

- Nie ma ich nigdzie - potwierdził Krzysiek.

- A skąd my mielibyśmy się dowiedzieć, gdzie ich szukać? Czy czasem jednak ich ktoś nie wydobyl? - pytał dalej Miras.

- No właśnie - dołączył Igor. - Jak my mamy je znaleźć, skoro nikt do tej pory ich nie znalazł?

- Dziadek ma mnóstwo dokumentów, książek i listów swojego taty - z pasją zaczął tłumaczyć Krzysiek. - Chciałbym, żeby on wam wszystko opowiedział, pokazał, zaprowadził gdzie trzeba... Nie wiem, czy to się uda, ale powinniśmy spróbować... No przecież jesteście poszukiwaczami skarbów!

\*

Ala zamknęła się w swoim pokoju i była zła na cały świat. Oczywiście uosobieniem całego świata stali się jej rodzice i na nich skupiła się ta fala złości. Po pierwsze, zazdrościła Igorowi i Mirasowi tego, że znowu trafili na przygodę. Igor miał mieć nudne dwa tygodnie pod hasłem „lato w mieście”, a Katowice okazały się wymarzone miejsce. Do tego wszystkiego Mirasowi udało się dołączyć do kolegi, a Monika była w drodze nad jezioro z rodzicami. Tylko ona siedziała sama w domu. Akcja „pożarowa” jedynie podsyciła jej zazdrość. Dostało się rodzicom, a oni zrewanżowali się karnym odcięciem od internetu. Wojna domowa trwała.

Na szczęście pozostał jej telefon, choć bez dostępu do wifi. Nie wytrzymała i wybrała numer Igora. Wiadomość o Mirasie, skrzyni i poszukiwaniach nie dawała jej spokoju. Interesowała się też bardzo wujkiem Michałem. Nawet kolega z obozu - Miras - go poznał. Jej wujka! Do którego ona nie miała dostępu.

- Opowiadaj, co z tymi karabinami. - Ala poderwała się z łóżka.

- Poznaliśmy tu takiego Krzyska, a on ma dziadka. Ten dziadek od... od... od wielu lat szuka skrzyni z karabinami. - Igor nie potrafił umiejscowić w czasie historii opowiadanych przez

pana Rudolfa. - My zaczęliśmy jej szukać razem z nim.

- Cholera! Farciarze!

- Przydałabyś się - szepnął do słuchawki Miras, który zorientował się, że dzwoni Ala.

Ala spojrzała na telefon, bo Igor gwałtownie się rozłączył. Wyrzuciła za okno. Potarła lewe ucho. Robiła tak, kiedy intensywnie myślała. Wygladziła ubranie i poprawiła włosy. Przybrała minę niewiniątka i wyszła z pokoju.

- Mamo, tato...

Rodzice zamarli ze strachu. Nie wiedzieli, co się może wydarzyć.

- Dobra... Pojedźmy gdzieś jutro...

Kamień spadł im z serca.

- ... ale ja wybiorę miejsce.

\*

Marcin Krygier, nauczyciel historii ze szkoły Igora i Moniki, stał u podnóża Kobyłej Skały i dzielił zespoły pomiędzy instruktorów. Krygier odsunął się od skały i patrzył na wszystko z pewnego dystansu. Uwielbiał ten moment w górach, kiedy wszyscy ruszali i zaczynały się właściwe zajęcia. Wiatr delikatnie muskał liście na drzewach i dawał odrobinę chłodu w upalny dzień. Spod skał nie dochodził już rechwach przygotowań, tylko krótkie komendy asekurowających i kibicujących. Najbardziej jednak lubił dźwięk sprzętu. Podzwanianie klamer o zaczepy, szum lin przesuwających się po kamieniach, otwieranie i zamykanie karabińczyków. Po kilku minutach pierwsi obozowicze weszli na szczyt skały i mogli rozkoszować się widokiem na okolice. Im szło naprawdę dobrze.

Tymczasem Monika, Ala, Igor, Miras i Krzysiek zostali sami. Na środku polany przygotowano miejsce, w którym można było odpocząć. Znajdowało się tam kiedyś ognisko, ale widać było, że ktoś je dokładnie posprzątał. Pojawiła się też tabliczka z zakazem palenia ognisk. Niby odległość od drzew była bezpieczna, ale nie na tyle, aby nie istniało żadne ryzyko pożaru. Tym bardziej tego lata, kiedy wszystko było suche jak pieprz. Młodzież zasiadła dookoła dawnego ogniska i zaczęła się rozmowa o poszukiwanych karabinach. Po kilku chwilach dołączył pan Krygier, więc nie stracił niczego z opisywanej historii. Igor opisał całą sytuację najlepiej, jak umiał.

(Fragmenty nowego wydania książki Artura Pacuły *Gdzie jest skrzynia z karabinami?*)

<sup>1</sup> Tramwej czynoście - po śląsku: tramwaj numer trzynaście.

<sup>2</sup> Momy - po śląsku: mamy

# Przygoda z maską

Tekst: Maria Malatyńska

**Strach przed zarazą nakazał nam żyć zdalnie. Na szczęście głód stawy kulturalnej otworzył przed spragnionymi zasoby internetu. Nawet te, którymi wcześniej mało kto się interesował, okazały się warte penetracji.**

Właśnie w sieci znalazłam starą opowieść o tragicznym człowieku w masce, genialnym muzyku, który z racji niebywalej szpetoty musi się kryć przed ludźmi, a chcąc być blisko muzyki, żyje w podziemiach Opery Paryskiej. Jest legendą, ale i wzbudza przerażenie. Znamy? Oczywiście! Wszak to oglądane niegdyś w klubach filmowych, trochę zapomniane amerykańskie arcydzieło kina niemego z 1925 roku, jeden z pierwszych filmowych horrorów, czyli *Upiór w operze* z legendarnym Lonem Chaneyem w roli tytułowej. Ten mistrz mimiki, „człowiek o tysiącu twarzach”, jak nazywano go w historii kina, artysta, który do każdej z wielkich ról sam tworzył charakterystycję, pozostał – także dzięki tej umiejętności – prawdziwie nieśmiertelny. Pewnie dlatego *Upiór*, a wcześniej jego *Quasimodo z Dzwonnika z Notre Dame* i jeszcze inni tragiczni nieszczeni byli nie tylko najdoskonalszą koncepcją plastyczną granych postaci, ale też modelem, z którym trzeba się było liczyć, tworząc bohaterów późniejszych adaptacji. A tych późniejszych wersji było sporo, bo książka Gastona Leroux *Upiór opery*, którą tak pokochał film, przetłumaczona na wiele języków (na polski także), stała się inspiracją nie tylko dla kina, ale i dla musicali. Musiało tak być – wszak z woli pisarza ów dramat miał kontekst muzyczny, nie tylko rozgrywał się w Operze Paryskiej, ale i bohaterką była solistka operowa. Najślynniejszy z tych musicali, *Phantom Maury Yestona* i *Arthura Kopita*, był wystawiany także w Polsce (między innymi w poznańskim Teatrze Muzycznym).

W filmie, który znalazłam, muzyka z ekranu jest ledwie przypadkowym tłem, nie przeszkadza, ale nie niesie dramatyzmu. Inaczej niż w innych niemych filmach. Nato-

miast występuje w nim prawdziwa, oszałamiająca pięknem architektonicznym Opera Paryska. To ona jest wystarczającym znakiem obecności muzyki. Film jest nie tylko niemy, ale też czarno-biały, więc nie widać, że posągi, które do dziś stoją na zewnątrz opery, na kopule, są pozłacane, a i złoty jest napis nad wejściem: „Academie Nationale de Musique”. Nie widać też, że w środku, w tym eklektycznym cacku – jeśli cackiem można nazwać tak olbrzymią budowlę – wszystko również kapie od złota.

Co w takim razie jest w obrazie, jeśli nie ma dźwięku i koloru, a przepych pozostał? Okazuje się, że dzięki pozornemu zubożeniu obrazu na klasycznym ekranie zagrała specjalna atmosfera oczekiwania na dramat, zapowiedź tajemnicy. A więc, niespodziewanie, już na początku wiemy, że coś tajemniczego, a może i tragicznego – musi się stać. Już zewnętrzny kształt budynku opery, taki, jak pojawia się na ekranie, bije blaskiem srebrnego chłodu albo nawet... cmentarnej bieli. Doskonałość i finezja tego kształtu rodzi potrzebę sięgania głębiej: wszak dla akcji horroru ważniejsze jest zaproszenie do wnętrza opery. A tu jest przede wszystkim rozłożystość „planu filmowego”: ogrom hallu, sali teatralnej (na 2200 miejsc), także wielkość sceny, którą będziemy widzieć głównie z wysokości niemalże plafonu, i wreszcie całe, autentyczne podziemie opery i jej zaplecze, ów najważniejszy dla dramatu plan filmowy.

Miejsce akcji nie zostało wybudowane w studio. Jest przeniesione z prawdziwego Paryża. I dlatego intrygujące. Jest wyzwaniem. Bo film był amerykański, reżyser i aktorzy też, a tymczasem znaczący bohater akcji – opera, jest europejska, prawdziwa, owiana własną legendą, więc siłą rzeczy

staje się jedynym, prawdziwym uwiarygodnieniem fantastyki tej „bajki”. Ten jeden dokumentalny, sprawdzalny bohater stwarza dla tej fantazji pozory prawdy. Amerykański reżyser Rupert Julian dbał nie tylko o autentyczność miejsca akcji, ale też o prawdę wewnętrznych wydarzeń. Nawet przedniósł do filmu tragiczny wypadek, który wcześniej zainspirował pisarza, czyli runięcie z sufitu wielkiej widowni ośmiotomowego żyrandola, i to w czasie przedstawienia. To rzeczywiście zdarzyło się w 1896 roku, choć nikt jeszcze wtedy nie mógł przewidzieć, że tak będzie wyglądać mściwa sprawka samego Upiora, wszak książka napisana zostanie dopiero 13 lat później, w 1909 roku. Prawdą była i druga inspiracja pisarza, że autentyczna bryła opery została postawiona na podziemnym jeziorze, dzięki czemu uzasadniony scenograficznie okazał się filmowy obraz, gdy porywający śpiewaczkę zakochany Upiór wiezie ją do swego podziemnego pałacu łodzią.

\*

Dziś ten fantastyczny dramat miłosny o naiwnym Upiorze, zaślepionej miłości i o wybrance, która ze wstrętem odrzuciła jego brzydotę, ma niezachwianą pozycję artystyczną. Wraz z owym realistycznym założeniem scenograficznym jest jednym z archetypów opowieści grozy, więc każda adaptacja jest równie intrygująca i warta obejrzenia.

Ale gdy dziś patrzę na ten horror, to podświadomie odrzucam jego bajkowość. Wydaje mi się mniej ważna. Nawet mogłabym założyć, że to zupełnie inny dramat. O czymś innym. Może nawet niespodziewanie realistyczny, z realizmem psychologicznym w tle? To nie pomyłka, że chce się z tego dramatu wyciągnąć samego Upiora!

Czy to wielki dystans czasowy wobec tamtego filmu stwarza pokusę zupełnie innej interpretacji? A może naiwność tej grozy czy wreszcie nasza pandemiczna sytuacja, która powoduje, że coś innego widzi się w dramacie człowieka schowanego „za maską”? To tragedia kogoś odrzuconego z powodu brzydoty, która stała się piętnem. I ratunek, który ten człowiek znalazł, chowając się za maską. Maską umożliwia na chwilę oddalenie nieszczęścia, pozwala odpocząć przed kolejnym odrzuceniem no-

**Maska jest jednym z najstarszych rekwizytów kulturowych. Każda dziedzina sztuki potrafiła od zawsze pokazać odmienność jej znaczeń.**

siciela brzydoty utożsamionej ze złem (ten znak równości potwierdza Umberto Eco w *Historii brzydoty*). To właśnie wyróżnia tę starą, technicznie niedoskonałą, pierwszą adaptację. W niemal wszystkich późniejszych realizacjach nacisk dramaturgiczny stawiany bywał na miłość, nie na odrazę. Stąd w następnych wersjach Upiór będzie coraz młodszy i coraz przystojniejszy, a zastygająca jego twarz maska będzie coraz mniejsza i bardziej dyskretna, by nie urazić poczucia estetycznego odbiorcy, by nie drażnić odbiorców sugestią moralnej niedogodności, niepotrzebnym strachem... Nic dziwnego, że wybory romansowe będą, wbrew pisarzowi i pierwszej adaptacji, coraz ważniejsze, coraz więcej zajmą miejsca w opowieści, ale przez to opowieść stawać się będzie coraz bardziej banalna.

Tymczasem ta pierwsza adaptacja, choć wszystkie jej elementy są niby takie same jak w powieści i jak w późniejszej tradycji, jest głębsza emocjonalnie i ważniejsza myślowo. Czy to więc rzeczywiście czas pandemiczny tak odbiorcę mógłby uwrzeliwić, że stawiając go na przeciw jednego z pierwszych na świecie filmowych bohaterów w masce, kazałby mu odczuć jakąś wspólnotę „maski”? By zgodził się nawet na to, że maska Upiora stała się w filmowej mitologii przedmiotem o osobnej sile dramatycznej? Bo może trzeba dojrzywać do takiej interpretacji, że maska kryjąca cierpienie i brzydotę, będąca zapowiedzią odrzucenia człowieka, musi mieć w obrazie osobną i bardzo autentyczną wartość? Równie autentyczną jak sama paryska opera? A może nawet ważniejszą, bo wzbogaconą przez różne społeczne i historyczne doświadczenia niemal stu lat, jakie upłynęły od tamtego filmu?

\*

Maska jest jednym z najstarszych rekwizytów kulturowych. Każda dziedzina sztuki potrafiła od zawsze pokazać odmienność jej znaczeń. Począwszy od starożytnego te-

atru, gdzie ujawniała wybraną cechę ludzkiej twarzy, a więc natury człowieka, przez rozmaite maski obrzędowe, które są znakiem uczestnictwa w jakimś rytuale, aż do, także mającą wielką i długą historię, krainy masek ozdobnych, karnawałowych, takich, jak choćby w kulturze weneckiej, gdy sama maska należy do prezentowanego przepychu stroju, a działanie i ukryta za nią tajemnica należy do przyjętego *savoir-vivre*'u fi-

**Twarz – jest prawdą i bezbronnością, zasłona – nie wszystko ujawnia, maska – kłamie. Ale równocześnie maska zjawia się dopiero wtedy, gdy staje przed nami drugi człowiek. W samotności – traci ona sens.**

lozofii ludycznej. Oczywiście jest jeszcze mnóstwo masek kryjących artystów wędrownych, masek jarmarcznych, satyrycznych, kabaretowych itd.

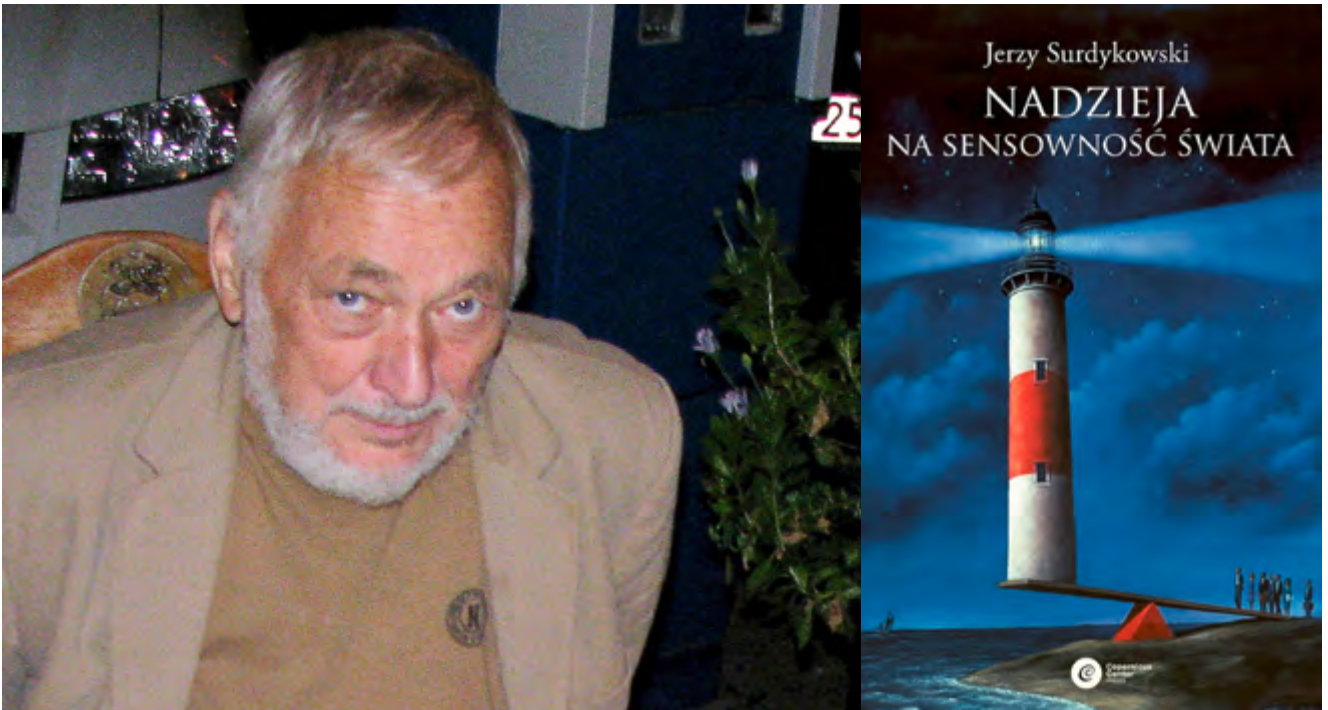
W wypadku *Upiora w operze* chodzi o inne znaczenie tego rekwizytu. Ta maska stała się jedyną koniecznością i jedyną możliwością istnienia Upiora. Miała zastąpić twarz. Zbliżyć wygląd do parametrów konwencjonalnych. Ale równocześnie sama w sobie skrywała tragedię człowieka. Była znakiem jego cierpienia. W tej pierwszej adaptacji filmowej nastąpiło coś, co już nigdy potem, w nowszych adaptacjach się nie darzyło: maska stała się duszą człowieka i racją jego istnienia. Miało to konsekwencje dramaturgiczne: przesunął się punkt dramaturgiczny w stronę cierpienia człowieka w masce. Wszystko inne nie miało znaczenia. To dlatego przestała być ważna ukochana śpiewaczka, jej wstręt wobec szpetoty Upiora, jego naiwna miłość, skuteczna obrona wszystkich przed Upiorem i wreszcie – zniszczenie go. Tylko on jeden, jego maska i jego twarz mają tutaj siłę rażenia. Stają się zasadniczym tematem dramatu. Wcześniej jeśli pojawiali się na ekranie ludzie w maskach (na przykład seria o przygodach Fantomasa – sprytnego przestępcy, który chował się za maską, aby być bezkarny), to należeli oni do kręgu rozrywkowo-kryminalnego. Upiór zaś na-

leży do kręgu tragedii. Może dlatego w tym filmie liczy się tylko twarz i maska, a więc charakterystyka i to, co ją zakrywa. A więc inna interpretacja może jednak być uzasadniona. I może nawet powinno się potencjał tej odmienności dostrzegać w sztuce i mimice aktora Lona Chaneya? Ale chyba samej sztuki gry jest tu mniej. Jest natomiast siła i sztuka charakterystyki, która zawsze należała do warsztatu aktora. Pamiętam, jak ksiądz profesor Tischner w wykładach dla aktorów szkoły teatralnej, wydanych potem jako *Filozofia dramatu*, rozróżniał pojęcia „twarz”, „zasłona”, „maska”, ale traktował maskę jako wyraz kłamstwa. Twarz – jest prawdą i bezbronnością, zasłona – nie wszystko ujawnia, maska – kłamie. Ale równocześnie maska zjawia się dopiero wtedy, gdy staje przed nami drugi człowiek. W samotności – traci ona sens.

Twarz Upiora też jest samą bezbronnością. Maska jest ratunkiem przed czymś strachem, a więc jest „kłamstwem”, ale wobec zewnętrzności. I w bajkach, więc, i w rzeczywistości, i w sztuce, i warsztacie aktorskim – wszystkie takie pojęcia można odnaleźć. Ale może sami jesteśmy teraz w pandemii w takim stanie psychicznym, że wszystko nam się jednoznacznie chce kojarzyć?



**Maria Malatyńska** – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



## Czy wierzysz w siłę wyższą?

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Mariusz Kubik/Wikimedia Commons

**Jerzy Surdykowski stawia pytania, z którymi mało kto dziś się mierzy. Bo zwykle problem sprowadza się do prostej walki z *de facto* niewierzącym klerem albo do religijnej krucjaty w imię Prawicy Pana B. Jednak dla ludzi myślących kwestia obecności Absolutu jest czymś więcej niż deklaracją ideowo-polityczną.**

Istotna jest wszak choćby kwestia sprawczej przyczyny istnienia świata. Tu odpowiedź może dopuszczać istnienie siły wyższej. Bo jak wytłumaczyć, co było przed Wielkim Wybuchem? To klasyczne pytanie – i zadają je od ponad półwiecza już małe dzieci swoim dziadkom. Ale odpowiedź, nawet twierdząca, może być tylko stwierdzeniem istnienia nieznannej siły fizycznej. Że istnieje jakiś proces, którego jeszcze nie rozpoznaliśmy, który zamienił „bum” we wszechświat z ciałami niebieskimi. Czy to możliwe? Tak samo umiemy na to odpowiedzieć, jak na to, co było przed nami i co będzie po nas.

Ale ja, jak i autor, rozumiem pytanie o siłę wyższą również tak: czy istnieje sens życia? Czy jest coś lub ktoś, co nadaje naszemu istnieniu jakiś sens? Że – niby – ta wyższa siła powodując na samym początku owo spięcie i wielki wybuch, po coś to zrobiła? Nie mówiąc o tym, że skrajnie religijna interpretacja mówi, że ta siła wyższa jest w dodatku dobrem i mądrością.

Surdykowski, choć racjonalista, przedstawia wszystkie argumenty i punkty zwrotne tego dyskursu. Od tytułowego pytania o sens świata przez podglądanie mechanizmu wszechrzeczy i opis rozumu spuszczonego z łańcucha aż po deklarację wiary w Moc Nadprzyrodzoną.

Jednak, choć autor zadaje uczciwie wiele pytań, często nie tylko nie daje odpowiedzi (to zrozumia-

łe), ale i w odpowiedziach się gubi. Bo choć jest przeciwko sekciarstwu religijnemu i ateistycznemu, to w gruncie rzeczy idzie w kierunku zaimplementowania współczesnemu człowiekowi nowej religijności. To wywyższenie (nie chcę rzec: apoteoza) istnienia Tajemnicy, przy odrzuceniu zewnętrznych form służących poskramianiu owej tajemnicy (kościół itp.), jest może i atrakcyjne, ale pięknoduchowskie. Ba, dając jako motto słowa żydowskiego teologa i filozofa Abrahama Joshui Heschela („Kryzys religii wynika z braku świadomości pytań ostatecznych i niewierności względem tego, co stanowi jej istotę”), autor staje na gruncie potrzeby wiary, a nawet – chrześcijaństwa. A tu już jego emfaticzne wezwania do Chrystusa są może i piękne, ale egzaltowane i mało spójne z tonem książki racjonalnej. Wszak Tajemnica, nawet największa, nie musi oznaczać od razu przytomności Absolutu.

No tak, ale książka nie przez przypadek jest wydana pod auspicjami Centrum Kopernika utworzonego przez ks. prof. Michała Hellera.

Ja jednak ten tytuł jak najmocniej polecam do przemyślenia.

Jerzy Surdykowski, *Nadzieja na sensowność świata*, Copernicus Press Center, Kraków 2021.

# Prime time

## (reż. Jakub Piątek)

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: za wiedzą i zgodą dystrybutora

**W Bieleni zobaczymy Pacino z *Pieskiego popołudnia* albo innego z filmowych desperatów, którzy namiętnie napadali na banki, na pocztę, na telewizję, ale nie po to, żeby dorobić się fortuny, lecz by rozmienić własną depresję na drobne. Zabić strach, zabić lęk i co tam jeszcze chcecie.**

Powiemy, za dużo nam się przypomina i – no cóż – będziemy mieli rację, ale racja dopisania oryginału do wielu poprzedników jest racją kina gatunkowego, a *Prime Time* jest właśnie kinem gatunkowym. Thrillerem. Czy od horroru oczekujemy wzruszenia? Czy po melodramacie spodziewamy się strachu? Nie bardzo. Po to są gatunki, po to konwencja, żeby z niej czerpać, rozszerzać lub zawęźać strukturę, w zależności od potrzeb. Jakub Piątek w *Prime Time* robi jedno i drugie. Konwencja się przydaje, ustawia historię, daje kręgosłup, ale najciekawsze są zawężenia, czyli to, co jest w tym filmie lokalne, ale zrozumiałe na świecie, o czym najlepiej świadczy przyjęcie filmu na festiwalu w Sundance, co jest naddatkiem Piątka.

Sylwester z 1999 na 2000. Tamten *prime time* był czymś innym niż dzisiejszy. Milenijna pluskwa, sylwester, przełom wieków, Aleksander Kwaśniewski przed dietą (Kwaśniewskiego?), Janusz Józefowicz zachęca do zabawy, a Tomasz Stockinger już właściwie tańczy w boa z piór. Gdzieś pewnie Kozi drak albo Maryla, bo jak bez nich.

A Polak? Polak ogląda telewizję, tym bardziej że przecież idzie fama, iż to będzie ostatni taki balet, że komputery staną i wszystko się skończy. No to może lepiej pożegnać się z tym całym burdelem u siebie, w domu. Piwo, piwko, wódka, czekanie na koniec świata.

Coś niecoś się przypomina. Bo ja też tam wtedy byłem, na jakimś Rynku albo na domówce, a potem czekałem, że świat się skończy, nie bardzo w to wierząc, ale zawsze troszeczkę. I może oglądałem te same programy, może nawet Józefowicz również i mnie zachęcał do biesiady z Ireną Santor. A Stockinger w boa z piór.

W filmie Piątka to jednak tylko *decorum*. Scenografia wydarzenia, które wyświetlone zostaje z perspektywy prywatnej. Z pozycji jednego chłopaka, chłopaka z problemami, który chciałby... No właśnie, nie bardzo wiadomo, czego ten chłopiec chce. Chłopca gra Bartosz Bielenia, król ambiwalencji, jego warunki załatwiają połowę sukcesu, drugą

wypracował samodzielnie. Jest cały ambiwalencją. Sebastian ma pistolet, dostaje się do studia, trwa właśnie sylwestrowy wieczór, akurat jakaś pani wygrywa samochód. Nie wiemy, czy go otrzyma, program się urywa, Bielenia wchodzi z pistoletem, jest szantażystą, szantażuje spikerkę i ochroniarza.

No dobrze, powtórzę raz jeszcze, już po raz ostatni. To już było. Mieliśmy takich szantażystów i takie filmowe sytuacje. Ale nie mieliśmy Bieleni, Kłaka i Popławskiej, i nie było tego, co w tym filmie najważniejsze, co może się podobać. *Prime Time* jest naszą udręczoną mitomanią. To są wszelkie mrzonki, których nie jesteśmy w stanie się wyprzeć ani ich minimalizować.

Chłopiec ma przeczytać ważny manifest, ale drżą mu ręce. Spikerka jest przerażona, ale chyba najsilniejsza ze wszystkich. Ochroniarz – fenomenalny wręcz Andrzej Kłak – czuje, i my też to czujemy, że to najważniejszy wieczór jego marnego życia, że nic więcej się nie wydarzy, i że zawsze będzie ten wieczór wspominał, dlatego nie odpuszcza, chce tam zostać. Chce się zastać. I takie właśnie pozycjonowanie charakterów to już nie jest konwencja, to nie jest gatunek, tylko autorskie kino Jakuba Piątka, który diagnozuje rzeczywistość w szerszej perspektywie.

Pluskwa milenijna. Miała wyskoczyć, nie wyskoczyła. Sebastian miał powiedzieć coś ważnego, ale czy czyjekolwiek słowa mają jakąkolwiek wagę? I wtedy, i dzisiaj. Piątek pokazuje degrengoladę systemu – nie zaczęła się ani wczoraj, ani przedwczoraj. Erozja trwa, chyba od zawsze. W tym aspekcie ważne są figury policjantów, negocjatora i dowódcy, granych przez Monikę Frajczyk, Cezarego Kosińskiego i Dobromira Dymckiego. Są zaangażowani, ale nieporadni, bardzo chcą pomóc, ale raczej przeszkadzają. Jak mogliby naprawić świat, naprawić sytuację, skoro nie potrafią dogadać się nawet ze sobą?

Scenariusz Piątka i Łukasza Czapskiego (zapamiętajmy koniecznie to nazwisko) efektownie sytuuje bohatera na tle samej historii, ale i wobec pozostałych bohaterów. W tej





układance nie ma postaci z tła, każde niemal wejście, każdy dialog ma znaczenie. Pojawiają się i znikają, ale zostają zapamiętani. Jak Juliusz Chrzastowski grający ojca Sebastiana. W tej figurze – tym groźniejszej, że w sumie pociesznej, kumulują się wszystkie dysfunkcje i patologie wzorcowej polskiej rodziny. Przemoc przez szyderstwo, nękanie, poniżanie. Tak rosną kolejni ojcowie, tyrani z małej litery, usprawiedliwiający się przez całe życie, że przecież to tamci, nie oni, oni byli dobrzy, bogobojni, płacili za lekcje angielskiego i przymykali oko na mniejsze zło, bo podobało się im większe. Rozmowa Sebastiana z ojcem to dla mnie kulminacja *Prime Time*. Nieutulony żal i groza tego nieutulenia. I krzyk nie-dokochania, krzyk nieakceptowanego dziecka. Jąkały, dziwaka, głupka. Specjalista może odczytać zaburzeń mowy, ale kiedy przychodzi tato, kiedy znowu „to” mówi, jękanie wraca. Dziecko wraca w mężczyźnię. I to dziecko, ten mężczyzna, chce nam coś powiedzieć coś ważnego. Jąka się. Nie zrozumiemy.

*Prime Time*, reż. Jakub Piątek, scenariusz: Jakub Piątek i Łukasz Czapski, zdjęcia: Michał Łuka, muzyka: Teoniki Rożynek, montaż: Jarosław Kamiński i Urszula Klimek-Piątek, scenografia: Katarzyna Jędrzejczyk (deko-

rator wnętrz) i Karina Sygowska, kostiumy: Hanna Podraza, dźwięk: Bartłomiej Bogacki i Michał Fojcik, produkcja: Jakub Razowski i Anna Waśniewska-Gill (koproducent).

Obsada: Bartosz Bielenia (Sebastian), Magdalena Popławska (Prezenterka Mira Kryle), Andrzej Kłak (Ochroniarz Grzegorz), Małgorzata Hajewska-Krzysztofik (wydawca Laura Kołodziej), Cezary Kosiński (Negocjator Piotr), Dobromir Dymecki (dowódca Krzysztof Jedynak) i inni.



**Łukasz Maciejewski** - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Noc Muzeów, czyli zbroja kąpielowa Zygmunta Augusta, rys. Andrzej Zaręba

# Prawdziwie rzymski jubileusz

Tekst: Mieczysław Czuma

**Najbardziej krakowski z krakusów, pierwszy Rzymianin Rzeczypospolitej – profesor Aleksander Krawczuk 7 czerwca 2021 rozpoczyna magiczną setkę swoich pracowitych lat.**

Urodził się przy samym Rynku Głównym, pod numerem 15, tam gdzie teraz jest Wierzynek. Z okien mieszkania spoglądał jeszcze na Rynek, gdzie zajeżdżały pełne towarów chłopskie furmanki. Pamięta podążający w stronę Wawelu korowód z prochami Juliusza Słowackiego. Hejnał, to jasne, dobiegał go co godzinę.

Większą część z setki swoich lat spędził w Podgórzu. Przekonywająco uzasadniał słuszność takiego wyboru. To na prawym brzegu Wisły są nasze kultowe relikwie, tu jest mogiła Kraka, pierwsze z naszych. Sama natura kazała rzece oddzielić te miejsca od mrocznej jaskini nienazartego smoka. Lewobrzeżnych mieszkańców Krakowa powinno to przyprawiać o kompleksy.

Przez długi czas luksusowym towarem „Przekroju” był hitowy serial *Poczet cesarzy rzymskich*, wyczekiwany i zaczytywany przewodnik po najświetniejszym ze starożytnych imperiów. Przypominał o naszym kulturowym rodowodzie, o śródziemnomorskich korzeniach. Krawczuk sprawił, że Polacy pokochali starożytność. Rozmiłowany w antyku autor wierny był wskazaniom Dantego, że od rodzinnego domu oddalać się można tylko na taką odległość, aby dało się jeszcze usłyszeć dźwięk dzwonu ze swojej parafii. Musiał odstąpić od tej zasady, kiedy przyszedł mu zostać ministrem kultury i sztuki.

Przyszedł wtedy do redakcji i pytał o radę. Tłumaczyłem: – Jest pan profesorem, wykładowcą, pisze pan książki, wszyscy pana czytają, poważają, kochają. No i jest pan w Krakowie absolutnym królem sklepowych kolejek, zawsze pan się chwali, że wszystko ma, i herbatę, i kawę, i papier toaletowy. Wszystko to pan zniszczy. Ale najgorsze jest to, że nie ukończy pan rozpoczętego właśnie *Pocztu cesarzy bizantyjskich*. Ale propozycję bezwzględnie przyjąć trzeba.

Ze swoją galicyjską rozwagą, krakowskim darem umiejętności budowania kompromisów pasował na ministra trudnych lat poszukiwania narodowego porozumienia. A później, kiedy już czasy się zmieniły, mawiał, że dzięki Unii Europejskiej wracamy do ideałów starożytności, do społeczeństwa wielokulturowego i wieloetnicznego. To jakby na naszych oczach odżywało Imperium Romanum.

Nie opuścił ani jednego spotkania przy profesorskim stoliku w Grand Hotelu, gdzie każdego dnia, zawsze o tej samej porze, schodziło się szacowne grono namiętnych i wyrafinowanych interlokutorów. W tym miejscu, w XVI stuleciu, miał swoją oficynę wydawniczą Maciej Wierzbęta, musiał więc bywać w tych murach i Mikołaj Rej. Kraków jest jak Rzym, i tam, i tu przeszłość jest zawsze blisko.

Kiedy profesor był jeszcze w dobrej formie, spotykaliśmy się w niegdysiejszej księgarni Matras, w kamienicy Kremerowskiej przy Rynku 23, gdzie książki sprzedawane były od roku 1610. Miał

**W starożytnym Rzymie jubileusze obchodzono co równe 100 lat. Taki właśnie prawdziwie rzymski jubileusz obchodzi profesor Aleksander Krawczuk, historyk, pisarz, badacz, dzięki któremu Polacy pokochali starożytność.**

tam swój stały kącik i schowek na buteleczkę. Przy kieliszku często padało pytanie: czy Polak mądry po szkodzie? Odpowiedzi nie były budujące. No bo nie jest rozsądny naród, który do powstań wyrzyna się w listopadzie czy styczniu. Łatwo wtedy o katar i przemoczone buty.

Profesorowi chwała jeszcze i za to, że stał się obrońcą dobrego imienia całego małopolskiego stada. Jakiś nieprzychylny nam dziejopis przyprawił był kiedyś księciu Bolesławowi, twórcy naszego miejskiego oblicza, niezbyt stosowną, zawstydzającą gębę: Wstydlivy. Niby dlaczego taki? Postawił na samorządność, zapoczątkował działalność cechów. Więcej, wytyczył kształty idealnego średnio-wiecznego miasta i to takiego, które po stuleciach dalej pełni funkcję centrum prawie milionowej metropolii. A jego żona, Kinga, to córka węgierskiego króla Beli IV i Marii, cesarzówny bizantyjskiej. Czego więc miał się wstydzić? Krawczuk dowiódł, że łaciński przydomek naszego księcia został źle przetłumaczony. Bo *pudicus* nie znaczy wstydlivy, ale skromny, obyczajny, wstrzemięźliwy. Tacy właśnie jesteśmy i nie zmienią tego żadne pomówienia.



**Mieczysław Czuma** – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

## Nowości Wielkiej Litery



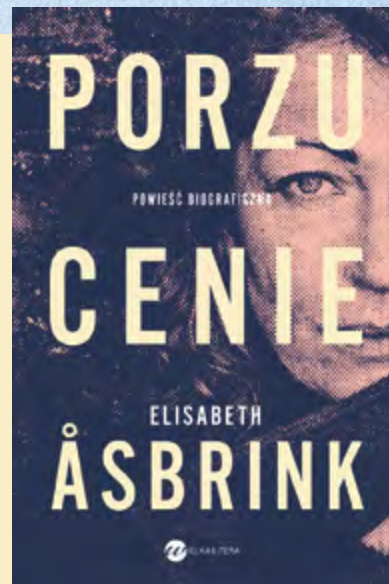
Oparta na faktach dramatyczna historia o walce, ocaleniu i zemście.



Opowieść o byciu odmieńcem, w chwilach, kiedy życie i historia nie dają innego wyboru.



Barwna opowieść o Warszawie lat 60. w nieco alternatywnej rzeczywistości.



Potężna, głęboka powieść o miłości i nienawiści, dumie i upokorzeniu oraz potrzebie ciągłej podróży.

# Dziennik pandemiczny: drugie wcielenie Violetty Villas

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Była godzina pierwsza w nocy i środek tygodnia, gdy Nina wysiadła z Ubera pod czynną całą dobę kliniką weterynaryjną. W poczekalni siedziała już cała grupa wielbicieli zwierząt wraz z pupilami wepchniętymi w transportery. To był dla Niny zupełnie nowy, nieznany świat. Przycupnęła na jedynym wolnym krześle w rogu pomieszczenia i dopiero teraz mogła się rozejrzeć. Po prawej, tuż pod wielką reklamą kocięj karmy, siedziała starsza pani z plecioną bordową torbą. Z torby wystawał łeb jamnika. Pies nie wyglądał na chorego, a właścicielka, choć jamnik uparcie milczał, nieustająco go strofowała.

Przez ciebie to ja kiedyś nogi wyciągnę... I co? Teraz już dobrze się czujesz, co? Nagle ozdrowiał, jak lekarza zobaczył! Co ja z tobą mam... Goloneczki nie, kurczaczka gotowanego nie, na spacerze fochy. A teraz udajesz, że nic ci nie dolega!

Naprzeciwko Niny ze wzrokiem wbitym w podłogę siedziała długowłosa nastolatka, obok stała jej matka. Nastolatka miała czarny kaval pod okiem, ciężkie buty i miętoszyła rękaw bluzy. Nina zdziwiła się, że subkultura gotycka wciąż istnieje i zastanawiała się, czy młoda właśnie nie zasztyletowała jakiegoś kotka. Ale chyba nie, dziewczyna była mocno zapłakana i od czasu do czasu zerkała w stronę drzwi, za którymi słychać było stłumione piski.

Nina zajrzała do swojego transportera, z którego wystawał pyszczek szarego kotka. Znali się dopiero dwa dni, a Nina już zdążyła pożałować, że uległa fanaberiom syna i kupiła, tak – kupiła kota za gruby hajs. Krótkowłosego kot brytyjski w ciągu kilkunastu godzin zdążył zarzygać i zasikać wszystkie pokoje, aż ostatecznie całkowicie się zatkał, jeśli można to tak nazwać. Wzdęty brzuszek przypominał pękaty wazon. Nina klęła pod nosem, w przeciwieństwie do zatroskanych min osób zgromadzonych w poczekalni było widać, że jest naprawdę wściekła.

– Jaki śliczny! – wykrzyknęła pani, która pojawiła się znikąd i dopadła do transportera Niny.

– Chyba drogi? Ja wolę dachowce. Tyle kotów ze schroniska czeka na kochającego właściciela, mnie to się serce kraje. No, ale takiej porzuconej bity to nikt nie chce, bo źle wychodzi na zdjęciu na Instagramie...

Nina wzięła głęboki oddech. Naprawdę ktoś rozpoczyna tę dyskusję o pierwszej w nocy?

– Etap dachowców mam już za sobą. Teraz liczy się dla mnie rodowód – powiedziała

Nina, przypominając sobie, jak dawno temu z narzeczonym przygarnęli dwa koty. Po rozstaniu koty oczywiście zostały z nim, a Nina nie wносиła w związku z tą decyzją żadnych uwag. A nawet jej ulżyło. Było to oczywiście potraktowane jako dodatkowy materiał dowodowy na jej bezduszość.

– Mój Frycek to kot ze schroniska, ale co kto lubi...

Nina miała już naprawdę dosyć.

– Chyba szybciej adoptowałabym dziecko niż kota. Dwa tygodnie temu byłam w schronisku. Właścicielka patrzyła mi głęboko w oczy, chyba sprawdzała, czy nie jestem pijana. Potem przyjechała do mnie na wizytę przedadopcyjną i zaglądała w każdy kąt. Pytała, gdzie i ile pracuję. Co zrobię, jeśli kot poważnie zachoruje. Czym będę karmił kota. Czy kupię mu drapak. Czy jestem przywiązana do swoich mebli i obicia foteli. Że opieka to nie tylko miska. Rozmawiała ze mną jak z psychopatką, która tuż po wejściu do domu zmieli kota na pasztet, a z sierści uszyje poduszkę.

– Proszę pani, kupowanie zwierząt to wstyd. Zabrakło pani cierpliwości. Nie lepiej było te pieniądze wpłacić na schronisko? Tyle zwierząt potrzebuje domu.

Nina westchnęła i spojrzała na drzwi od gabinetu. Skąd biorą się tacy ludzie?

Nagle właścicielka jamnika wstała i wypaliła, jakby czytała Ninie w myślach:

– Znalazła się Violetta Villas!



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki Bartoszewski. Droga.



Anna Nasiłowska sprowadza nas do Hadesu, choć może raczej jak Dante opisuje Piekło. Piekło współczesne, dziejące się tu i teraz. W żadnych zaświatach. Piekło, które sami sobie zgotowaliśmy. Życie w sztucznych światłach, a raczej w sztucznych światach. Podziemne metro jest takim odrębnym światem, rozgałęzionym molochem wsysającym wszystko, co nie przystaje do stereotypu molocha. Nie tylko metro, ale każda komunikacja miejska jest molochem, światem sztucznym. Życie w takich sztucznych światach i światłach toczy się też w galeriach handlowych, gdzie istnieje tylko handel wymienny, wszystko tam jest towarem, także my. Nasiłowska usiłuje wyłuskać siebie z zapętających ją sztucznych światów, ale to sieć, z której nie da się nikomu wydostać, za bardzo uzależniliśmy się od nich, za bardzo one uzależniły nas od siebie, omotały. Nikt się nie wyplące. Słowa przestały mieć wartość. Posługujemy się dziwnymi równoważnikami. Żyjemy na skróty, mówimy na skróty, piszemy na skróty. Esemesowe życie. Wirtualne, choć toczące się pozornie realnie. O ile realnością można nazwać życie w metrze, w tramwaju, w galerii. One też są w olbrzymim stopniu wirtualne, sami stajemy się nieprawdziwi i wirtualni. Prawdziwa za to jest pandemia, która zbliża się ku nam, niespodziewających się aż takiego zagrożenia. To poezja, która uwiera, boli, ostrzega.

Elżbieta Wojnarowska

Anna Nasiłowska, *Sztuczne światła*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021.

„Teksty o Zagładzie dzieli się zwykle na pisane przez świadków i te, których autorami są ofiary. W przypadku literatury polskiej podział taki okazuje się tym ważniejszy, że wybór perspektywy pokrywa się często z wyborem polskiej lub żydowskiej tożsamości, a ten z kolei wikła opowiadającego w szereg ukrytych napięć, nacisków bądź zobowiązań, z którymi opowiadający musi się liczyć. (...) Narracja przeznaczona dla polskiej publiczności będzie z reguły unikać pewnych kwestii i tematów, respektować społeczne tabu, inaczej rozkładać akcenty. Problem tkwi w regułach mówienia – a także przemilczania – narzucanych w Polsce przez dominującą większość”.

Tak, w Polsce trudno swobodnie mówić o Zagładzie, choć wszystko, czego dowiedzieliśmy się przez ostatnie dwadzieścia lat, zmusza do pytań o rolę Polaków w eksterminacji. Autor wydobywa niepisane, krajowe reguły opowiadania o Holocauście, pokazuje, czego dotyczą i jak się je egzekwuje. Co myślą o nich ci, którzy je widzą, i jak radzą sobie z nimi ci, którzy chcieliby je obejść. Co udaje się powiedzieć pod presją. W książce można przeczytać o autorach znanych – Miłosz, Broniewski, Różewicz – ale i takich, których dopiero odkrywamy. Historie ich zmagania z tematem mogą stać się dla nas impulsem do refleksji i zmiany.

To jedyna droga dla Polaków, aby nareszcie zadawać sobie trudne pytania i jeszcze trudniejsze odpowiedzi znajdować. (wb)

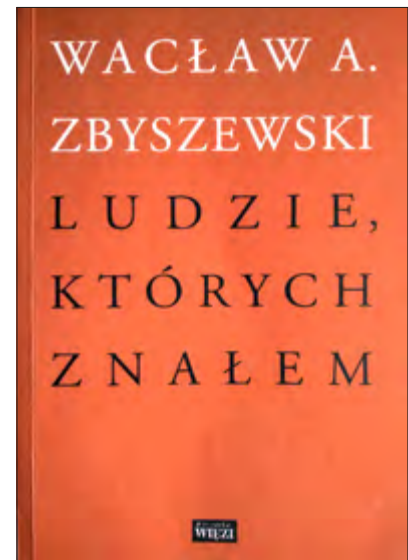
Tomasz Żukowski, *Pod presją. Co mówią ci, którym odbieramy głos*, Wielka Litera, Warszawa 2021.

Okazuje się, że Gustaw Herling-Grudziński, uznany przecież zwłaszcza jako pisarz, miał zaskakująco duży wpływ także na czysto polityczną linię najważniejszego pisma rodzimej emigracji, czyli paryskiej „Kultury”. Jerzy Giedroyc konsultował z nim zarówno kluczowe, jak i drobne teksty, mające znaleźć się na łamach. Więcej, zlecał mu pisanie artykułów odredakcyjnych bądź sugerował polityczne wątki warte podjęcia w słynnym *Dzienniku pisanym nocą*. W końcu to polityka też stała się przyczyną zerwania trwającej ponad pół wieku – od II wojny przez PRL aż po wolną Polskę – współpracy, a i wieloletniej przyjaźni obu Panów.

Obfita ich korespondencja pokazuje style politycznego myślenia, którym hołdowali, pojmowanie roli publicystyki (ale również literatury), a wreszcie powrót do Polski. Zadziwiające – i godne podziwu – jest, że można było przez tyle lat i to z niezmiennym zaangażowaniem próbować różnymi, często zaskakującymi sposobami wpływać na sytuację w kraju. Listy są w efekcie pasjonującą opowieścią o kulisach najnowszej historii – i to nie tylko w rodzimym, ale i światowym wymiarze.

A znaczącym smaczkiem są wątki świadczące o... pomyłkach i nietrafionych prognozach autorów – zarówno odnośnie do przebiegu wypadków, jak ludzkich zachowań. Do tego dochodzą szczerze diagnozy charakterów, a że listy pochodzą z czasów niedawnych, więc oceniane są również osoby nadal czynne publicznie... kb

Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Giedroyc, *Korespondencja, vol. 3. 1976-1996*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.



7 maja 1977 roku w bramie kamienicy przy ul. Szewskiej 7 w Krakowie przechodnie znajdują zwłoki studenta filologii polskiej UJ Stanisława Pyjasa. Jest związany z KOR-owską opozycją, pojawia się więc podejrzenie, że mógł zostać zabity przez milicję PRL. Przyjaciele Pyjasa wzywają do bojkotu Juwenaliów i organizują uliczny marsz żałobny. Zawijają też Studencki Komitet Solidarności, która stanie się najaktywniejszą grupką opozycyjną w mieście.

Do dziś nie udało się ustalić z absolutną pewnością okoliczności tej śmierci. Nie pomogły kolejne śledztwa w wolnej Polsce. Hipotez przez lata namnożyło się wiele – od mordu SB (z premedytacją bądź przypadkowego) przez prywatną awanturę po wypadek po pijanemu. W każdym razie wedle obecnego stanu wiedzy biegłych śmierć nastąpiła wskutek „upadku ze schodów”. „Ale niezależnie od tego, jak postrzega się jej przyczynę, znacząco wpłynęła ona na historyczny oraz polityczny bieg wydarzeń” – pisze w przenikliwym esej o głównych postaciach i dramatach związanych ze „sprawą Pyjasa” Anna Maria Potocka. Rekonstruuje mechanizm powstawania wokół tej tragedii mitu i jego wpływu na młodych ludzi, którzy odważyli się w efekcie przeciwstawić systemowi.

Pyjasa wspominają też przyjaciele i znajomi – między innymi Bogusław Sonik, Adam Szostkiewicz, Róża Thun, ojciec Jan Maria Kłoczowski OP. Jest również wypowiedź Lesława Małaszki – który już wtedy był wplątany we współpracę z SB. II

*Wokół sprawy Pyjasa*, red. Maria Anna Potocka, Wydawnictwo Bunkier, Kraków 2021.

Jakub Michalczenia wali prosto w oczy. Realizmem prawie surrealistycznym. Albo naturalistycznym nadrealizmem, który trafia rykoszetem w tych, co liczyli na coś przy okazji transformacji ustrojowej w miasteczku Korsze, gdzieś na północy Polski. Transformacja się odbyła, zniszczenie się dokonało. I co? Właśnie nic. Bo teraz jest NIC. Bo jednak przedtem jakieś coś było, co można było ukraść, zniszczyć, roztrwonić. A teraz nie ma i tego. Jest ogłupiająca pustka nie wiadomo czego. W której żyją ludzie, i aż dziwi, że żyją w tej oswojonej biedzie, karykaturze życia. Gdzie jedyne, co jest, to życiowy śmietnik, a wszelkie bardziej urojone niż faktyczne działania prowadzą donikąd. Są zabijaniem czasu, którego akurat jest tu nie tylko pod dostatkiem, ale jest go za dużo i nie wiadomo, co z nim począć. Nędza egzystencjalna w spotworniałym czasie – moralna, finansowa i każda inna. Beznamiętne scenki rodzajowe Michalczeni budzą grozę. Tu diabeł naprawdę chichocze, mówiąc dobranoc. Ludzie zostawieni sami sobie, wręcz na łaskę losu, zostali jakby zdegenerowani zaistniałą sytuacją. Choć pewnie i wcześniej ta degeneracja się dokonywała, ale może wolniej, i nie na taką skalę, nie tak bijąca po oczach. Ale czy kogoś obchodzi los jakiegoś Korsze? Obchodzi Michalczenię. I przeraża, choć ani słowa tu nie ma o lęku. Bo to raczej rodzaj bezlitosnego rozrachunku z rzeczywistością.

Elżbieta Wojnarowska

Jakub Michalczenia, *Gigusie*, Korporacja Ha!art, Kraków 2019.

„Nuda, która była dla niego postrachem, nigdy nie groziła jego czytelnikom” – już taka rekomendacja samej Stefanii Kossowskiej winna być najlepszą zachętą do sięgnięcia po teksty jednego z najlepszych dziennikarzy i publicystów II RP (pisywał między innymi w krakowskim „Czasie” – i ten okres uznawał za najlepszy w życiu, ale też „Buncie Młodych” i „Polityce”), a potem prasy emigracyjnej – w tym paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia i londyńskich „Wiadomościach” Mieczysława Grydzewskiego.

Dodatkowym atutem jest to, że układając tom Wacława A. Zbyszewskiego, Biblioteka „Więzi” sięgnęła po sprawdzony klucz – zebrała jego osobiste wspomnienia o ważnych bądź po prostu ciekawych polskich postaciach i życiorysach minionego wieku (pierwotnie były to często artykuły pośmiertne, ale nawet wtedy nie miały formy panegiryku). Wystarczy podać kilka opisanych (zawsze barwnie, ba – czasem nieco plotkarsko oraz, co dziś ważne, z uwzględnieniem klimatu epoki) nazwisk. Z polityków: gen. Józef Haller, Roman Dmowski, Edward Raczynski, Stanisław Mikołajczyk. Spośród ludzi kultury: Ksawery Pruszyński, Marek Hłasko, Jerzy Stempowski, Józef Mackiewicz. kb

Wacław A. Zbyszewski, *Ludzie, których znałem*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2021.



## Książka, która stała się wystawą

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Mikołaj Starzyński/© Wikimedia Commons

**Po *Kierunku zwiedzania* Marcina Wichy będziecie przechadzać się jak po muzeum sztuki minimalistycznej, odkrywając strzępy życia Kazimierza Malewicza, jego obrazy i rozważania teoretyczne. W jednej z sal zatrzyma was na dłużej rosyjska awangarda, a w innej wspomnienie o ojcu pisarza, który projektował miejskie osiedla.**

Jeśli znacie poprzednie książki Marcina Wichy, to na pewno nie spodziewacie się, że *Kierunek zwiedzania* będzie klasyczną biografią Kazimierza Malewicza. Owszem, da się tu wyłapać fakty dotyczące polskiego pochodzenia artysty, jego dzieciństwa spędzonego na Ukrainie, wkroczenia w świat moskiewskiej awangardy i rewolucji rosyjskiej. Jednak gdy jesteście żądni poznania życiorysu twórcy, sięgnijcie lepiej do Wikipedii. Wicha w tekście z pogranicza eseju, traktatu filozoficznego, poezji porusza się po zupełnie innych rejonach. Niczym wytrawny kurator sztuki minimalistycznej zaprasza do zwiedzania muzealnej wystawy, odkrywając przed czytelnikiem strzępy życia Malewicza, jego obrazy i teoretyczne rozważania na temat suprematyzmu – kierunku zakładającego radykalne oderwanie sztuki od rzeczywistości.

Tak jak Malewicz dążył do maksymalnego uproszczenia formy, a przede wszystkim do zerwania z narracją, tak idący jego śladem Wicha opowiada krótkimi, bliskimi graficznym znakom rozdziałami o paradoksach i nieodokreśleniach rządzących życiem artysty. A ten raz po raz mu się wymyka, podobnie jak najsłynniejsze dzieło twórcy, czyli *Czar-*

*ny kwadrat na białym tle*. Wicha przywołuje różne możliwości jego interpretacji. Raz jest on czarną plamą nocy na Ukrainie, tamtejszą czarną glebą albo wnętrzem grobu. Malewicz uważał, że kwadrat jest kluczowym elementem jego twórczości, punktem zero, przez który sztuka musi przejść, żeby stać się czymś nowym. Rozumieli to też jego uczniowie, naszywając *Czarny kwadrat* na koszule, a podczas pogrzebu mistrza kładąc ów znak na masce ciężarówki z trumną niczym portret zmarłego.

W *Kierunku zwiedzania* ciekawe jest jeszcze to, że autor tomu opakowuje go w ramy osobistej opowieści o ojcu-architekcie, projektującym miejskie osiedla. Miały one, podobnie jak sztuka awangardowa, „unosić się w powietrzu”. Tak się jednak nie stało. Ale, jak czytamy, jest nadzieja, „że kiedyś te biedne, na wpół uduszone domy, szare budynki z niską saturacją zdołają jeszcze złapać oddech”. Przecież z jakiegoś powodu kwadraty Malewicza nie pokryły się pleśnią sztuki użytkowej.

Marcin Wicha *Kierunek zwiedzania*, Karakter, Kraków 2021.



# Dom Utopii pełen empatii

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie portretowe:** Grażyna Makara **Zdjęcia budynku:** materiały prasowe Teatru Łaźnia Nowa

**Dla Małgorzaty i Bartosza Szydłowskich utopia nie jest czymś nierealnym. Świadczy o tym nie tylko stworzony przez nich Teatr Łaźnia Nowa, ale też otwierany właśnie Dom Utopii – Międzynarodowe Centrum Empatii.**



Najmłodsze dziecko Szydłowskich rodziło się ponad pięć lat, od czasu, kiedy weszli do jednego z pustych skrzydeł budynku Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2 w Nowej Hucie. Nie mieli daleko, bo mieści się on na os. Szkolnym 26, tuż obok prowadzonego przez nich Teatru Łaźnia Nowa. Korciło ich, by coś tu zrobić. Zdobyli więc środki unijne i po latach remontu stworzyli Dom Utopii – Międzynarodowe Centrum Empatii.

– Idea empatii i sztuki towarzyszyła nam z Bartoszem od początku działalności. W Domu Utopii może zaistnieć dzięki spotkaniom z drugim człowiekiem oraz połączeniu różnych funkcji życiowych i artystycznych – tłumaczy Małgorzata Szydłowska. – Dla mnie najważniejszym słowem zawsze był dom, nie tylko traktowany jako przestrzeń fizyczna, ale również emocjonalna. Przestrzeń, w której ludzie są razem, budują wspólnotę, a tego nie da się zrobić bez empatii. Dlatego będzie to miejsce, które zaoferuje rezydencje artystyczne wraz z zapleczem pracowni artystycznych, miejsce spotkań mieszkańców Nowej Huty z artystami, amatorów z profesjonalistami.

Dom Utopii nie jest ogrodzony. Będzie mógł tu przyjść każdy, kto chce odpocząć, poczytać czy po prostu porozmawiać. Świetną przestrzenią jest choćby dach, od którego zaczyna się zwiedzanie budynku. Można się tu napić

kawy, moszcząc się wygodnie na leżakach z widokiem na Zalew Nowohucki, czy zajrzeć do minimalistycznego ogrodu i uśmiechnąć się na widok *Fontanny przyszłości*, czyli rzeźby przedstawiającej sikającego Lenina.

Bowiem Dom Utopii nawiązuje znacząco do historii Nowej Huty, co widać w elewacji budynku, na którą składa się między innymi stal i duże okna. Widoczne jest to też w aranżacji wnętrza. Wystarczy spojrzeć na wygodne pokoje dla rezydentów, w których znalazły się elementy nowohuckiego dizajnu. – Zależy nam, żeby przyjeżdżali tu topowi artyści z całego świata, związani z różnymi dziedzinami sztuki. Liczę, że powstałe tu dzieła staną się otwartą księgą nowohuckich tropów – mówi Bartosz Szydłowski, gdy przechodzimy do pracowni mieszczących się w dolnej części Domu.

Znajdują się tu imponująco urządzone pomieszczenia pracowni ceramicznej, tapicerskiej, krawieckiej, fotografii analogowej czy animacji. Zajęcia będą w nich prowadzić zarówno rzemieślnicy teatralni, jak i artyści, którzy wykorzystują rzemiosło do działań twórczych. Będzie można tu, na przykład, uszyć firanki, ale też dowiedzieć się, na czym polega sztuka współczesna, i przekonać się, że samemu można być jej współtwórcą. Bo w Domu Utopii nie stawia się żadnych granic, szczególnie – wyobraźni.

# Gdziekolwiek?

Tekst: Janusz Paluch Zdjęcie: wręczenie nagrody w czasach pandemii / archiwum Katarzyny Zechenter

**Tom poezji *Tam i tutaj* Katarzyny Zechenter nagrodził w 2019 roku Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Autorka mieszka w Londynie – „tam”, ale poetyckim duchem, często i ciałem, bywa „tutaj” – w Krakowie...**

Książka składa się z trzech części: *Tam i tutaj*, *Wiersze o niekochaniu i niemiłości...* oraz *Badania logiczne*. Wiersze ujmujące poetycką głębią, nie pozostawiają czytelnika obojętnym. Dominuje atmosfera przemijania, ciągłej identyfikacji z miejscem, w którym autorka przebywa. Tę atmosferę wprowadza tytułowy wiersz *Tam i tutaj*, który pisała w Chicago, Londynie i Krakowie. Zmęczona życiem „tam i tutaj”, tęsknotami za przeszłością, wskazuje miejsce, w którym – kiedy przyjdzie czas – na wieki chce spocząć:

Charakterystyczne utwory z trzeciej części tomu dotyczą Krakowa. Atmosferą nie odbiegają jednak od reszty książki. W wierszach dominują starość i umieranie. Wiersz *Tani bar na Grzegórkach* pozbawia czytelnika jakiegokolwiek złudzeń:

„I tylko starość jest tutaj za darmo, / obok schabowego z kapustą za złotych dwanaście / i zestawu z żurkiem za jedyne dziewięć dwadzieścia”.

Przemijanie jest nieodwracalne... Ostatni sen ogarnie w końcu każdego –

„matka budzi się i krzyczy / „Ne rezati” czy coś takiego / budzę się i ja / / biegnę do ciemnego pokoju / a ona tam taka stara przerażona i / chora”

(*Matka umiera*)

Nie szukam w wierszach Zechenter pocieszenia, bo wokół duszny strach przed ostatecznością. Ich moc polega na dramatyzmie. Stworzyła je wrażliwość poetki wykuta w ciągłym byciu „tam i tutaj”, przeżywaniu chwil pięknych, ale i trudnych pod różnymi szerokościami geograficznymi, nostalgia do rodzinnego „tutaj”.

Książka jest opowieścią o przepełnionym pracą i emocjami życiu zamkniętą w wierszach.

Dlaczego nie w powieści...?



„na cmentarzu na Salwatorze / jak mówił jej ojciec: / „Czegóż można chcieć jeszcze od życia? / Dobre towarzystwo, / spokój, / i widok na Tatry (...) / i zawsze ktoś wpadnie / przynajmniej na Wszystkich Świętych”.

Ten czarny humor w czasie pandemii nabiera dramatycznego wydźwięku.

Drużga część tomu ukazuje dramaty przemijającej miłości,

„której nie przypominają (...) już gwiazdy / w końcu widzi inne / (...) dlatego stwierdza / i stwierdza kategorycznie że jest odkochana / na zawsze i bez wybaczenia”

(*Modlitwa*).

Czy to swoista przewrotność autorki piszącej przeciwieństwo o prawdziwej miłości, która przeminęła, zgasła „tam”? Sama, ze zdziwieniem, w wierszu *Życie codzienne oraz weekendowe*, pyta „Jak można żyć bez miłości?”, dając od razu zdecydowaną odpowiedź: „Zwyczajnie, po prostu, / normalnie i codziennie. Nudno”.



Katarzyna Zechenter, *Tam i tutaj*, WBPiCAK, Poznań 2019.

### ■ Matejko miał poczucie humoru

Wiadomo – w Krakowie rocznice musi czcić się w sposób godny i poważny. I właśnie tak chcieli uhonorować w 1884 roku trzechsetną rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego szacowni krakowscy rajcy i profesorowie. W tym celu zorganizowali w Sukiennicach sesję naukową poświęconą poecie. Żeby nie było zbyt sztywno, zamierzali sobie uatrakcyjnić ją wystawą. Problem leżał w tym, że nie mieli pojęcia, skąd wziąć choćby jeden wizerunek przedstawiający autora *Trenów*. Historyk sztuki prof. Władysław Łuszczkiewicz zwierzył się z kłopotu Janowi Matejce. Malarz bez zastanowienia wypalił, że on rozwiąże ich problem, bo gdzieś na strychu ma schowany pochodzący z XVI wieku portret Kochanowskiego. Jednak kiedy wrócił do domu, uświadomił sobie, że jego słowa zostały wzięte na poważnie, a Łuszczkiewicz właśnie zabiera się do przygotowywania ekspozycji. By wybrnąć z sytuacji, zamknął się na dwa dni w pracowni i namalował oblicze poety zgodnie z warsztatem i kolorystyką współczesnych mu mistrzów. Zaprojektował też do niego piękną, polichromowaną ramę w kolorach bliskich epoce Jana z Czarnolasu – w zielonej tonacji, w odcieniach turkusku, szmaragdu, z wplecionym w to złotem i srebrem. Ale na tym nie koniec. Na odwrocie obrazu napisał wierszyk, który sam ułożył:

Konterfekt Jana Pisarza zacnego  
Księciem poetów w Polonii zwanego  
Malarz Włoch w Czarnolesie farby udanymi  
Imaginował – myślami wdzięcznymi  
Krzepion, że wždy ludzie za lat trzysta  
Poznają, jak wyglądał Jan – Boski Lutnista  
Ex actio Republicae Babiniensis.

Warto wybrać się do Domu Jana Matejki, oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie, by zobaczyć ów naprawdę ciekawy portret. Otwiera on czynną do 27 czerwca wystawę *Jan Kochanowski w twórczości Jana Matejki. Wokół bohatera i obrazu*.

### ■ Alternatywa dla marzących o zwiedzeniu archeologicznych wykopalisk

Ci, którzy stęsknili się za podróżami do Grecji, Włoch czy Egiptu w poszukiwaniu śladów antycznej kultury, mogą cieszyć się na razie dawnymi dziełami sztuki, które są w posiadaniu Muzeum Narodowego w Krakowie. W Arsenale Muzeum Książąt Czartoryskich otwarto właśnie po remoncie Galerię Sztuki Starożytnej. Prawie tysiąc obiektów, pochodzących z basenu Morza Śródziemnego, pokazywanych jest w nowej, przestrzennej aranżacji. Najstarsze zabytki pochodzą z III tysiąclecia p.n.e., a najmłodsze z VII wieku n.e. Są wśród nich rzeźby, marmurowe posągi i fragmenty sarkofagów. Główna część wystawy to zbiory Władysława Czartoryskiego z drugiej połowy XIX wieku. Uzupełnia

je kolekcja obiektów Artura Potockiego, która do tej pory była jedynie w depozycie MNK, jednak rok temu została odkupiona od dotychczasowych właścicieli. Czym chwali się teraz na wystawie dyrekcja muzeum.

### ■ W Starym Teatrze zapanował spokój, na szczęście nie twórczy

Pierwsze spotkanie zespołu kierującego Starym Teatrem z dziennikarzami przynosi podstawową refleksję – po burzach, które w ostatnich latach uderzały w narodową scenę, jest szansa, że zapanuje na niej spokój. Dyrektor naczelny Waldemar Raźniak przedstawił najbliższych współpracowników, z którymi stworzył repertuar na sezon 2021–2022. A są to: Beniamin Bukowski – zastępca ds. artystycznych, Tomasz Kireńczuk – konsultant ds. współpracy międzynarodowej i projektów zagranicznych, Agata Dąbek – kierowniczka działu dramaturgii, oraz kierowniczka muzyczna Justyna Skoczek. Można odnieść wrażenie, że to grupa ludzi, którzy świetnie się rozumieją i dzielą się ten sam gust. Świadczy o tym zestaw tytułów i dobór twórców, którzy będą pracować w Starym Teatrze. Wśród zapowiadanych spektakli znajdują się więc: *Trąbka do słuchania* według Leonory Carrington (reż. Agnieszka Glińska), *Ptaki Arystofanesa* (reż. Jan Klata), *Art of Living* na podstawie *Życia. Instrukcji obsługi* Georgesa Pereca (reż. Katarzyna Kalwat), *Baśń o węzowym sercu* wedle powieści Radka Raka (reż. Judyta Berłowska) *SNL, czyli Sen nocny* William Szekspira (reż. Krzysztof Garbaczewski), *Salome* Oscara Wilde'a (reż. Kuba Kowalski), *Marzenia polskie – Rêves polonais* na podstawie twórczości Michała Bałuckiego (reż. Jędrzej Piaskowski, dramaturgia Hubert Sulima), powstająca właśnie sztuka Marty Konarzewskiej (reż. Ewa Kaim), *Orlando* według Virginii Woolf (reż. Katarzyna Minkowska) i *Wymazywanie* na podstawie powieści Thomasa Bernharda (reż. Klaudia Hartung-Wójciak).

Stary Teatr zamierza także ponownie zaistnieć na arenie międzynarodowej. Z jednej strony planuje uczestniczyć w zagranicznych festiwalach, a z drugiej – prezentować spektakle twórców, pozwalające widzom skonfrontować się ze zjawiskami, które na naszych scenach jeszcze się nie pojawiają. Przynajmniej raz w sezonie w Krakowie będzie pracował artysta spoza Polski. Jako pierwszy przygotuje tu swoje przedstawienie Thom Luz – uznany szwajcarski reżyser-eksperymentator, budujący spektakle na styku teatru dramatycznego, instalacji artystycznych i awangardowej muzyczności. Zapowiada się ciekawie i – przynajmniej twórczo – wcale nie spokojnie.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



## W następnym numerze:

Profesor Dominika Dudek  
Wszyscy nie zwariujemy

Mariusz Wolny  
Historia z sensacją

Andrzej Romanowski  
Moja żydowska kamienica

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY  
**KRAKÓW**

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

**Wybierz Kraków!**

**Nic, co krakowskie, nie jest nam obce**

**Wydawca:** Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

**Kontakt:** tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

[www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)

Naszej Koleżance

Kasi Drożdż

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci męża Bogdana  
– jak pisała Julia Hartwig  
*Patrzę na nas z góry  
i mówią dobrze dobrze*

pogrążona w smutku redakcja miesięcznika „Kraków”

Ani Gregorczyk

po śmierci Taty  
wyrazy wielkiego współczucia  
Ściskamy mocno

Zespół miesięcznika „Kraków”

**Pismo tworzą:** Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

**Fotografowie:** Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

**Layout:** Igor Banaszewski

**Strona internetowa:** Piotr Rachwaniec

**Adiustacja i korekta:** Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

**Druk:** Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

## Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

**Prenumerata redakcyjna** gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopisem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

**Kontakt:** Aneta Mastela-Książek  
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,  
tel.12/61 89 120

**Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę:** Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków  
**Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528**

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

**Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!** (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**  
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

**Numery archiwalne:** cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** [www.miesiecznikkrakow.pl](http://www.miesiecznikkrakow.pl), Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczegółów na witrynach internetowych kolporterów.

# W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

## Outride.rs

Las to tlen, a tlen to życie. Jesteśmy częścią natury, a nie jej panami. Jak z jej zasobów mądrze korzystać? Czy nauczymy się żyć w harmonii ze środowiskiem, a chęć zysku ustąpi miejsca wspólnemu dobru? Może powinniśmy nauczyć się szanować nasz wspólny dom, jakim jest Ziemia. Do dyskusji na powyższe tematy skłania artykuł na Outride.rs

<https://outride.rs/pl/wspolnota-odpowiedz-na-wylesianie/rozdzial-1-sieczka-do-lasow-wspolnoty>

„Według badań opublikowanych w »Naturę« w 2015 roku od początków ludzkiej cywilizacji prawie połowa wszystkich światowych lasów (46 proc.) została utracona w wyniku wylesiania. W ciągu zaledwie 50 lat utraciono 17 proc. lasów deszczowych. (...) Korporacje, które chcą wypracować zysk, wykorzystują zasoby naturalne, bardzo często z błogosławieństwem lokalnych władz, a także rządów tych państw, do których ostatecznie trafiają pozyskane surowce i towary. Tylko że korporacje nigdy nie biorą na siebie winy za niszczenie środowiska naturalnego. Zamiast tego wywierają presję na nas, na jednostki, abyśmy zmienili nasze nawyki, co pozwoli uniknąć katastrofy, którą może przynieść kryzys klimatyczny”.

## Culture.pl

Reklamy kojarzą się Wam z: a) manipulacją, b) 20-minutową przerwą w środku seansu filmowego o pierwszej w nocy, c) sztuką. Ja zaznaczam odpowiedź „c”, a to za sprawą książki Piotra Wasilewskiego *Dwie dekady polskiej reklamy 1990-2010*. Jest to IV tom rozprawy o polskiej reklamie, o którym pisze serwis Culture.pl.

Tekst jest bogato ilustrowany przykładami perełek polskiej sztuki reklamowej.

<https://culture.pl/pl/dzielo/najlepsze-polskie-reklamy-ostatnich-20-lat>

„Bez sztuki – ludzi pióra, grafików, fotografów, filmowców, muzyków, satyryków – reklamy po prostu by nie było. Pokazuje to album *Dwie dekady polskiej reklamy 1990-2010* Piotra Wasilewskiego o najciekawszych kampaniach promocyjnych dwudziestolecia. (...) Książkę o polskiej reklamie czyta się lepiej, niż oglądało niegdyś oryginały. Analizy rynkowe, podsumowania i prognozy uzupełniają anegdoty. (...)

Kampanię społeczną *Młodzi kierowcy* zorganizowała w 21 największych miastach Polski firma reklamy zewnętrznej Cityboard Media w porozumieniu z Biurem Prewencji Ruchu Drogowego Komendy Głównej policji. Trzy wersje plakatów zaprojektowane przez Studio Program przemawiały do młodych ludzi hasłami: »Twoje nowe drinki« (kroplówki), »Twoja nowa laska« (kula, tak zwana szwedka) i »Twoja nowa bryka« (wózek inwalidzki) – ten ostatni robił największe wrażenie.

(...) Rozpoczęła się kampania społeczna pod hasłem »Powstrzymać przemoc w rodzinie«, której patronowała Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Zdjęcia przedstawiające pobite twarze kobiet i dzieci uzupełniały napisy, jak »Bo miała zły dzień«, »Bo wyglądała zbyt atrakcyjnie« oraz ogólne hasło: »Nic nie usprawiedliwia przemocy w rodzinie«. Umieszczony na plakacie znak graficzny »Niebieskiej Linii« dla wielu był jednak niezrozumiały – pytano czy to nazwa agencji reklamowej, dlaczego nie ma numeru telefonu, skoro ma to pomagać”.



Rys. Marek Braun

*Ach, czy już pani wie,  
Moja pani, moja pani,  
Ach, czy już pani wie,  
Co się stało na A-B?  
Boy*

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

### Skwery ponadpartyjne

Za życia nie zawsze było im po drodze, choć wyrosli z tego samego opozycyjnego pnia. Ich zasługi dla budowania wolnej, demokratycznej Polski są bezsprzeczne, choć różniła ich jej wizja. Jacek Kuroń i Zbigniew Romaszewski – bo o nich tu mowa – zasługują więc na naszą pamięć, wyrażaną w każdej formie. Wszelako zadziwia i zachwyca zarazem fakt, że dzięki porozumieniu ponad podziałami panów przewodniczącego Rady Miasta Krakowa Dominika Jaśkowca (PO) i radnego Adama Kality (PiS) obydwie te postaci będą miały skwery swojego imienia na jednej działce, tuż obok siebie. Skwer im. Jacka Kuronia i skwer im. Zbigniewa Romaszewskiego zazielenią się w Nowej Hucie między Aleją Generała Andersa a Aleją (*nomen omen*) Przyjaźni. Niech więc ta historia ma pozytywny przekaz i będzie przykładem, że czasami jednak się da! Wszystkim przyszłym autorom upamiętniania naszych ważnych postaci zalecamy jednak ostrożność w tworzeniu takich par. Może być różnie...

### Kraków Wenecją Północy?

Wenecji Północy jest w Europie już kilka. Petersburg, Brugia, Amsterdam, a nawet podobno Bydgoszcz. I jeszcze parę innych by się znalazło. Niewykluczone, choć na razie mało prawdopodobne, że w tym zaszczytnym gronie może się znaleźć też i nasze miasto. Otóż rząd, rozochociony sukcesami na odcinku poszukiwania nowych dróg transportu wodnego (patrz: przepkop Mierzei Wiślanej), chce zbudować Kanał Krakowski. Idea wcale nie nowa, bo sięgająca planów sprzed ponad stu lat, kiedy to w Krakowie miał powstać tak zwany kanał ulgi chroniący miasto przed powodziami. Ale odkąd zbiornik Świnna Poręba już tę funkcję spełnia, Kanał Krakowski służyłby tylko do spławiania towarów. Rzecz w tym, że po jego wybudowaniu część Dębnik, Zakrzówek, osiedle Podwawelskie i Ludwinów znalazłoby się na... wyspie. Historycy pewnie przypomną, że przecież Kraków niegdyś ciągami rzecznymi stał, a i Wisła płynęła pod Wawelem nieco inaczej. Przeciwnicy i zwolennicy Kanału Krakowskiego muszą się pogodzić z tym, że rząd nas na razie nie wpuści ten w kanał, bo nie ma na to pieniędzy. Choć, swoją drogą, któż z nas nie marzy o posiadaniu własnej wyspy?

### Lagun poszedł w świat

Któż nie słyszał o słynnym potworze zwanym „lagunem”, który przez kilka dni gnębił mieszkańców jednego z krakowskich osiedli. „Przyjedźcie i go zabierzcie! Siedzi tu od dwóch dni i wszyscy się go boją!” – alarmowała Krakowskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami mieszkanka owego osiedla, przerażona podobnie jak wielu jej sąsiadów. Inspektorzy KTOZ słysząc „lagun”, byli przekonani, że chodzi o legwanę, nadrzewną jaszczurkę z Ameryki Środkowej i Południowej, więc, rzecz jasna, rychło przybyli. Ostatecznie „lagun” nie okazał się legwanem, ale... croissantem. Sprawa jednak stała się głośna nie tylko w wielu krajowych mediach, ale także w światowych – od Czech („Obywatele polskiego Krakowa wydała niebezpieczną bestię” – stało w tytułach prasowych) po Brazylię. Z tej okazji KTOZ wpadło na pomysł, by stworzyć gadżety z „lagunem” i sprzedać je, a dochód przeznaczyć na Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt. Bravo! A tak na marginesie: ciekawe, co francuski rogalik robił na drzewie? Czy padł ofiarą domowej kłótni czy może zawinił nieudolny piekarz? A może po prostu przelatował tamtędy i na chwilę sobie przysiadł na gałęzi.

### A mógł być Chochoł na cokole

W roku 1991 zmieciony wiatrem historii zniknął pomnik radzieckiego marszałka Iwana Koniewa. Osiedle Widok poczuło się lżejsze o 11-tonową figurę. Marszałek zniknął, ale postument, na którym dumnie się przeżył, pozostał goły i samotny. I oto pan Janusz Stefaniak, zainspirowany ową pomnikową pustką, wpadł na pomysł, by na cokole postawić Chochoła. Chochoł, wiadomo, bohater *Wesela* Wyspiańskiego i po trosze wizytówka Bronowic, więc w miejscu tym pasowałby jak ulał. Niestety (albo stety), pomysł pana Janusza rozpułnął się w młodopolskiej mgłę z kilku powodów. Otóż, po pierwsze, Zarząd Zieleni Miejskiej nosi się z zamiarem umieszczenia w tym miejscu tablicy upamiętniającej strażaków, których siedziba znajduje się tuż obok. Po drugie: zastrzeżenia zgłosiło Muzeum Krakowa, zwracając uwagę na niezbyt chlubną symbolikę Chochoła (marazm, chocholi taniec itp.). Nam się jednak najbardziej podoba pogląd, jaki mają na tę sprawę mieszkańcy Widoku, czemu dali wyraz na internetowej stronie Radia Kraków, twierdząc, że może lepiej postawić tu pomnik Wyspiańskiego, bo „chochołów mamy żywych, do jasnej cholery”...



Janusz Stefaniak, *Jin&Jang*, collage

# Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”





## Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

---

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków  
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków  
Grzegorz Szymański, Warszawa  
Aleksander Skotnicki, Kraków  
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków  
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków  
Adam Michnik, Warszawa  
Janusz Szerla, Kraków  
Grzegorz Kogut, Kraków  
Józef Palinka, Warszawa  
Marek Braun, Kraków  
Krystyna Zachwatowicz, Kraków  
Aleksander Herzog, Warszawa  
Jacek Purchla, Kraków  
Kazimierz Sumera, Zawoja  
Andrzej Gaworski, Warszawa  
Józef Opalski, Kraków  
Halina i Leszek Domańscy, Kraków  
Katarzyna Janowska, Warszawa  
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice  
Stanisław Bisztyga, Kraków  
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków  
Krzysztof Bień, Kraków  
Teresa Bergier, Kraków  
Antoni Legeżyński, Kraków  
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska  
Elżbieta Motas, Warszawa  
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków  
Iwona Ben, Kraków  
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków  
Józef Grudnik, Kraków  
Teresa Pracz, Warszawa  
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków  
Ewa Rusek, Kraków  
Andrzej Wyrobiec, Kraków  
Jarosław Poczykowski, Białystok  
Jadwiga Falkowska, Białystok  
Marcin Barcz, Piaseczno

Tomasz Langie, Kraków  
Tomasz Majka, Zawada  
Jerzy Zoń, Kraków  
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko  
Anna Kosioriewicz, Kraków  
Jerzy Hausner, Kraków  
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków  
Monika Gierko-Libicka, Warszawa  
Rafał Bubnicki, Wrocław  
Dominika Dudek, Kraków  
Wanda Chmielowska, Kraków  
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków  
Gerhard Gnauck, Sulejówek  
Wacław Marszałek, Warszawa  
Piotr Krzywiec, Warszawa  
Gwidon Dziwoki, Kraków  
Waldemar Zakrzewski, Szczecin  
Renata i Wojciech Michna, Kraków  
Andrzej Kuźma, Kraków  
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna  
Konstanty Gebert, Warszawa  
Agnieszka Odorowicz, Warszawa  
Janusz Fogler, Legionowo  
Anna Tyniec, Kraków  
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki  
Małgorzata Maruszkin, Warszawa  
Anna Anderson, Dobczyce  
Marcin Barcz, Piaseczno  
Wojciech Bergier, Kraków  
Ewa Bielecka, Kraków  
Jacek Górski, Kraków  
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice  
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice  
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski  
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków  
Andrzej Łojewski, Kraków  
Andrzej Pach, Kraków  
Małgorzata Pach, Kraków  
Jerzy Loręcki, Kraków

Jan Sady, Kraków  
Róża Thun, Kraków  
Stanisław Dudzik, Kraków  
Artur Romanowski, Kraków  
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków  
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna  
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa  
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa  
Dariusz Borucki, Łomianki  
Alina Kruk, Zielona Góra  
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków  
Mariusz Landowski, Tczew  
Jadwiga Drąg, Paszczyzna  
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała  
Marta Anna Ronne, Uppsala  
Waldemar Smolski, Kraków  
Andrzej Gawłowicz, Kraków  
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyła Góra  
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków  
Teresa Stowska, Kraków  
Małwina Kopańska, Olsztyn  
Kazimierz Trybalski, Przybysławice  
Anna Kulak, Krzeszowice  
Jerzy Kicki, Kraków  
Andrzej Pienias, Bełchatów  
Alicja Byszkiewicz, Toronto  
Andrzej Mącznik, Kielce  
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo  
Katarina Hard, Staffanstorp  
Alicja Danecka-Chwals, Boston  
Zofia Maciąga, Łędziny  
Tomasz Wojtas, Kraków  
Hanna Dunin-Łabędzka, Jarosław Minałto, Wrocław  
Józef Iskra, Dankowice  
Irena Krzywiec, Kraków

---

## Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

### Wpłaty:

Biblioteka Kraków  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3  
31-154 Kraków  
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528  
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”  
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!  
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.



GRANATOWE  
GÓRY

FESTIWAL SŁOWA  
IM. JERZEGO PILCHA

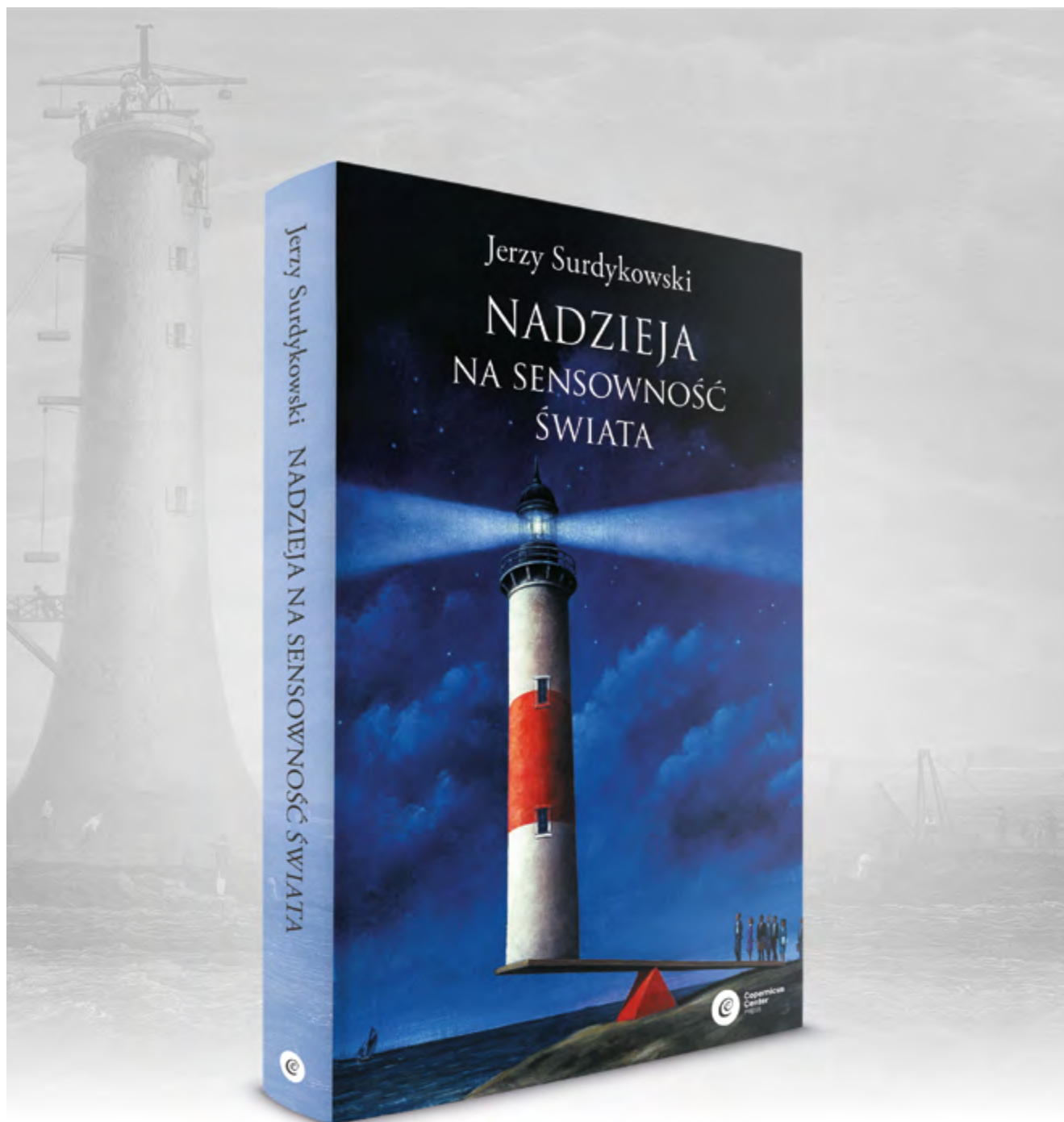
# GRANATOWE GÓRY

28-30 MAJA 2021  
**WISŁA**

[www.granatowegory.pl](http://www.granatowegory.pl)

Partner  
medialny

**KRAKÓW**  
MIESIĘCZNIK  
[www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)



Czy człowiek pytający  
o sens swojego istnienia ma szansę  
na znalezienie odpowiedzi?



Anna Zuzela, *Poczwarki* – serigrafia na barwionej tkaninie, stropak, gąbka, juta, 4 segmenty, najmniejszy ok. 50 cm, największy około 150 cm, 2020/2021